

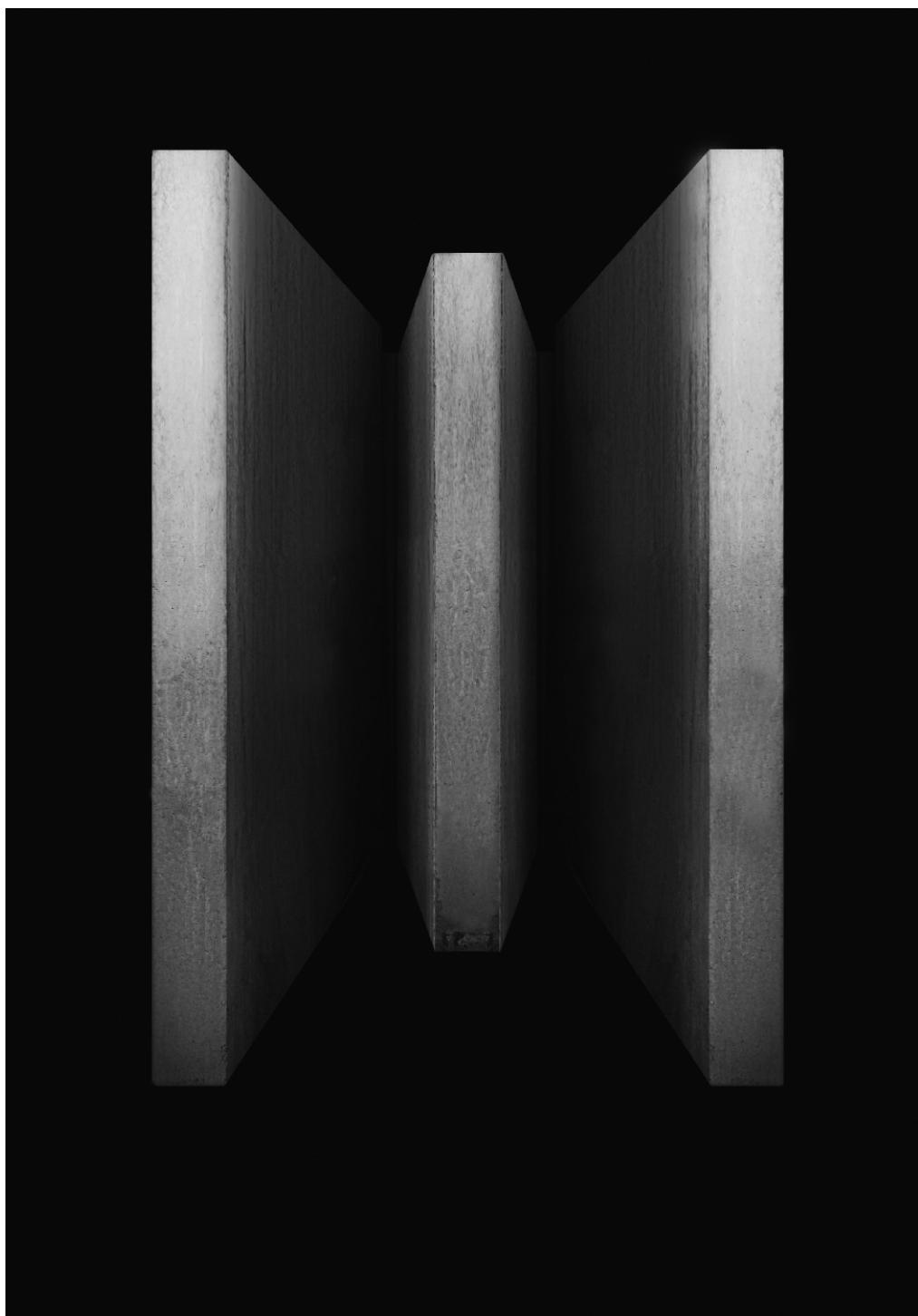
lipiec - grudzień 2014

31/32

częstochowski magazyn literacki
Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”



poezja ■ proza ■ szkice ■ recenzje ■ eseje ■ felietony ■ humoreski ■ fraszki ■ satyra



Żaneta Wojtala - Dehumanizacja XIX, Dehumanization XIX, 100x70cm

SŁOWO OD REDAKCJI

Czasy 3

POŻEGNANIA

Bogdan Knop, *Stanisław Barańczak /1946 – 2014/* 4

POCZTYLION

Jewhen Baran, *Wojna: temat do rozmyślań [List do przyjaciół w Polsce]* 5

Wojciech Pestka, *Komentarz od tłumacza* 7

Bogdan Knop, *Komentarz do listu* 7

SYLWETKI

Tadeusz Piersiak, *100 lat [i więcej] Pani Profesor!* 8

WYDARZENIA

Kalendarium: czerwiec – sierpień 2014 10

Kalendarium: wrzesień – listopad 2014 10

Maciej Skalik *zuvycieczą konkursu poetyckiego „O ludzką twarz człowieka”* 11

Nagrody Prezydenta Częstochowy w dziedzinie kultury za rok 2013 12

Aleje - tu naprawdę się dzieje! 12

Janusz Mielczarek laureatem konkursu im. Stanisława Grochowiaka 13

Nagroda dla Małgorzaty Kozakowskiej 14

Nagroda im. Karola Miarki dla prof. Elżbiety Hurnik 14

Święto Muzyki z odznaczeniami 16

ANDRZEJ KALININ PROMUJE

Księżna Izabela Czartoryska Katarzyny Marii Bodziachowskiej 17

LAURÓW WIENIEC

Maciej Skalik, *Z wierszy nagrodzonych* 19

POEZJA – DEBIUT

Mateusz Fryszer, *Wiersze* 20

Maciej Skalik, *Czekając na narodziny poety. O debiucie prasowym Mateusza Fryszer* 21

POEZJA

Anna Maria Mickiewicz, *Wiersze z brytyjskiego tomu „London manuscript”*
[w języku polskim oraz utwory wybrane] 22

Barbara Strzelbicka, *Z tomu „Czułość”* 25

Małgorzata Franc, *Obrazy i wiersze* 26

Marian Panek, *Pan Pantofelek i inne wiersze* 29

Jolanta Szwarz, *Z tomu „Tik-tak, drobny mak”* 32

Izabela Koldej-Ptak, *...wybrane z wielu* 34

Paulina Surma, *Wiersze* 36

Wiesława Owczarek, *Ze szkła* 37

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk, *Kazimierza „Stolorza” Kowalczyka zakład przetwarzania*
i użycia słów i myśli „Stara Wierszownia” [seria czwarta] 39

PRZEKŁADY

Aušra Kaziliūnaitė [Litwa], *Wiersze [w przekładzie Bogdana Knopa]* 42

PROZA – DEBIUT

Anna Falana-Jafra, *Kostka Rubika. Powiastka o mocnym posmaku psychologicznym [fragment]* .. 46

Aleksandra Keller, *Odklejanie pól walki. Zapiski na marginesie „Kostki Rubika”* 54

PROZA

Arkadiusz Frania, *Rzeźby w maśle [fragment]* 61

Ida Jadwiga Łubińska, *Trzy opowiadania* 73

Barbara Rosiek, *Ćpunka [fragment]* 79

CONVERSATIO

- O tym, co w życiu ważne* – rozmowa z dr hab. Elżbietą Hurnik, literaturoznawczynią,
profesorem AJD w Częstochowie 83

NA SZTALUGACH

- Żaneta Wojtala, *Dehumanizacja* 86

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

- Janusz Orlikowski, *Esej o miłości szczęśliwej* 89
Barbara Strzelbicka, *Istotna przezroczystość. O kondycji człowieka początku trzeciego tysiąclecia* . 100
Agnieszka Złota, *Niedoczyny i gorzkie obrachunki w „Lustrach” Henryka Bardijewskiego*
– kilka uwag o kulturze kryzysu 104
Anna Wesołowska, *„Takim jak niegdyś, nigdy nie będzie” – o przemijaniu w tomiku Małgorzaty Franc*
pt. „Rozmyślania o zmierzchu” 108
Anna Janek, *Po Kapuścińskim. Szkice o reportażu* 110
Martyna Lenart, *„Dość powieści hedonistycznych, przeżutych, pełnych psychologizowania”. O literaturze*
lat sześćdziesiątych: odkrywanie piękna w codzienności i w strzępach cywilizacji 114

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

- Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Bruno Jasieński /1901 – 1938/* 117

HISTORIA W GALERII

- Jan Łączewski, *Dziesięć największych zwycięstw polskiego oręża w historii* 125
Magdalena Syguda, *Bitwa pod Mokrą* 126
Jan Karski /1914 – 2000/ 127
Maciej Kuczyński, *Muzeum Powstania Warszawskiego* 130

RELACJE

- Łucja Cymkiewicz, *„Beksiński. Portret podwójny”. Spotkanie autorskie w Miejskiej Galerii Sztuki*
w Częstochowie 133
Barbara Strzelbicka, *Tu się działo, czyli literackie wakacje* 134
Agnieszka Jarzębowska, *Poety Bogdana Zdanowicza pożegnanie z Krakowem* 137
Spotkanie z Piotrem Kasjsem 138

NOTY O KSIĄŻKACH

- Arkadiusz Frania, *Rzeźby w maśle* 139
Barbara Rosiek, *Ćpunka* 139
Janusz Orlikowski, *Gwałt na prawdzie* 140
Janusz Mielczarek, *Do widzenia, panie Fellini* 140
Rafał Socha, *Jak zostałem bażantem* 141
Krytycznie o prozie, pod red. J. Cieślaka i A. Złotej 141
Anna Maria Mickiewicz, *London Manuscript* 142
Agnieszka Jarzębowska, *Przekładaniec* 142
Krzysztof Sawicki, *Okolice świata* 143
Wiesława Owczarek, *Rozmowa z nieznanym* 143
Barbara Kubicka-Czekaj, *Czenstochoviana* 144
Joanna Szubstarska, *Milczenie ptaków* 144
Adam Kurus, *Czołgi na przedmieściach. 7 Dywizja Piechoty w obronie Częstochowy 1-3 września 1939 roku* 145
Lech Mastalski, *Kadra dowódcza 7 Dywizji Piechoty 1919 – 1939* 145

FELIETON

- Bogdan Knop, *O nauce z umiarem* 146

NOTY O AUTORACH

- Jewhen Baran 6
Mateusz Fryszer 21
Anna Maria Mickiewicz 24
Roman Pluta 29
Jolanta Szwarc [autonota] 34
Wiesława Owczarek 38
Aušra Kaziliūnaitė 45
Anna Falana-Jafra 53
Żaneta Wojtala 86
Janusz Orlikowski 99
Maciej Kuczyński [autonota] 132

Czasy, w których towarzyszy człowiekowi poczucie spełnienia, jego dążenia docierają do upragnionego celu, a ideały przybierają realny kształt w życiowej stabilizacji i bytowym komforcie, w gruncie rzeczy są początkiem schyłku. Społeczeństwa docierają do końca swojej drogi lub bardziej katastroficznie – na skraj urwiska. Wyszły już źródła pożądań, a gnuśne samozadowolenie jest w istocie uśpioną świadomością końca, tyleż ekstrawertycznie frenetyczną, co przenikniętą podskórną melancholią. Tak o epoce sytości – XIX wieku – pisał na początku wieku XX hiszpański filozof i eseista José Ortega y Gasset w jednym z głośnych esejów *Bunt mas* (1930). Wiek XX u swojego zarania przedstawiał się jako epoka nieufna wobec samej siebie – świadoma własnej mocy i wywyższości wobec czasów minowych, lecz jednocześnie niepewna przeznaczenia. *Dumna z potęgi, która ją samą napawa lękiem*. Dociekanie, ile było w tym racjonalnej wykładni, ileż profetycznej zapowiedzi czekającego ludzkość jutra, dziś jest bezcelowym poszukiwaniem straconego czasu w chwili, gdy przyszłość znów traci przewidywalny kształt, nie daje żadnej gwarancji spokoju, a masy buntują się w imię haseł wolności, sprawiedliwości, godności itp. Znów jesteśmy w punkcie wyjścia – żyjemy w epoce, którą cechuje poczucie olbrzymiego potencjału realizacji, [...] *ale czuje się zagubiona w nadmiarze własnych możliwości. [...] współczesny świat posuwa się naprzód w sposób najbardziej prymitywny, po prostu bezwzględnie dryfując. [...] Dziś, kiedy wszystko wydaje się nam możliwe, przeczuwamy, że możliwe może być też to, co najgorsze: cofnięcie się w rozwoju, barbarzyństwo, upadek*.

Niepewność jutra sama w sobie nie jest niczym złym – utrzymuje nas w gotowości, wymusza zmianę i ruch. Jeśli istnieje niebezpieczeństwo takiego stanu, tkwi ono w bezradności mas, które same nie potrafią określić swoich oczekiwań, wyznaczyć kierunków działania, ustalić hierarchii wartości, które determinują *humanizm* – tę istotę człowieczeństwa. Masy pozostawione same sobie z reguły popadają w chaos, oszalałe nieukierunkowanym gniewem pragną jedynie zniszczenia tej przestrzeni, która je więzi, odbiera swobodę rozwoju i godność.

Dehumanizacja – temat dla Galerii 31/32 zaczerpnięty ze strukturalnych grafik Żanety Wojtali [absolwentki Wydziału Sztuki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie w Pracowni Grafiki Użytkowej u prof. Agnieszki Półroli oraz stypendystki Prezydenta Miasta Częstochowy w dzie-

dzinie sztuk plastycznych w roku 2012 i 2014] – celowo kontrastuje z problematyką tekstów zawartych w numerze. W zetknięciu z chłodną bezosobowością plastycznych form przejrzystość brzmi rozmowa Barbary Strzelbieckiej *O tym, co w życiu ważne* z prof. Elżbietą Hurnik. Dobitnie znaczą wiersze Macieja Skalika nagrodzone w konkursie poetyckim pod symbolicznym tytułem „O ludzką twarz człowieka”. Optymizmem tchnie *Esej o miłości szczęśliwej* Janusza Orlikowskiego, a Agnieszka Złota kreśli kilka uwag o kulturze kryzysu w odniesieniu do tomu opowiadań Henryka Bardijewskiego pt. *Lustra*. O nośności problemu dehumanizacji we współczesnej kulturze – łączonej nieprzypadkowo z odczuwaniem zwątpienia, niemal chorobowego stanu depresji – świadczą także debiuty: Mateusza Fryszerza w poezji i Anny Falany-Jafry w prozie. Temat choroby – ucieczki od samego siebie – znajduje też odzwierciedlenie we fragmencie najnowszej powieści Barbary Rosiek *Ćpunka*. Ciche, osobiste spojrzenie na kondycję człowieka prezentują *Rzeźby w maśle* Arkadiusza Frani. Wydana jesienią 2014 roku powieść kreśli świat złożony z epizodów, ale świat szczęśliwe zawężony do przewidywalnych granic i form. Człowiek – istota nietrwała, tytułowa rzeźba w maśle [?] – potrzebuje konkretnych warunków, by przetrwać. Jakich? Tego dowiecie się Państwo z lektury.

Numer otwieramy listem Jewhena Barana relacjonującego wypadki na Ukrainie – całość zamyka fotografia Jacka Koniecznego [FotoGaleria] z wyprawy do Mozambiku. Podczas redakcyjnego spotkania napłynęły wątpliwości wobec skojarzeniowych schematów – *bo czy jak jest Afryka i jej mieszkańcy, to od razu musi być dehumanizacja? Nie widać na tym zdjęciu ani wojny, ani suszy... jest bieda, ale – ot, życie. Lepsze byłoby zdjęcia z Ukrainy, tam się dzieje nieludzko...*

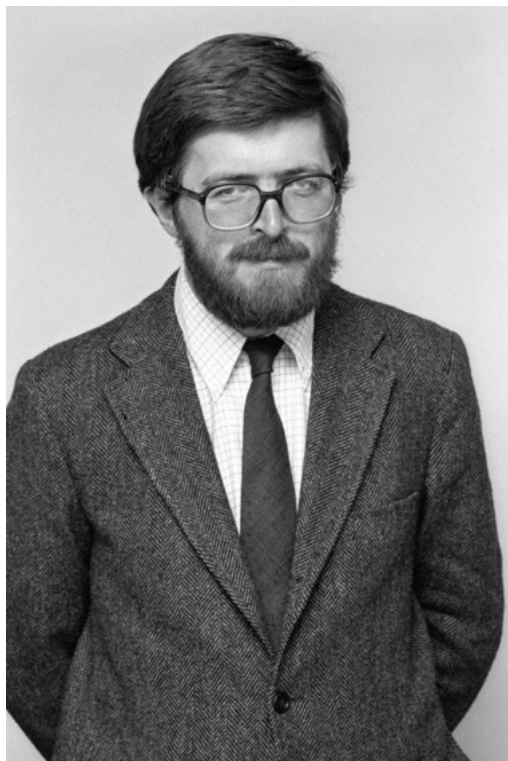
Co byłoby lepsze? I tam, i tu warunki życia urągają temu, co zwykliśmy tak szumnie zwać humanizmem. Mamy o co zabiegać, wiemy, do czego dążyć, o czym myśleć – o kondycji człowieka w świecie, w kontekście pojęć, które tracą znaczenie. Nie grozi nam zniesienie na mielizny chaosu i zwątpienia. Co teraz mógłby powiedzieć nam o nas samych Ortega y Gasset, jeśli Bogdan Knop w swym felietonie przestrzega: *O nauce z umiarem?* Takie mamy czasy... [*jaki klimat*].

W imieniu Zespołu Redakcyjnego

Olga Ręginich
(redaktor naczelna)

Bogdan Knop

STANISŁAW BARAŃCZAK /1946-2014/



(foto: <http://www.gala.pl/newsy/stanislaw-baranczak-zmarl-w-wieku-68-lat-18117/zdjecie/stanislaw-baranczak-nie-zyje-75056#gallery>)

O poznaniakach mówi się, że są oszczędni, dokładni i konserwatywni. Nie wiem, czy taki był Stanisław Barańczak. Na fotografiach i we wspomnieniach występuje zawsze w marynarce i krawacie, precyzja jego tłumaczeń, dokładność i porządek w pracy były przysłowiowe. Był poetą, tłumaczem i eseistą – czy w tej kolejności? Wydał kilkanaście tomów wierszy, tyleż zbiorów esejów, przetłumaczył całego Szekspira, angielskich poetów metafizycznych, Emily Dickinson i dziesiątki innych poetów.

Pierwsze wiersze Barańczaka przeczytałem około 1980 roku w jakimś czasopiśmie dla polonistów. Poezja lingwistyczna: Barańczak, Krynicki, Kornhauser. To mnie ciekawiło – zabawy słowem, obnażanie sensów w manipulacjach językiem. Zapamiętałem i starałem się śledzić jego twórczość.

Tymczasem wpadła mi w rękę książka, która mnie oczarowała – „Czarnoksiężnik z Archipelagu” Ursuli K. Le Guin w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka. „Czarnoksiężnik” to literatura popularna, wyższa półka fantasy, okolice Tolkiena. Jednak tłumaczenie Barańczaka uczyniło z tej powieści perełkę, w której fantazja i poezja połączone są w niezwykłych proporcjach.

Dokonał rzeczy niezwyklej, napisał cykl „Podróż zimowa” do muzyki Franza Schuberta. Napisał, bo wcale nie przetłumaczył znanego cyklu Muellera, ale napisał go od nowa! Do tej samej muzyki. Niezwykłe.

Był założycielem Komitetu Obrony Robotników KOR i jego aktywnym uczestnikiem, mimo iż trudno go sobie wyobrazić w marynarce, krawacie, zawsze z książką w rękę wśród KOR-owców. A jednak! Szykanowany, skazany w sfinansowanym procesie.

W 1981 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, tam przez lata wykładał na tamtejszych uniwersytetach.

Któż osądzi, co przetrwa po poecie. Ci, którzy przyjdą, mogą nie rozumieć naszych słabości, lęków, powodów, dla których się śmialiśmy. Więc czy przetrwa Stanisław Barańczak poeta – nie wiem. Na pewno przetrwa tłumacz: Szekspira, Cummingsa, Audena, Heaney, Dickinson i tylu innych. Przetrwa „Podróż zimowa” z muzyką Franciszka Schuberta. To niemało.

Bogdan Knop

Jewhen Baran

WOJNA: TEMAT DO ROZMYŚLAŃ

[List do przyjaciół w Polsce]

Karmili nas bajkami. Karmią i teraz, nawet po tragedii pod Iłowajskiem¹. Nawet po poddaniu lotniska w Ługańsku. Nawet po wejściu wojsk rosyjskich do Doniecka. Premier występuje przed uczniami w roli głównego ideologa, a Prezydent dalej przysięga bronić Ukrainy, nazywając wojnę ojczyźnianą, ale w istocie niewiele czyni.

Rezultat jest znany. Rosja prowadzi wojnę na pełną skalę, a żołnierze ukraińscy z automatami AK (model z 1964 roku), które zacinają się w najmniej spodziewanym momencie, bronią się. Tyle tylko, że Rosja jeszcze nie bombarduje ukraińskich miast, a wojnę póki co toczy w Donbasie.

A Ukraina? Ukraińscy politycy? Szykują się do wyborów. Gdzie? Do jakiego parlamentu?

Pytanie jest proste. Dlaczego nie wprowadzono stanu wojennego? Dlaczego prowadzi się handel z agresorem? Dlaczego nie podpisano deklaracji stowarzyszeniowej z Unią Europejską? Handluje się? Czym? Zrzekając się narodowych interesów?

Nasi żołnierze wszystko kupują sami (albo ich rodziny): hełmy, kamizelki kuloodporne. Płacą gotówką za lekarstwa, za prześwietlenie, za ekspresowe fotografie do dokumentów. Na poligonach każdego dnia umierają ludzie: z wycieńczenia, z chorób, ze strachu (i takie wypadki miały miejsce), wszystko zostaje przemilczane.

Żaden z wojskowych, którzy doprowadzili do klęski niejedną operację, nie poniósł odpowiedzialności. Żaden z polityków, którzy agitowali za wojną, nie siedzi w więzieniu. Nikt z „gniazda” Janukowycza nie został aresztowany. Wprost przeciwnie, dzisiaj znów biorą udział w wyborach.

¹ W kwietniu 2014 separatyści zamknęli w „kotle” oddziały ukraińskie, pozbawiając je zaopatrzenia w amunicję i żywność.

Євген БАРАН

ВІЙНА: ІНФОРМАЦІЯ ДО РОЗДУМІВ

[Лист до друзів у Польщі]

Нас годували «байками». Годують і досі, навіть після трагедії під Іловайськом. Навіть після здачі Луганського аеропорту. Навіть після входження росіян у Донецьк. Прем’єр-міністр виступає перед школярами як головний ідеолог, а Президент і далі клянеться захищати Україну, називаючи війну вітчизняною, але нічого не роблячи по-суті.

Результат відомий. Росія веде повномасштабну війну, українські вояки із автоматами АК 1964 року випуску, які заклинюють у найневідповідніший момент, захищаються. Тільки й того, що Росія ще не бомбить українські міста, а воює поки що за Донбас.

Що Україна? Український політикум? Готується до виборів. Куди? В який парламент?

Запитання прості. Чому не введено військовий стан? Чому торгують з агресором? Чому не підписана Асоціація з ЄС? Торгуються? Про що? Про здачу національних інтересів?

Наші солдати все купують самі (або їхні родини): каски, бронежилети. Платять гроші за медкартки, за флюорографію, за миттєві знімки для документів. На полігонах щодня вмирають люди: від виснаження, від хвороби, від страху (і такі випадки трапляються), все замовчується.

Ніхто з військових, які провалили не одну операцію не відповів. Жоден із політиків, які агітували за війну, не сидить у тюрмі. Жоден із гнізда Януковича не арештований. Навпаки, сьогодні вони знову беруть участь у виборах.

Ніде у владі не появилися нові люди. Колода влади стара. Затерта, але незмін-

Wśród rządzących nie pojawili się nowi ludzie. Pień władzy jest stary. Wygladzony, ale niezmienny. Ludzie u władzy nie czują się pewnie i nie chcą być pewnymi, dlatego zachowują się, jakby byli tymczasowo. Kradną, jak i ich poprzednicy. Kradną i nie wstydzą się tego. Urzędnicy różnych szczebli. Kradną tam, gdzie da się ukraść. Gdzie ukraść się nie da, też kradną.

Młodzi chłopcy i mężczyźni giną za ideę, a politycy walczą o wpływy i władzę nad rzeką pieniędzy. [...]

Przegrywamy nie dlatego, że Europa nas oddaje. Ona nigdy się nie zmieniła. Przegrywamy dlatego, że politycy, którzy kłamstwami doszli do władzy, nie chcą zmienić struktury rządów, tylko nałożyć im nowy makijaż. Prostytutka, odziewając się w białą suknię weselną, nie zmienia swojej natury. A my chcemy wierzyć w bajki.

Mam wrażenie, że ukraińskie odrodzenie odbyło się dlatego, żeby zidentyfikować Ukraińców i ich zniszczyć.

Kiedyś Mykoła Skrypnyk – narkom² oświaty w latach 1932 – 1933, ten sam, który zastrzelił się w lipcu 1933, zapytał pisarza Hnata Chotkewycza, dlaczego go nie lubi: „Przecież jestem takim samym Ukraińcem, jak i pan”. „Pan jest Ukraińcem z nakazu, a ja jestem Ukraińcem bez nakazu” – odpowiedział Hnat Chotkewycz.

Dzisiaj Ukraińcy bez nakazu umierają w Donbasie.

Ukraińcy z nakazu szykują się do wyborów parlamentarnych.

Historia się powtarza.

I nie ma na to rady?!...

*Jewhen Baran
05.09.2014*

Jewhen Baran – wybitny ukraiński literaturoznawca, eseista, krytyk literacki, przewodniczący oddziału Związku Pisarzy Ukrainy w Iwano-Frankiwsku. Studia doktoranckie ukończył w Instytucie Literatury im. Tarasa Szewczenki Ukraińskiej Akademii Nauk, od 1998 pracuje jako docent w Katedrze Ukraińskiej Literatury Przykarpackiego Uniwersytetu im. Wasyla Stefanyka. Autor kilkunastu książek i literackich monografii, tłumacz polskiej poezji współczesnej.

² *Narkom* – narodowy komisarz.

на. Люди у владі не чуються певними, і не хочуть бути певними, а тому поводяться як временщики. Крадуть, як і їхні попередники. Крадуть і не соромляться. Чиновники різних рівнів. Крадуть там, де крадеться. Де не крадеться, теж крадуть.

Молоді хлопці і чоловіки гинуть за ідею, а політики б'ються за вплив і керування грошовими потоками. [...]

Ми програємо не тому, що Європа нас здає. Вона ніколи не змінювалася. Ми програємо тому, що політики, які неправдами прийшли до влади, не хочуть змінювати структуру влади, тільки навести новий макіяж. Проститутка, одягнувшись у весільне біле плаття, не змінює своєї суті. Ми ж хочемо вірити в казку.

Таке враження, що українське відродження проводилося для того, аби виявити українців і знищити їх. З допомогою Росії.

Колись Микола Скрипник, нарком освіти у 1932-1933 роках, той, який застрелився у липні 1933-го, запитав у письменника Гната Хоткевича, чому він не любить наркома: «Адже я такий самий українець, як і Ви». «Ви українець з наказу, а я українець без наказу», – відповів Гнат Хоткевич.

Сьогодні українці без наказу вмирають на Донбасі.

Українці з наказу готуються до виборів у парламент.

Історія повторюється.

І ради на те нема?!...

Євген Баран

05.09.2014

Wojciech Pestka

KOMENTARZ OD TŁUMACZA

Otrzymałem ten list od przyjaciela, pisarza z Ukrainy. Głos rozpaczy. Nie wiem, czy to reakcja na ustalenia szczytu NATO, czy rozgoryczenie zawieszeniem broni na warunkach dyktowanych przez Rosję. Putinowi nie można wierzyć – to już zrozumiałem. Każdy kolejny „biały” konwój humanitarny z Rosji będzie miał do wykonania czarną robotę.

Nie wiem, jak pomóc Ukrainie i jest mi z tym źle. Nikt nie lubi być bezsilny. Łatwiej, kiedy coś od nas zależy. Mam wrażenie, że wszyscy, poczynając od NATO, Unii Europejskiej, a kończąc na każdym przyzwoitym człowieku, czują się podobnie. Świat się zmienił, Rosja nie.

Wojciech Pestka

Bogdan Knop

KOMENTARZ DO LISTU

List Jewhena Barana Wojtek Pestka nazwał „listem rozpaczy”. Dodajmy – bezsilnej rozpaczy. Czym jest rozpacz w obliczu traconej ojczyzny, Polacy dobrze wiedzą, podobnie jak wiedzą, czym jest rozpacz w obliczu obojętności świata wobec jawnego gwałtu i niesprawiedliwości. Polacy przeżyli cztery rozbiory Rzeczypospolitej, Kongres Wiedeński, który usankcjonował *Finis Poloniae*, obojętność mocarstw wobec naszych powstań narodowych: Listopadowego, Styczniowego i Warszawskiego, pakt Ribbentrop–Mołotow zwany paktem z diabłem (tylko kto tu był diabłem), Konferencję Jałtańską i przesunięcie na kółkach swych granic o setki kilometrów. Gorycz nie jeden raz wylewała się z polskich gardeł, jak w tym hymnie ludu polskiego (niestety zawłaszczonym przez komunistów i populistów):

*Gdy naród do boju wystąpił z orężem
Panowie o czynszach radzili
Gdy naród zawołał „umrzem lub zwyciężym”
Panowie w stolicy bawili*

I gdyby w dalszych zwrotkach tego hymnu zmienić Warszawę na Kijów, to reszta prawie by się zgadzała. Bo oczywiście współcześni magnaci zwą się oligarchami. Tak oto historia potoczyła się kołem i koło to, które kręciło się na ciele nieszczęsnej, rozszarpanej I i II Rzeczypospolitej, teraz toczy się po rozszarpywanej właśnie Ukrainie.

I tak jak w Rzeczypospolitej, źródła jej nieszczęścia są i wewnętrzne, i zewnętrzne. Źle zorganizowane państwo, sprzedajne elity, skłonność do anarchii i duża mniejszość narodowa, na której nie można polegać – z jednej strony. Ale z drugiej – agresywny i potężny sąsiad (I RP miała takich trzech!).

Lecz tak jak dla Polaków źródłem nadziei jest ich hymn – *Jeszcze Polska nie zginęła*, tak i dla Ukraińców niech tym źródłem będą słowa ich pieśni narodowej – *Szcze ne wmerła Ukraina*, tak bardzo podobne do Mazurka Dąbrowskiego, jak podobne są losy naszych narodów.

Bogdan Knop

Tadeusz Piersiak

100 LAT [I WIĘCEJ] PANI PROFESOR!



Foto: A. Mieczysława

Jubileusz 90. urodzin i 65-lecia aktywności naukowej doktor Barbary Kubickiej-Czekaj był świadectwem przewagi ducha nad materią. Podczas okolicznościowej uroczystości, która odbyła się 22 października w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”, jej bohaterka udowodniła, że ma umysł o młodzieńczej świeżości i fenomenalną pamięć oraz poczucie humoru obywatelskie zdrowotne niedostatki ciała.

Barbara Kubicka-Czekaj jest jedną z tych osób, z powodu których przychodzi mi czasem żałować porzucenia dziennikarskiego fachu. Ze swoich rozlicznych notatek wyciągała dla mnie historyczno-literackie i kulturowe smakołyki, o których pisałem w Gazecie Wyborczej. Takich ciekawostek, przenoszących naszą rzeczywistość do wymiaru globalnej, a przynajmniej europejskiej czy ogólnopolskiej kultury, pani doktor ma w swoich notesach i archiwach jeszcze wiele. Pewnie jeszcze także zapisanych przez jej ojca – Andrzeja Kubickiego, którego dziś nazwalibyśmy regionalistą. To zresztą dom rodzinny niewątpliwie ukształtował młodą Barbarę.

Anegdota towarzyszyła Barbarze Kubickiej-

-Czekaj od urodzenia. Wspominała żartobliwie w dzień jubileuszy: *Na moim akcie urodzenia jest napis bardzo oryginalny „zawód ojca – nauczyciel”; a dalej, na dole strony: „za niepiśmienego ojca podpisano...”*.

Urodziła się w Sędziszowie, gdzie ojciec dostał przydział pracy jako absolwent Seminarium Nauczycielskiego w jego rodzinnym Jędrzejowie. Dziś jego imię nosi gimnazjum w Zespole Szkół w Mstowie. W tej bowiem miejscowości, przez 26 lat, do roku 1948, Andrzej Kubicki był nauczycielem i dyrektorem szkoły podstawowej. Z przerwą na czas wojny, kiedy zajmował się walką podziemną. Za udział w ruchu oporu zesłany został wraz z 13-letnim synem do obozu w Auschwitz. Jak wspominają go mstowianie: z przygotowania polonista, był rozmówczym historykiem, piszącym o przeszłości miasteczka i gminy. Grał na pianinie i komponował muzykę, także ilustracyjną do reżyserowanych przedstawień teatralnych.

Barbara Kubicka zdała konspiracyjną maturę. Aresztowanie ojca uniemożliwiło jej jednak podziemne studia. Te ukończyła dopiero po wojnie w Uniwersytecie Jagiellońskim

(ach, te nazwiska profesorów UJ padające z jej ust!). Uzyskała też dyplom średniej szkoły muzycznej jako pianistka. Talent odziedziczony po ojcu przekazała swojej córce Teresie – pianistce działającej obecnie w Paryżu.

To Teresa właśnie była inicjatorką spisku: *uczcijmy jubileusze mamy*. Sprawiała mi wielką przyjemność tym, że przyszła z tą ideą właśnie do Ośrodka Promocji Kultury. Oczywiście, długo tajemnicy utrzymać się nie dało. Tym bardziej, że w budowanie programu jubileuszowego spotkania zaangażowani zostali dawni studenci jubilatki, a i ona sama. Teresa dała recital złożony z kompozycji rodziny Ogińskich. Dawni studenci przypomnieli przy gitarze ogniskowe pieśni, wykonywane kiedyś również z udziałem „pani profesor”. Nobliwi dziś państwo: dyrektor szkoły w Koniecpolu i emerytowana nauczycielka spod Siewierza – wprowadzili mnóstwo radości, ale i nostalgii w ten wieczór. Były też wierszowane życzenia dla jubilatki i mini koncert Mateusza Dudy, młodego pianisty z Zespołu Szkół Muzycznych.

Ona sama z racji 65. (!) rocznicy aktywności polonistycznej zgodziła się wygłosić wykład. Co to był za wykład: płynął z ust wykładowczyni jak odczytywany z partytury, przetykany był wierszami wspomnianych poetów, cytowanymi z pamięci! Anna Operacz – niedawna dyrektorka Regionalnego Ośrodka Kultury, uczestnicząca w spotkaniu z grupą dawnych wychowanków jubilatki – mówiła po wykładzie to, co myśleli wszyscy, że i niejeden młody takiemu zadaniu tak pięknie by nie podołał.

W 1957 roku Barbara wyszła za mąż, również za nauczyciela. Wkrótce osiadła w Częstochowie, uczyła języka polskiego w Technikum Hutniczym – jak mówi, podpisała około 7000 świadectw maturalnych. Później zaproszona została do tworzącej się w Częstochowie Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, przekształconej w WSP. Nim odeszła na emeryturę, przepracowała w uczelni ponad 25 lat. Tytuł doktora uzyskała w wieku lat 55. Po przejściu w „stan spoczynku” nadal publikowała, wykładała na Uniwersyte-

cie Trzeciego Wieku.

Współtworzyła częstochowską polonistykę – była w gronie pierwszych historyków literatury, którzy wywodzili się z naszego miasta. Prowadzili wcześniej działalność naukową w innych ośrodkach i zgodzili się wrócić do Częstochowy, by pracować. Pani profesor jest też jedną z założycielek i wieloletnią prezes tutejszego Oddziału Towarzystwa im. Adama Mickiewicza.

Oddział Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza współtworzyła w 1956 roku. Jest oczywiście jego najstarszym członkiem, a prezesowała mu do roku 1991. Przed rokiem otrzymała z rąk przewodniczącego Zarządu Krajowego, prof. Jacka Wójcickiego, najwyższe wyróżnienie Towarzystwa – Dyplom Honorowy. Ceni go sobie wyżej niż Krzyż Zasługi czy Medal Komisji Edukacji Narodowej, których też jest posiadaczem.

Podczas październikowego spotkania odebrała z rąk wiceprezydenta Ryszarda Stefaniaka ustanowiony przez Radę Miasta Częstochowy medal *Merentibus*, przyznawany szczególnie zasłużonym obywatelom.

Podczas wieczoru była jeszcze jedna niespodzianka. Andrzej Szczepańczyk przyniósł tom prac jubilatki „Czenstochoviana”, wydany przez jego drukarnię „Gryf”, przez lata współpracującą i zaprzyjaźnioną z autorką. Jako pamiątka święta, książka ta trafiła do domów licznych uczestników spotkania.

Tadeusz Piersiak
Dyrektor Ośrodka Promocji Kultury
„Gaude Mater”



KALENDARIUM CZERWIEC – SIERPIEŃ 2014

- 2 czerwca** - spotkanie z Katarzyną Bondą w Odwachu;
- 9 czerwca** - spotkanie z Andrzejem Pilipiukiem w Odwachu;
- 9 czerwca** - spotkanie poetyckie „Przygoda z wierszem” w Cafe Belg;
- 15 czerwca** - I Festiwal Filmów Dokumentalnych im. Braci Krzemińskich „Moja Mała Ojczyzna” w Ośrodku Kultury Filmowej „Iluzja”;
- 23 czerwca** - spotkanie z Michałem Witkowskim w Odwachu;
- 25 czerwca** - Jubileusz 25-lecia pracy naukowej prof. Elżbiety Hurnik;
- 28 czerwca** - Noc Kulturalna;
- 14 lipca** - Łukasz Orbitowski gościem Akcji Alejowej w Odwachu;
- 14 lipca** - Maciej Skalik zwycięzcą XVII edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O ludzką twarz człowieka” zorganizowanego w Tychach;
- 28 lipca** - spotkanie z Katarzyną Grocholą w Odwachu;
- 4 sierpnia** - spotkanie z Mariuszem Czubajem w Odwachu;
- 25 sierpnia** - spotkanie z Robertem M. Wegnerem w Odwachu;
- 29 sierpnia** - Konrad Ludwicki laureatem Nagrody Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury, w kategorii literatura i historia – za całokształt działalności twórczej i propagatorskiej w dziedzinie literatury.

KALENDARIUM WRZESIEŃ – LISTOPAD 2014

- 3 września** - promocja książki Katarzyny Bondziachowskiej „Księżna Izabela Czartoryska” w OPK „Gaude Mater”;
- 5-7 września** - XV Dni Europejskiej Kultury Ludowej;
- 9 września** - Janusz Mielczarek laureatem XI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. S. Grochowiaka organizowanego w Lesznie (I nagroda w kategorii prozy);
- 10 września** - ukazała się GALERIA „29”;
- 16 września** - spotkanie z Rafałem A. Ziemkiewiczem w Klubie Frondy;
- 1 października** - promocja książki „Kadra dowódcza 7 Dywizji Piechoty w latach 1918-1939” autorstwa Lecha Mastalskiego w Muzeum Częstochowskim;
- 6-12 października** - Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”;
- 6 października** - spotkanie z Krzysztofem Vargą w Cafe Belg;
- 9 października** - spotkanie z Witem Szostakiem w Rue De Foch;
- 10 października** - spotkanie z Rafałem Kosikiem w Bibliotece Publicznej im. dr Władysława Biegańskiego;
- 12 października** - warsztaty książki dotykowej w Regionalnym Ośrodku Kultury;
- 15 października** - promocja książek Joanny Szymańskiej „Pytania (d)o Boga” i Agnieszki Złotej „Częstochowskie szkice krytycznoliterackie” w OPK „Gaude Mater”;
- 20 października** - wieczór autorski Leszka Engelkinga (promocja książki „Komu kibicują umarli?”) w OPK „Gaude Mater”;
- 22 października** - Jubileusz 65-lecia pracy naukowej dr Barbary Kubickiej-Czekaj w OPK „Gaude Mater”;
- 22 października** - wieczór autorski Janusza Mielczarka – „Do widzenia Panie Fellini. Zmyślenia wieczorne”, Ratusz;
- 5 listopada** - promocja książki Piotra Pawła Kobiara „Angel of Water: strumień życia i źródło młodości” w OPK „Gaude Mater”;
- 6 listopada** - promocja książki Zbigniewa Zielińskiego „7 dywizja Armii Krajowej” w OPK „Gaude Mater”;
- 14 listopada** - promocja książki Ole Nydahl’a „Być pożytecznym” w OPK „Gaude Mater”;
- 15 listopada** - Jubileusz Zbysława Janikowskiego, promocja książki „Remanent” w OPK „Gaude Mater”;
- 25 listopada** - promocja książki Rafała Stobieckiego „Historycy polscy wobec wyzwań XX wieku” w OPK „Gaude Mater”;
- 27 listopada** - wieczór literacko-muzyczny poświęcony postaci i twórczości Władysława Sebyły w OPK „Gaude Mater”;
- 27 listopada** - ukazała się GALERIA „30”.

Rafał Socha

MACIEJ SKALIK ZWYCIĘZCĄ KONKURSU POETYCKIEGO „O LUDZKĄ TWARZ CZŁOWIEKA”

Maciej Skalik – redaktor „Galerii”, fotograf, a zwłaszcza poeta – zdobył I Nagrodę w XVII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „O ludzką twarz człowieka”. Werdykt ogłoszono 14 lipca 2014 roku w Tychach.

Do tegorocznej edycji konkursu zgłoszono 163 zestawy wierszy. Stąd wniosek, że konkurs cieszył się sporym zainteresowaniem. Drugą nagrodę [*ex aequo*] zdobyli: Eligiusz Buczyński [Białystok], Emilia Mazurek [Warszawa], Milena Rytelewska [Myszków], a trzecią [również *ex aequo*]: Anna Piliszewska [Wieliczka], Ida Sieciechowicz [Madryt, Hiszpania], Katarzyna Zychła [Sieniawa Żarska].

Wiersze oceniało jury w składzie ks. Wacław Buryła [Krośnice – poeta, organizator konkursu, przewodniczący jury], Rafał Jaworski [Tychy – poeta, eseista, twórca ikon i obrazów sakralnych], Zofia Prysłowska [Wrocław – poetka, Prezes Stowarzyszenia „W Cieniu Lipy Czarnoleskiej”, wydawca, redaktor naczelny portalu *www.strumienie.eu*], Andrzej Zbigniew Walter [Gliwice – poeta, fotograf].

Gratulujemy wszystkim laureatom – z życzeniami kolejnych sukcesów artystycznych.

Michał Wilk

* Nagrodzone wiersze Macieja Skalika publikujemy w niniejszym numerze w dziale „Laurów wieniec” [s. 19].



Uczestnicy konkursu – drugi od lewej laureat Maciej Skalik (foto: ze zbiorów prywatnych).

NAGRODY PREZYDENTA CZĘSTOCHOWY W DZIEDZINIE KULTURY ZA ROK 2013

29 sierpnia podczas uroczystości w Miejskim Domu Kultury z okazji XXII Dni Częstochowy wręczono Nagrody Miasta Częstochowy. Przyznano je w 5 kategoriach.

W kategorii teatr i film nagrodę odebrała Iwona Chołuj [za całokształt osiągnięć artystycznych], literatura i historia: Konrad Ludwicki [za całokształt działalności twórczej i propagatorskiej w dziedzinie literatury], muzyka i taniec: Olek Klepacz [za całokształt działalności kompozytorskiej i wykonawczej], sztuki plastyczne: Piotr Dłubak [za całokształt działalności w dziedzinie fotografii], a w kategorii promocji i ochrony kultury Ireneusz Kozera [za całokształt osiągnięć w dzie-

dzinie promocji i upowszechniania kultury].

Honorowymi nagrodami uhonorowano ponadto Irit Amiel [za całokształt osiągnięć w dziedzinie poezji i literatury oraz utrzymywanie stałych związków z rodzinnym miastem i budowanie pozytywnego wizerunku Częstochowy na świecie] i Stefana Chabrowskiego. Tytuł Mecenasa Kultury otrzymali Tauron Dystrybucja S.A. i Multimedia Polska S.A.. Elżbieta Jeziorowska-Wróbel i Włodzimierz Kuca otrzymali odznaki honorowe „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, przyznane przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Michał Wilk

ALEJE - TU NAPRAWDĘ SIĘ DZIEJE!

Koniec wakacji to dobry czas do podsumowań, również tych kulturalnych. Dlatego warto spojrzeć wstecz i przyjrzeć się temu, co działo się w ramach akcji „Aleje – tu się dzieje!”, zwłaszcza, że tego lata, od maja do sierpnia, zorganizowano ponad 150 wydarzeń o przeróżnej tematyce.

Miłośnicy literatury mieli między innymi okazję do spotkania z przedstawicielami polskiej literatury. Wśród zaproszonych gości byli m.in. Eustachy Rylski, Irit Amiel, Wojciech Kuczok, Michał Witkowski, Andrzej Pilipiuk, Katarzyna Bonda czy Katarzyna Grochola. Były również spotkania związane z podróżowaniem, podczas których o swoim doświadczeniu i wędrówkach opowiadali znani globtroterzy. Każdy wtorek stawał się dniem dziecka, by również najmłodsi mieli swój udział w festiwalu. Ponadto można było zobaczyć spektakle częstochowskich teatrów i kabaretów, czy wysłuchać muzyki wielu wykonawców.

Zadbano również o sztuki wizualne. Zorganizowano wiele rozmaitych wystaw, wernisaży i warsztatów plastycznych. Postawiono także na aktywność ruchową, nie zabrakło więc sportu, np. podczas turniejów: 3x3 Spal-

ding Streetball Open oraz Grand Prix Częstochowy w Koszykówce 3x3.

Akcja „Aleje – tu się dzieje!” swoim patronatem objęła także duże wydarzenia plenerowe oraz miejskie festiwale [Festiwal Retro Częstochowa, Hip Hop Elements Częstochowa, Red Bull Tour Bus]. Rozpoczęto również pierwszą edycję Festiwalu Filmów Dokumentalnych im. Braci Krzemińskich „Moja mała ojczyzna”.

Postarano się również pozostawić po sobie ślad w postaci malowideł ściennych. I tak od 4 sierpnia w bramie przy Alei Najświętszej Maryi Panny 65 można podziwiać mural „Oko cyklopa”, przygotowany przez częstochowskiego artystę Jacka Sztukę. Na elewacji szczytowej budynku przy ul. Dąbrowskiego 1 rozpoczęły się również prace związane z powstaniem muralu „Wieża Babel”, którego autorem jest Tomasz Sętowski.

Szczegóły wszystkich imprez i wydarzeń związanych z akcją „Aleje - tu się dzieje!” znaleźć można na stronie internetowej przedsięwzięcia: aleje.czystochowa.pl. Dostępne tam są również galerie zdjęć i inne materiały multimedialne.

Michał Wilk

JANUSZ MIELCZAREK LAUREATEM KONKURSU IM. STANISŁAWA GROCHOWIAKA

Częstochowski pisarz i fotograf – Janusz Mielczarek – zdobył I nagrodę w XI Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Stanisława Grochowiaka w kategorii prozy za dwa opowiadania: „Karuzelowy” i „Jeszcze tylko tango”. Uroczysta gala wręczenia nagród odbyła się 20 września w miejskim ratuszu w Lesznie.

Konkurs został ogłoszony w styczniu 2014 roku, w przeddzień 80. rocznicy urodzin Stanisława Grochowiaka, a stanowił najważniejszy element całorocznego projektu „Urodzinowy Maraton Grochowiaka”, realizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną im. Stanisława Grochowiaka i leszczyński

Oddział Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Patronatem objął go prezydent Leszna Tomasz Malepszy.

W składzie jury znaleźli się: Sergiusz Sterna-Wachowiak [poeta, eseista, krytyk literacki, prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich] – przewodniczący, Janusz Drzewucki [poeta, dziennikarz, krytyk literacki, redaktor miesięcznika „Twórczość”] oraz Mieczysław Orski [poeta, prozaik, krytyk literacki, redaktor naczelny miesięcznika „Odra”].

Michał Wilk



*Laureaci XI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. S. Grochowiaka
– czwarty od lewej Janusz Mielczarek (foto: J. Gola)*

NAGRODA DLA MAŁGORZATY KOZAKOWSKIEJ

Małgorzata Kozakowska, utalentowana częstochowska fotograficzka, 11 paź-

dziernika 2014 roku otrzymała najwyższą nagrodę w XVI Międzynarodowym Niekonwencjonalnym Konkursie Fotograficznym „FOTO ODLOT”, organizowanym przez Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie pod patronatem Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej FIAP, Marszałka Województwa Podkarpackiego i Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej.

Jury stwierdziło, że 180 autorów z 21 krajów przysłało ogółem 753 zdjęcia [w tym 63 zestawów zdjęciowych], a ZŁOTY MEDAL FIAP i nagrodę pieniężną ufundowaną przez WDK w Rzeszowie otrzymała Małgorzata Kozakowska [Częstochowa, Polska] – za zestaw prac pt. „Gra formy i czasu”. Prace laureatów, w tym zwycięzcy zostały zaprezentowane podczas wystawy pokonkursowej w dniach 4 – 27 października 2014 r. Ponadto fotografie Małgorzaty Kozakowskiej ozdobiły plakat, informujący o wystawie pokonkursowej. Gratulujemy i bardzo się cieszymy!

Barbara Strzelbicka

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY W RZESZOWIE
FOTOKLUB RP - FUNDACJA FOTOGRAFIA DLA PRZYSZŁOŚCI
**XVI MIĘDZYNARODOWY NIEKONWENCJONALNY
KONKURS FOTOGRAFICZNY FOTO ODLOT**



**FOTO ODLOT WYSTAWA
POKONKURSOWA**
4-23 października 2014 r.
Galeria Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie



NAGRODA IM. KAROLA MIARKI DLA PROF. ELŻBIETY HURNIK

W dniu 22 października 2014 roku dr hab. Elżbieta Hurnik [prof. nadzw. w Instytucie Filologii Polskiej AJD] otrzymała Nagrodę im. Karola Miarki. Nagroda ta przyznana została „za wybitny dorobek wzbogacający wartości kultury regionu i kraju”.

W tym roku Nagrodę przyznano 32. raz; otrzymało ją sześć osób z Województwa Śląskiego i Województwa Opolskiego. Na dorobek prof. Elżbiety Hurnik złożyły się osią-

gnięcia naukowe, dydaktyczne, organizacyjne, praca na rzecz kultury miasta.

Elżbieta Hurnik związana jest z Uczelnią od 1987 roku. Pracowała początkowo [przez kilka miesięcy] na stanowisku asystenta, potem adiunkta; od 1 lutego 2002 r. zatrudniona jest na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Instytucie Filologii Polskiej AJD. Kieruje Zakładem Historii Literatury Polskiej XX Wieku i Literatury Najnowszej. Od 1 października 2012 do 31 sierpnia 2014 roku

była kierownikiem Studiów Doktoranckich w dyscyplinie: literaturoznawstwo. Prowadzi – między innymi – zajęcia z historii literatury Młodej Polski, XX wieku i literatury najnowszej, kultury regionu, metodyki pracy naukowej literaturoznawcy, seminarium magisterskie i doktorskie.

Jest członkiem Komisji Historyczno-Literackiej PAN – Oddział w Katowicach, Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza – Oddział w Częstochowie, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Częstochowskiego Towarzystwa Naukowego, Rady Naukowo-Programowej Uniwersytetu Trzeciego Wieku przy AJD, Rady Muzeum Częstochowskiego. Przez kilka lat była członkiem Senatu Akademii im. Jana Długosza, uczestniczy w pracach Senackiej Komisji ds. Wydawnictwa, pełniła funkcję przewodniczącej Komitetu Redakcyjnego Wydawnictwa. Od 2001 r. jest członkiem Rady Wydziału Filologiczno-Historycznego AJD.

W latach 2003-2011 roku była współredaktorką czterech edycji *Prac Naukowych Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Filologia Polska. Historia i Teoria Literatury*, a także prac zbiorowych: *Literatura i kultura w Częstochowie. Częstochowa w literaturze i kulturze* [2009], *Halina Poświatowska. Czytanie wielokrotnie* [2010]. Opublikowała kilka książek i ponad 50 artykułów naukowych [w pracach zbiorowych i pismach naukowych], a także wiele szkiców popularyzatorskich. Wykonała 17 recenzji doktorskich i 19 recenzji wydawniczych.

Jeden z obszarów badawczych Elżbiety Hurnik to twórczość Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Efektem badań na tym obszarze są książki: *Natura w salonie mody. O międzywojennej liryce Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej* [1995], *Maria Pawlikowska-Jasnorzewska (zarys monograficzny)* [1999], drugie wydanie, poprawione i uzupełnione [2012] oraz kilkanaście artykułów. Elżbieta Hurnik zajmuje się także literaturą i kulturą modernizmu polskiego i wiedeńskiego, powinowactwami

kulturowymi, związkami pomiędzy literaturą a sztukami pięknymi. Wyniki badań z zakresu tej tematyki przedstawione zostały w artykułach opublikowanych w pracach zbiorowych oraz w książkach *W kręgu wiedeńskiej moderny. Z zagadnień polsko-austriackich powinowactw literacko-kulturowych* [2000] i *W Cekanii i gdzie indziej. Studia i szkice o literaturze i kulturze austriackiej i polskiej* [2011].

Zainteresowania Elżbiety Hurnik koncentrują się również wokół literatury powstającej w Częstochowie i regionie. Świadczą o tym publikacje: książka *Z częstochowskiej ziemi na „literacki Parnas”. Antologia wierszy Władysława Sebyły, Jerzego Lieberta, Haliny Poświatowskiej, Ludmiły Marjańskiej* [wstęp i wybór wierszy E. Hurnikowa, 2006] oraz artykuły na temat twórczości Ludmiły Marjańskiej, Haliny Poświatowskiej, szkice krytyczno-literackie dotyczące pisarzy współczesnych, recenzje oraz inne teksty tematycznie związane z literaturą i kulturą miasta i regionu, publikowane między innymi w częstochowskim czasopiśmie kulturalnym „Aleje 3”.

Elżbieta Hurnik była współorganizatorką trzech edycji cyklicznych konferencji naukowych „Czytanie Dwudziestolecia”. Od wielu lat uczestniczy w pracach jury konkursów literackich organizowanych w szkołach i instytucjach kulturalnych oraz w pracach komisji opiniujących wnioski o przyznanie dorocznych Stypendiów Twórczych i Artystycznych Prezydenta Miasta Częstochowy i Nagród Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury. Prowadzi wykłady dla słuchaczy Uniwersytetu III Wieku. Wygłasza odczyty w Bibliotece Publicznej im. dr Władysława Biegańskiego w Częstochowie, w szkołach, w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, w Filharmonii Częstochowskiej i innych placówkach. Od wielu lat niezwykle aktywnie działa na rzecz częstochowskiego środowiska kulturalnego. Jest inspiratorką i realizatorką licznych przedsięwzięć w zakresie upowszechniania wiedzy o języku polskim oraz w sferze

animacji kultury.

Profesor Elżbieta Hurnik w 2014 roku obchodziła 25-lecie pracy naukowej i dydaktycznej w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie oraz pracy na rzecz kultury miasta. W 1999 roku odznaczona została Medalem Komisji Edukacji Narodowej, w roku 2002 – Srebrnym Krzyżem Zasługi, w 2011 – Złotym Krzyżem Zasługi. W roku 2007 została laureatką Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie literatury za całokształt działalności ze szczególnym uwzględnieniem popularyzacji wiedzy o po-

etach ziemi częstochowskiej.

W 2014 roku otrzymała odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej oraz medal *Merentibus* od władz Częstochowy, przyznawany osobom szczególnie zasłużonym dla miasta.

[opr. za źródłem: <http://www.ifp.ajd.czyst.pl/n1247,Nagroda-im--Karola-Miarki-dla-prof--Elzbiety-Hurnik-Agnieszka-Zlota>]

ŚWIĘTO MUZYKI Z ODZNACZENIAMI

Tegoroczne Święto Muzyki, obchodzone w Częstochowie już po raz XVI, obfitowało w liczne wydarzenia – nie tylko muzyczne. Ich inicjatorem, podobnie jak organizatorem strony muzycznej, było Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater”, z powodzeniem zajmujące się propagowaniem kultury wysokiej – nie tylko muzycznej.

Obchody zainaugurowało wykonanie Mszy Koronacyjnej W. A. Mozarta – dzieła uświetniającego wydarzenia szczególne. Tym razem zabrzmiało w Bazylice Jasnogórskiej w wykonaniu orkiestry Filharmonii Częstochowskiej i zjednoczonych chórów. Przed koncertem pieśni Henryka Mikołaja Góreckiego, który odbył się w Bazylice 22 listopada 2014, zostały wręczone odznaki „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, przyznane przez Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Małgorzatę Omilanowską – na wniosek Stowarzyszenia dwóm częstochowianom: Arkadiuszowi Frani – poecie i krytykowi literackiemu oraz Zdzisławowi Sowińskiemu – reżyserowi, scenarzystcie, operatorowi filmowemu i fotografikowi, znanemu m. in. dzięki wystawie fotografii poświęconych Wojciechowi Kilarowi z 2012 r.

Na tym samym koncercie został wręczony

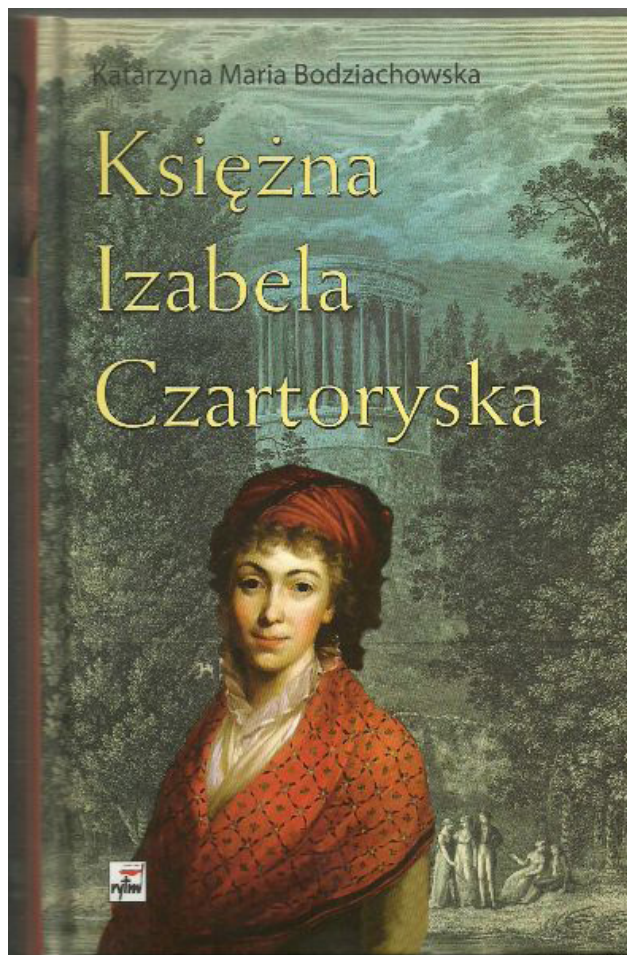
klasztorowi Ojców Paulinów na Jasnej Górze medal, wybitny z brązu w 30 egzemplarzach z okazji jubileuszu 10-lecia Stowarzyszenia i przyznany dotąd 9 podmiotom. Dalsza część obchodów miała miejsce na koncercie, dedykowanym pamięci Krzysztofa Pośpiecha, zmarłego w 2012 roku animatora życia muzycznego naszego miasta i twórcy Święta Muzyki. Na scenie auli kościoła p.w. św. Zygmunta wystąpili młodzi muzycy, zaś organizatorzy ogłosili utworzenie stypendium im. Krzysztofa Pośpiecha, które będzie miało za zadanie wspierać utalentowanych młodych ludzi. Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater” także zostało nagrodzone: z okazji jubileuszu 15-lecia swojego istnienia otrzymało od Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego nagrodę pieniężną w wysokości 15 tys. zł, którą postanowiło wykorzystać na statutową działalność kulturalną.

Trzeba przyznać, że tegoroczne Święto Muzyki było wyjątkowo bogate w wydarzenia!

Barbara Strzelbicka

Andrzej Kalinin

„KSIĘŻNA IZABELA CZARTORYSKA” KATARZYNY MARII BODZIACHOWSKIEJ



Ukazała się właśnie, pięknie wydana, najnowsza książka pani Katarzyny Marii Bodziachowskiej pt. „Księżna Izabela Czartoryska”. Wchodzi ona w skład serii książek tej autorki, ukazujących się pod wspólną nazwą, „Nasze niezwykle historie”. Zawarte są tu opowieści o ciekawych Polkach i Polakach, których losy, na przestrzeni wieków, wiązały się z dziejami Rzeczypospolitej.

„Księżna Izabela Czartoryska” jest trzecią

książką z cyklu tej autorki. Pierwszą była „Fortepianowa podróż Fryderyka Chopina”, rzecz raczej dla młodzieży, chociaż wszystkim czytelnikom jednakowo pięknie przybliżyła postać naszego wielkiego kompozytora. Opisuje ludzi i miejsca związane z jego życiem, a także ważne wydarzenia biograficzne. Kolejną książką z tej serii jest „Marynka” – opisująca przedziwne dzieje Marii Leszczyńskiej, która także była królową Francji. No i ta ostatnia, wydana niedawno przez warszawską Oficynę Wydawniczą „RYTM” opowieść o Księżnej Izabeli Czartoryskiej.

Jeżeli ktoś z dzisiejszych czytelników zwątpił już w dobrą, inteligentną literaturę, to polecam właśnie publikację Katarzyny Bodziachowskiej.

Pisze ona książki historyczne, a więc bardzo trudne, bo opierające się na faktach. Związane zatem z olbrzymim reżymem twórczym. Nie ma tu miejsca na fantazjowa-

nie czy literackie onomatopeje. Mówi się tu przecież o losach naszych wielkich rodaków. Ukazuje ich życie na tle swoich rodzin i wydarzeń epoki. Są tu również barwne opisy obyczajów wraz ze strojami, ucztami, polowaniami, a także intrygami, co przydaje tym książkom uroku, a często pikanterii.

O najnowszej książce Katarzyny Marii Bodziachowskiej warszawskie wydawnictwo

„RYTM” taką oto informację zamieściło na obwolucie. Ponieważ zgadzam się z nią w pełni, więc ją tu przytoczę:

„Jest to fascynująca opowieść o księżnej Izabeli z Flemingów Czartoryskiej, jednej ze sławniejszych dam swojej epoki, muzie artystów, przyjaciółce polityków, kobiecie silnej, wzbudzającej podziw, ale i liczne kontrowersje. Książka pokazuje także pasję księżnej Izabeli. Jej kompleksy, budzące zgorznienie romanse, zmagania z przeciwnościami losu, tragedie życiowe, a także jej dwie największe miłości – do dzieci i Ojczyzny. W opowieści tej odnajdujemy także przejmujący obraz chylącej się ku upadkowi Rzeczypospolitej Obojga Narodów, kraju skonfliktowanych Polaków, wielkich i małych bohaterów, zdrajców i patriotów. Książka tętni życiem i ujmuje dynamiką zdarzeń. Przedstawia całą plejadę znanych postaci historycznych, ich dylematy moralne i jakże trudne czasami decyzje. Wszystko to uzupełniają świetne dygresje o życiu, przemijaniu i ludzkich przywarach, o dumie i egocentryzmie Polaków”.

Tyle wydawnictwo.

Ja od siebie zaś chciałbym dodać tylko, że książka napisana jest po mistrzowsku, piękną polszczyzną, z nadzwyczajną muzykalnością pobrzmiewającą w każdym zdaniu i każdym opisie. Niewiele jest teraz takich książek w księgarniach. Mamy więc nową, świetną pisarkę! I wiem, co mówię, bo przecież od siedemdziesięciu lat nałogowo czytam książki. Mam więc skalę porównawczą. Jednym słowem, pani Kasiu, wielki „szacun” – jak mówią dziś młodzi.

Katarzyna Maria Bodziachowska jest absolwentką wydziału filologiczno-historycznego i długoletnią polonistką w IX LO im. Cypriana Kamila Norwida w Częstochowie. Od lat interesuje się szeroko pojętą kulturą, jest wielbicielek muzyki, pasjonatką literatury, historii i tradycji polskich. W 2012 roku uhonorowana została Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Jest pomysłodawczynią i organizatorką Regionalnego Konkursu Językoznawczego dla gimnazjalistów oraz realizatorką Norwidowskich Spotkań Humanistycznych. Jej książki z cyklu: „Nasze niezwykle historie” opowiadają o wielkich Polakach, urzekają przy tym pięknem języka i artystyczną dojrzałością. Wśród czytelników i w środowisku literackim jest uznaną już pisarką, autorką trzech książek oraz wielu polonistycznych esejów i publikacji.

Andrzej Kalinin

I jeszcze kilka słów o autorce.

Maciej Skalik

Z WIERSZY NAGRODZONYCH*

Meldunek

wolontariuszom krwi za ojczyznę

Byliśmy jak krople deszczu
bez nagłych zwrotów w prawo
w lewo. Parliśmy w dół.
Z jarzmem nagrody
obecności w bohaterskim zaśpiewie.

Rozważanie o śmierci, poprzedzone samobójstwem pana X

oparte na faktach

właściwie to jej cichy śpiew
milczenie paktu przed jutrznią
chłodny powiew przynoszący ulgę
białe sterowce dryfujące po wodach
podniebnych
granie w cierpienie przejdzie sprawnie
tak jak granie w życie
szybciej niż nasze poczucie pewności
głęboki oddech potrafi załagodzić
ból niezrozumienia
pytania bez odpowiedzi
tylko blizna na sercu pozostanie
wryta rozgrzanym żelazem
barbarzyńsko bez pytania o zgodę

właściwie nie możemy być zdziwieni
przecież całe życie jesteśmy oswajani

Rozmowa z przyjacielem o życiu wiecznym

powiedział do sługi – „dlaczego mnie bijesz”

bażant przeciął nam drogę
(gdy spacerowaliśmy wiosennym dniem
wzdłuż drogi krzyżowej na Górcę
Przepróśnej)
z głową wyciągniętą by w pędzie nie wpaść
na drzewo
i ogonem nisko kurzącym w trawie
dla równowagi

znam dobrze ten typ, wsiąść na konia
by uznać to za zbędne, decyzję o migracji
za lepszym życiem odwlekać
w nieskończoność
grać argumentami jak pionkami
na szachownicy
długo obmyślając każdy ruch

gdy trzeba wystawia się pionek żeby
bronić króla
to jeszcze nie dramat. Żyjemy pod groźbą
wojny
czy nasi antenaci spodziewali się pójścia
w kamasze?
I wojna nic nie znaczy, można stać
na górze widzieć
szeroki horyzont i mówić „dobrze nam
tu być”

podczas gdy życie jest na innej górze.
Powiedz
czy w końcu obowiązuje nas ten świat?
czy żyjemy w tęsknocie i niecierpliwą
nadzieją
wieczności? Chyba żeby czynić go lepszym...

* Wiersze nagrodzone w konkursie poetyckim
„O ludzką twarz człowieka”.

Maciej Skalik

Mateusz Fryszner

WIERSZE

Dumka o miłości

czasami marzę o burzy
w wielkim
portowym mieście

a tu górskie szlaki są
nieznane

zapominam
a twoja twarz
jedwabno-doskonała

Hymn o śmierci

nie sprawiedliwą jesteś
śmierci
unosisz się gniewem
prawdę omijasz

lecz śmierć bywa
wybawieniem

nadzieją na inne
jutro

w końcu śmierć
przychodzi
i już jest nam
lepiej

SECRI FACE

skorpionem
na pustyni żądlić

światem złym
spłynąć
jego nienawiść nie oczyszcza

z Bogiem droczyć się
o pokój
gwiazdę ostatnią ze zbioru

pokochać

oprócz mogiły
chwała chwała

drugie pokolenie
ma mieć tylko mogiłę

pamięć nasza
niedoskonała

Bełkot na kacu

powiem stop
uprzedzeniom

wystąpię z tłumu
przed szereg

i wielkość okazać

tolerancja
akceptacja
miłość
są życiem

z nienawiści
umierasz

Senny bełkot

wszystko boli
trzecie oko
drugi żołądek
i trzydziesty trzeci ząb

ból niemy przeszywa
nie wiem skąd przyszedł

zapłaciłem za wszystko

i już czekają na mnie
w psychiatryku

Bełkot o nas

ja... tajemniczy
ty... odkryta karta
pikowa dama
mknąca po bezkresach
asfaltowych łąk

zwyciężymy
czy chwała dla nas?

śmierć lubi zakrywać
kartę wybranych

Mateusz Fryszner

Mateusz Fryszner – rocznik 1994, student drugiego roku psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego i pierwszego roku filologii polskiej. Absolwent V Liceum im. Mikołaja Kopernika w Częstochowie.

Maciej Skalik

CZEKAJĄC NA NARODZINY POETY. O DEBIUCIE PRASOWYM MATEUSZA FRYSZERA

Kandydat na poetę szuka języka poetyckiego za pomocą słów przestarzałych, nieużywanych, nienowoczesnych: „mknąca po bezkresach”. Czasami zmienia szyk zdania, któremu próbuje nadać poetycki charakter: „skorpionem na pustyni żądlić”.

Poprzez senny bełkot wypowiedzi mknę po bezkresach pejzaży miejskich. Wyraża metafizyczny, abstrakcyjny ból istnienia, który wykupuje się za cenę zdrowia psychicznego. W słowach zawiera odwagę, gotowość bohaterskiego wychodzenia przed szereg. W czasach, w których świat zmienił się w cybernetyczną pustynię.

Wydobywa z siebie głos o potrzebie wartości, o chęci życia. Chociaż za otoczką słów stoją konsekwencje upojenia alkoholowego. Czy jest to próba poetyckiej drwiny? Pastisz nad dobrem jako wartością niemodną? Motyw śmierci, tęsknoty za światem dobrym, za miłością. Pod wrocławskim adresem zameldowania prędzej czy później stanie mu na drodze Wojacek. Jeżeli człowiek wrażliwy, nie zostawi owego spotkania bez odzewu. Może autor sam oczekuje od muz, że obleją go mrocznym zaszczycem poety wyklętego?

Jak wielu przed nim podchodzi do wielkiej, błoniastej ściany, za którą czekają nagrody, splendor, własny literacki styl, ale przede wszystkim tożsamość poety. Jego dłonie muszą doświadczyć lepiącej treści mdłych metafor. Oślizłej mazi pseudopoetyckiej nowomowy. Czy muszą poradzić sobie z bielmem banału tematycznego. Cały ten ociekający szlam wdzierający się do ust musi w ostateczności odebrać głos. Okaleczyć...

Kiedy kandydat wszystko to zostawi za sobą, jest szansa na narodziny poety. Który mówi, bo ma coś do powiedzenia i robi to pięknie.

Teksty Mateusza Fryszera są „młodociane”, niekiedy wymagają przemyśleń, ale nade wszystko pracy. Po studencie psychologii i filologii polskiej chciałoby się oczekiwać więcej. Wszak i Thomas Tranströmer był kiedyś studentem psychologii. Jednak nie kierunek studiów jest wyznacznikiem talentu poetyckiego. Podobnie jak nie każda broda czyni filozofem... Muzy są rozsądne, możemy czuć się bezpieczni.

Nikt nie może być przekonany o własnym geniuszu, jedynie czytelnik ma władzę przyparzania chwały.

Maciej Skalik

Anna Maria Mickiewicz

WIERSE Z BRYTYJSKIEGO TOMU „LONDON MANUSCRIPT”

[W JĘZYKU POLSKIM ORAZ UTWORY WYBRANE]

Kamelie

Zasnute myślami kameliowe ulice
Drzemią
Budzą się dźwięcznie, zapachami wspomnień
Otwierają kwiaty szybko kradnąc promienie
Oczekują
Na greckich posłańców
Na aromatyczny powiew szafirowych fal
Tak każdego dnia
Otoczone blaskiem
Obręczą londyńskiego nieba...

Londyn, 2009

Serce we Francji

Noc...
Otwierają się strony miłosnych obłoków
Spłacając długi beztróskim Zefirom
Obeliski i mury Aigues-Mortes
To tam rosły srebrne eukaliptusy
To tam pachniała bielą chłodna herbata
To tam pięły się wysoko
Słowa
Ambicje
Nadzieje
Radości
Zarośnięta plaża
Wydeptana trawa nieznająca chrobotu kosiarek
Huczało morze
Brzęczał obłok
Raniony wyprawami krzyżowymi

Aigues-Mortes, Francja

Sokrates czyta myśli de Cubertin’a

Fala powodziowa przeszła
Bolesna empatia opadła
Bezdomny poszedł...
Marcin skosił trawę
Kawalkady niebios ucichły

Londyn 2014

O tajemnicy czasu

W samotności
niemego ogrodu
wiosenne przebiśniegi
budzą Sokratesa
ze snu o dialogu

Zawiera przymierze
z wiecznością

Zamyka się wieko
nikłościami pajęczyn
okute
Ono dotrzyma tajemnic
w pieśni kosa płochliwego
zaklętych

Sokrates zadzwonił nocą
Płakał

Londyn, wiosna 2013

Regent’s Park

Oświadczył się
W Regent’s Park
Niewidzialnym chmurom

A ona
Zapłątana różanym muślinem
Słońcem zatoczonym
Przeszła stopą złocistą
Przez szklane drzwi
Pod niebem zawieszonym
Na blaszanym zegarze
U wierzchołków wiktoriańskich wież
Wieczorem zamglonym

Londyn 2013

Szary płaszcz przyjaciela

Mgły znad morza
Zaciemniona sylwetka

Oparty o ławkę
 Układa rozwiane myśli
 Latami je zbierał
 Niegdyś
 Przerzął Nietzsche odległą mocą
 Dzisiaj...
 To dionizyjska bajka
 Na świecącym ekranie
 W płomieniu pamięci
 To tylko Moc wypierana słabościami...

Tajemnica manuskryptu

Wstajemy już obudzeni
 Jednak obleczeni chmurami
 Lawendami różami fontannami
 W zakłęciach
 Starych dziedzińców
 Wchodzimy mozaikami niebieskimi
 Szczербatymi
 Potykamy się o głosy
 Anielskich gotyków
 Żegnamy średniowieczne mury
 Otwieramy przestrzenie zagłuszone
 Nieznany literami

Oxford 2012

Pompeja dzisiaj

Sok pomidorowy wycofano
 Luksusowe bazyry lotnisk
 Osuszono
 Niegdyś tak trudno było wrócić
 W samolocie sok pomidorowy
 Znany słońcem ogrzany
 Teraz pusto
 Niecierwono
 W oddali wulkaniczne drżenie silników
 Szkliscie lśnią alabastrowe podłogi
 Kelnerzy bezwiednie oczekują
 Bagaży
 Ludzi
 Mil
 Sunąca lawa...

Warszawa-Londyn 2012

Wiosenne Przebudzenie

Rajemupojenie
 Forsycjikwitnienie
 Dniawidzenie
 Fioletumgnienie
 Słowikabudzenie
 Pstrokatęgojawkawitanie
 Liściaszemranie
 Palcaoparzonegopiecznienie
 Wiatruwdychanie
 Poduszekwietrzenie
 Dosiebiedochodzenie
 Chwiliodszukiwanie
 Zapachemkojenie

Polska, Wielkanoc 2011

Księżycowe przebudzenie Sokratesa

Słońce zadrżało od mimowolności
 Zagaszonego nieba
 Dosyciło księżyc zniewolony snem
 Sokrates założył okulary
 Zadniało wolą dobra

Londyn, sierpień 2014

Londyński poranek

Anioł stróż nałożył buty
 Nie wypił nawet wody
 Nakarmił kota
 Pożegnał matkę
 Poprawił garnitur
 Wsiadł do metra
 Przywitał żebraków
 I pogubięćców
 Otworzył cyfry książ
 W londyńskim biurówcu
 Zadzwoni później:
 Systemy ludzkich spraw zamykają o dwunastej

Londyn 2014

Anna Maria Mickiewicz

Anna Maria Mickiewicz – urodzona w Polsce, od lat mieszka poza krajem – początkowo w Kalifornii, obecnie, od dwudziestu lat, w Londynie. Wyróżniona zaszczytnym tytułem **Autorki Roku 2013**, nadanym przez amerykański portal literacki „miasto literatów 2000++”. Anglojęzyczny utwór *A Grey Coat* wygrał międzynarodowy konkurs poetycki organizowany przez brytyjskie wydawnictwo Poetry Space, w 2013 roku.

Publikuje od 1980 roku, kiedy to współredagowała studenckie pismo *Wywrotowiec*. Od tego czasu jej artykuły były drukowane w wielu pismach ogólnopolskich i zagranicznych. Najciekawsze z artykułów złożyły się na tom *Okruchy z okrągłego stołu*. Polskie impresje z lat 1989–1995 (Lublin: Norbertinum, 2000). W 1985 roku opublikowała debiutancki tom wierszy *Dziewanna* (wydanie II poszerzone, pt. *Proscenium*, ukazało się w 2010 roku w wydawnictwie Norbertinum). Publikuje w językach polskim i angielskim. Ostatnio, opublikowała anglojęzyczny tomik *London Manuscript* w brytyjskim wydawnictwie Poetry Space. Utwory poetyckie autorki zamieszczone zostały między innymi w antologiach: *Chopin with Cherries. A Tribute in Verse*, (Moonrise Press: Los Angeles, 2010) *Through A Child's Eyes: Poems From World War Two*, chosen by Moira Andrew (Great Britain: Poetry Space Ltd., 2013), *Contemporary Writers of Poland*, edited by Danusia Błaszczak (Orlando: Dreammeee Little City, 2013), *Piękni Ludzie. Poeci mojej emigracji*, wybór Adam Siemienińczyk (Warszawa: Wyd. IBiS, 2012).

W 2013 roku przedstawiła swe utwory podczas prestiżowego festiwalu literackiego w Kornwalii – The Penzance Literary Festival. Wiersze w języku angielskim poetka prezentuje również podczas wielu spotkań literackich w Londynie.

Anna Maria Mickiewicz publikowała między innymi w: londyńskim „Dzienniku Polskim”, nowojorskim „Nowym Dzienniku”, „Przeglądzie Polskim”, miesięczniku literackim „Akant”, „Poezji dzisiaj”, londyńskim „Pamiętniku Literackim”, „Nowym Czasie” (UK) oraz w anglojęzycznych magazynach literackich: „South Bank Poetry” (UK) „Krytyka”, „The Exiled Ink” (UK), „Syndic Literary Journal” (CA),

„Lost Coast Review” (CA) a także publikowała w tygodniku „Wprost”, „The Davis Enterprise” (CA). Jej utwory prezentowane były w Polskim Radiu, w londyńskim programie radiowym „Poets Anonymous” i w radiu australijskim. Zajmuje się również przekładami poezji z języka angielskiego na język polski. Współpracuje z kwartalnikiem literackim „Quo Vadis?” Członkini The English Pen. Przez wiele lat pełniła funkcję członkini Zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, obecnie jest członkinią Rady Opiniotwórczej ZPPnO. Redaguje też roczniki londyńskiego „Pamiętnika Literackiego”. Prowadzi portal „Fale Literackie/Literary Waves” /www.faleliterackie.com/, który przedstawia twórczość autorów emigracyjnych. Rozpoczęła wraz z University College London, z udziałem międzynarodowych grup poetyckich, spotkania poetyckie w ramach Światowego Dnia Poezji UNESCO - Europejskie Dialogi Literackie.

Jest też współautorką opracowań o charakterze eseistycznym zamieszczonych w trzech pracach zbiorowych – *Proza polska na obczyźnie. Problemy – dyskursy – uzupełnienia*, t. 1-2, Rzeszów 2007, *W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych. Kontynuacje*, Rzeszów: Wydawnictwo UR, 2011 oraz *Lublin 2020. Wizje rozwojowe*, Lublin 2009. Ponadto wstępy jej autorstwa ukazały się w książkach: Krzysztofa Muszkowskiego pt. *Spod angielskiego parasola*, Toruń 2006, w australijskim zbiorze opowiadań *Moja emigracja. My migration*, Buccan 2012 (Australia) i w tomiku poetyckim Steva Rustona *Burning a Paper Plate-Towards a New Art*, erbacce-press publications Liverpool UK 2014. Recenzja jej autorstwa ukazała się w australijskiej antologii pt. *Jeden dzień. Polska, jaką pamiętam*, Wyd. Favoryta, 2014 (Australia). Współpracowała z wieloma organizacjami, m.in. z brytyjskim kanałem telewizyjnym Channel 4 i Instytutem Spraw Publicznych w Warszawie. Członkini jury konkursów literackich. Wraz z brytyjskim tłumaczem literatury polskiej Noelem Clarke’iem brała udział w tworzeniu wystawy *Eagle and Lion*, którą można było zwiedzać podczas oficjalnej wizyty królowej Elżbiety II w Polsce. [opr. red. na podstawie materiałów archiwalnych nadesłanych przez Autorkę]

Barbara Strzelbicka**Z TOMU „CZUŁOŚĆ”****Dekonstrukcja**

wystarczy
zostać trochę dłużej
by zobaczyć dekonstrukcję

opada kurtyna
milkną oklaski
publiczność na powrót
staje się parami
grupami
samotnymi

aktorzy opuszczają rolę
wychodzą do domów
na bankiet
na spacer

rekwizyty wracają na miejsce
w magazynie
scenografia rozkłada się na elementy
wzięte z innych całości
gasną reflektory
wyodrębniające plany
milknie muzyka
odtworzana we fragmentach

spektakl skończony
następna całość będzie
nowa

Pewność

tamta kobieta
w wyjściowej sukni
z pewnością została zaproszona
siedzi dumnie
czeka na spełnienie

ta druga
myślała że jest zaproszona
przybiegła wiedzona pewnością
która powoli ją opuszcza
jej twarz traci blask
brzydnie sukienka

ona też czeka
aż spełni się to
co zostało zaplanowane
dla niej

ukrywa
że właśnie rozpada się
jej świat
odchodzi

może napisze list
będzie chciała zasnąć
czeka
aż myśli oderwą się

od kawałków kry
niesionych nurtem

może będzie dalej
gdy się obudzi
może zrozumie
jak krucha jest
pewność

Ogród

obcy był w ogrodzie
podeptał rośliny
widać ślady butów
na spulchnionej ziemi
sforsował ogrodzenie
chyba rozdarł ubranie
na pewno się zranił
zostawił ślady krwi
i strzęp tkaniny
który jak nić ariadny
znaczy jego drogę

okno było otwarte
z powodu upału
rzadkiego o tej porze
pewnie zajrzał do środka
szukał czegoś wzrokiem
w chłodnym świetle pełni

niczego nie zabrał
może tylko obraz
nocnego ogrodu
i ciemnego wnętrza
z zarysem jej sylwetki
osłoniętej mrokiem

po co przyszedł nocą?
w dzień furtka jest otwarta
dobrze widać drogę
nie trzeba iść na przełaj
może nie chciał zobaczyć
kolorów ogrodu
jej oczu światłoczułych
uśmiechu który cień rozsuwa
i włosów przeświecanych

nikt go nie widział
odszedł
spłoszony wschodem słońca

Barbara Strzelbicka

Małgorzata Franc

OBRAZY I WIERSZE

Po burzy

Po burzy zawsze jest
tak cicho i już nie słysząc
żadnych trzasków
choć maszt złamany
żagle w strzępach
i tylko słońce nie tak jasne
i jakby trochę zawstydzone
odwraca tarczę w pasach całą
(po prawdzie nie dopilnowało)
Nie tak jak matka nad kołyską
która zasłoni sobą wszystko
gdy od złych chwil uchronić pragnie
poskłada maszt połata żagle
i dobrotliwie składa dłonie
z cichym uśmiechem oczy mruży
i jest po burzy.

05.02.2012 r.



Roman Pluta, *Po burzy*, olej

Słoneczniki

Słoneczniki
na tym obrazie
nie ranią już
są całkiem spokojne
w chłodnej wodzie
i bez złych
wspomnień i czas
łatwiej się tutaj zatrzymał
jest wciąż lato
nie chłodna zima.

W innym życiu
i w innym pokoju
słoneczniki też były inne
poplątane jakby
wciąż winne
w okowach ekstazy
i udręki uwalniały się
spod ręki mistrza
i ból mijał gdy
farba wyschła.

Słoneczniki na
zielonym niebie
milion słońc
które miały zbawić
nie zdołały już losu naprawić
gdy jak bluszcz
oplótł się podstępnie
i poczekał aż serce pęknie
słoneczniki
pozostały wierne.

25.05.2014 r.

Brzozy

Brzozy jak młode narzeczone
cicho i skromnie w kręgu stoją
a bagno które je otacza
zdaje się piękną taflą lustra
co chwali wdzięczną ich urodę.

I nie przeraża ich ta pustka
która w milczeniu się ukrywa
i w szepcie który gdzieś się błąka
muskając lekko lecz złowrogo.

Brzozy jak młode narzeczone
ich serc nic nie napelnia trwogą
w swym kręgu stoją jak zakłęte
i nawet ptak żaden nie jęknie.

Lecz nagle zmienia się odbicie
złowieszczy cień nad cichą wodą
nie wróży nigdy nic dobrego
gdy nagle zwykły promień światła
odmienić może całe życie.

25.05.2014 r.



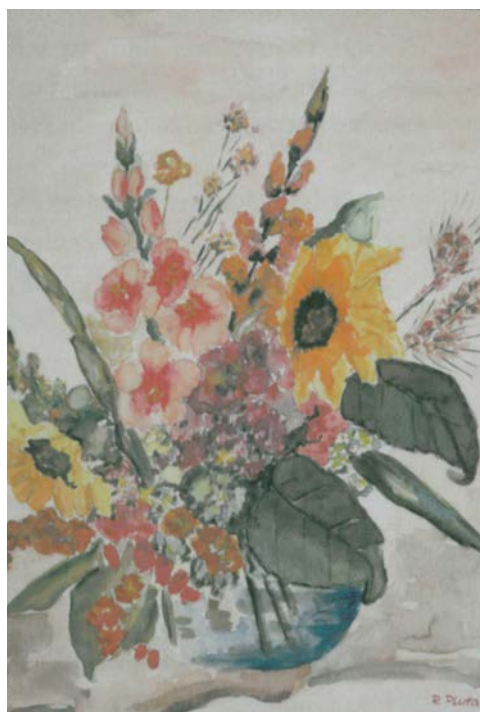
Roman Pluta, *Słoneczniki*, olej

Biała róża

Na niewzruszonym
błękitcie nieba który jednak
nieustannie podkreśla jej urodę
biała róża wyrosła nagle
niezdobyta królowa
samotna i piękna.

Alabastrowe płatki
jak misterna korona
zdobią jej głowę a słońce
oddaje jej należny hołd
jednak jest to tylko
część prawdy.

Pomiędzy zielonymi
liśćmi ukryte są ciernie
misterna korona cierpienia
zmagająca się z ciszą
i ceną jaką trzeba zapłacić
za niewinność.



Roman Pluta, *Kwiaty*, akwarela



Roman Pluta, *Biała róża*, olej

Kwiaty lata

Kwiaty lata są takie cudowne
jak poranny pocałunek słońca
w barwach ich przegląda się tęcza
już niepełna swej urody milcząca.

Kolorowe połyskują w dzbanie
zakochane w swoim własnym pięknie
któż pomyśli że jasny poranek
witał je gdzie indziej zupełnie.

Kto odnalazł tamtą piękną chwilę
pośród ptaków szczebiotu słodkiego
kto zatrzymał tamtą smutną ciszę
i obronił kwiaty od złego?

To artysta który na obrazie
akwareli skromnej i kruchej
letnie kwiaty zatrzymał w czasie
by pokazać ich wspaniałe piękno.

28.05.2014 r.

O bratkach*Na motywie wiersza „O Bratku”*

Może lubię je bardziej
od innych
bratki me
kwiatki najmiłsze.

Delikatne jak
skrzydła motyla
jak opłatek
tak samo niewinne

Kiedy główki
zwracają do słońca
by się chłodom
nocnym opierać

Tak niewielkie
lecz przecież tak silne
w niezmienności swej
wczoraj jutro teraz.

*25.05.2014r.**Małgorzata Franc*

Roman Pluta - urodzony 20 marca 1933 roku w Częstochowie. Absolwent Politechniki Śląskiej i Instytutu Pedagogiki w Opolu. Wieloletnią, bogatą pracę zawodową łączył przez 16 lat z wykładami w Technikum Wieczorowym. W dorobku zawodowym posiada kilka patentów polskich i zagranicznych. Przez 7 lat był delegowany do pracy na terenie Chin, Egiptu, Brazylii, Kuby i Węgier. Po przejściu na emeryturę poezja i malarstwo stały się jego życiową pasją. Tworzy realistyczne obrazy technika olejną, pastelą, akwarelą i grafiką. Twórczość malarska była dla niego inspiracją do tworzenia opowiadań i wierszy. Jest członkiem Klubu Poetyckiego „Fraszka”. W 2010 roku wydał tomik pt. „Pędzlem i piórem”, gdzie edytorsko połączył swoje opowiadania i wiersze z własnymi obrazami.

* *Obrazy zaczerpnięte z tomiku poetyckiego WERNISAŻ POEZJI wydanego przez Klub Literacki FRASZKA, Uniwersytet Trzeciego Wieku przy Wydziale Zarządzania Politechniki Częstochowskiej, Częstochowa 2014.*

Marian Panek**PAN PANTOFELEK
I INNE WIERSZE**

opowiadał Platon
o Androgyne

człowieku
dwupłciowym

kiedyś był
całością
pierwotną

doskonałą
kulą

podzielony
na dwie połowy
rozrzucony
po świecie

błąka się
jak Tereźjasz
ślepiec wiekuisty

posiadać
boskiej tajemnicy
ulepionej z mitu

rozmawiałem z nim
wczoraj

nie zdradził się
mrugnięciem oka
że wie
o mnie wszystko

nic nie powiedział
podał prognozę
pogody
22.09.2014

może

jeszcze
nie wiesz

ale Ulisses
twojej
codzienności
erotycznych
cięż
będzie
rozmazał
bliski
ci
seks

przetnie robaka
w pół
tobie zostawi
ruchliwy
ogon

w spadku
dopełnienie
w nieskończoności
wiecznych wektorów
in-jang
spinających
sprzeczności
w jedność

odetnie pępowinę
znak
przejścia
z mroku
do jasności

ale nie myśl
że kosmos
jest jednią

musisz go dopełnić
osaczyć harmonią
grą szklanych paciorków
mantrą powidoków tęczy
by secare
było w rytmie
archaicznego

wybrzmienia
echa

22.09.2014

--

pan Pantofelek
już na wolności
poszukiwał
żywej
kinetycznej
materii obrazu
utożsamiał ją
z żywym ciałem
zmiennym
i efemerycznym

uśmiech
miał
na podzielonych ustach
śmiał się
do kuli
u nogi

mówili mu
śmierć
jest
dobra
nie uwierzył

poszedł
jak dziecko
nieufny
do cyrku
i powiedział
dzień dobry
panie tygrysie
siedzi pan
w klatce
a to dlaczego?

skoro tak mnie wielbisz
to zjem cię z przyjemnością
na wolności
a teraz

wchodzi
do klatki

będziemy żyć
z biedy

04.06.2014

chwili
czym zaowocuje?

idziemy
wzdłuż linii brzegowej
drzewa życia

29.09.2014

* Wiersz został wygłoszony w czasie performance'u „Performowanie Wolności” na Placu Biegańskiego z okazji „Częstochowskiego Dnia Wolności” – 04. 06. 2014 r.

w nich

dla odważnych

jest kluczyk
do dziurki

myśli ptaszek
przelatuje
nieuchronnie

usidla inne
funkcje mózgu

morze w tym
równaniu
ma poszum fal
w promieniu
oka
lazuru
nie odnajdziesz

w kryształ
ziarenka piasku
kamień

tylko
szczęk
czasu
w zapadce
spustu
migawki

pamięć
zabawnym
geniuszem

nazwanych
naczelne
zostały
boskie
cienie

naznaczone
wiedziały
od początku

realność
została
podważona

a miłość
spisana
przez łotrów
na zapomniany ból

wszystko
oprócz niej
stawało się
tylko granicą
do pokonania

wiedziały
o tym
i zostały
tu
w poczekalni
na rodzaje
śmierci

w formie
pamięć
stała się

skowytem

powtórzmy więc
oto człowiek

03.09.2014

milczą

więc
podnosisz
puchu
dym
słowa
wyżej

jakbyś
rzucił
śnieżką
białą
tym
małym
paznokietkiem

co ci zrobi ten świat
jeszcze nie wiesz

zaglądasz za siebie
w nicość
nikt już jesteś

anioł odda należne
tobie skrzydło
by odlecieć

z drugim
sobie poradysz
znajdując słowa
w pamięci
wyrazu

nie oszukasz

czytając siebie

02.09.2014

Jolanta Szwarc

Z TOMU „TIK-TAK, DROBNY MAK”

Wyroki

Wciąż rodzą się trupy
W gabinetach lekarskich
walczą o odroczenie
tego, co i tak będzie
wykonane
powszechnie.
Zostaną Nieliczni
w szkolnych podręcznikach,
stresując uczniów
dojrzałych świadectwem
pamięci
o trenach Mickiewicza,
warkoczyku Szyborskiej
i Diderota Kubusiu...
aha! Fataliście.

Między van Goghem a Munchem

Krzak gorejący
utracił barwę miłości.
Szczerbiały języki płomieni
unoszą się nad dachami.
Ziółkłe oczy okien
skupione wokół ociemniałej świątyni
patrz w zakręconą
gwieździstą noc.
Czekają brzasku.
Rozleje się przeraźliwą jasnością.
Dzień nie wybawi
od przeznaczenia,
kroczącego spokojnie w ślad
za przerażeniem
zatrzymanym w gardle.
Otwarte szeroko usta
Nie urodzą krzyku
w pustym pejzażu.

Siała baba mak

tak czy siak
 każdy dzień się waha
 tik tak
 od brzasku do zmierzchu
 tak siak
 tik tak
 tak siak czy owak
 nie wiedziała jak

Oślowienie

Bezsensowna praca
 kołującego języka
 wokół słów
 obnażonych historią.
 Ani ich w rzeczywistość,
 ani rzeczywistość w nie
 ubrać się nie da.
 Zawsze jakaś golizna
 bezwstydnie wylezie.
 Świecić będzie
 głupcom na uciechę.

Cud

Nie mogę spojrzeć sobie w oczy.
 Widzę zawsze tylko część siebie.
 A to ręce niespokojne,
 a to nogi, które szłyby do celu
 i bez celu
 pchają się jedna przed drugą,
 a to brzuch wysunięty przez lordozę,
 a to piersi falujące oddechem.
 Nie widzę pleców.
 Nie widzę głowy.
 Tylko czubek nosa widzę,
 jak strzelę zeza.
 Innych mogę obejść w koło,
 zobaczyć od stóp do głów.
 Czytać z ich oczu
 i pić z ust.
 Sobie spojrzeć nie potrafię w oczy.
 I bardzo dobrze. To jest cud.

Mąż, żona i wąż

Siedzą przy stole vis a vis,
 ona spogląda spod ciemnych brwi,
 on na talerzu wzrok skupia.
 Pewnie chce coś ode mnie... głupia.
 W kieszeni kręci się wąż.
Nienasycona – mówi – wciąż.
Uważaj, bo w oczach ma jeszcze moc.
Teraz ci maśli, a zbliża się noc.
W ciemności uprzedzie sieć.
Jej oczy teraz śledź.

Zrobiło się syto i mroczno,
 niebawem w łóżku spoczna.
 Ona pościel rozkłada
 i tak do niego powiada.
Otworzę dla ciebie Eden,
ale warunków mam siedem:
- wężowi ukręć łeb,
- zarób nie tylko na chleb,
- kup biżuterii worek,
- nie wychodź na mecze we wtorek,
- zdjęcie moje noś,
- no i wymyśl coś,
coś, coś...

Tu płyta jej się zacięła,
 A jego cholera wzięła.
 Małżeńska prostytutka?!

I nastąpiła erupcja
 wulkanu, trzęsienie ziemi
 trzaskanie drzwiami.
 Zniknął raj, syczy wąż.

Trwają przykładnie żona i mąż
 i patrzą sobie w oczy,
 nawzajem śledzą wzrok.
 Która to już rocznica...
 mija za rokiem rok.

Myślę tak sobie nieskromnie

Choć skromna jestem
 i zawsze byłam za plecami
 szeptem

myślę tak sobie nieskromnie
czas na głos
mówią mi – daj głos
a ja nie wiem jakiej rasy ma być
żeby tylko nie miał podkulonego ogona
bo jakby miał podkulony
to nie warto
wtedy by na mnie psy wieszali
nie umiem się bronić
postawić uszu na sztorc
i włosów zjeżyć zębów szczerzyć

myślę tak sobie nieskromnie
delikatna jestem
nie będę się gryźć i kotłować
spokojnie z boku dam głos
nie spomiędzy a z boku właśnie
spokojnie
jak się jest z boku to się dużo widzi
i można myśleć

myślę tak sobie nieskromnie

Jolanta Szwarc

Autonota

Urodziłam się w maju w nie swoim pałacu.
Żywili mnie rodzice, a kształciło państwo. Po latach, zgodnie z pragnieniem rodziców, wyszłam na ludzi i zaczęłam żyć na swoim.

Dodaję przychody do braków. Próbuję bezskutecznie rozwiązywać zadania z niewiadomymi. Egzamin dojrzałości okazał się niedojrzały dostatecznie, by dorosnąć do świata, zmierzyć się z nim, zważyć jego ciężar i unieść czas dany na chwilę, której przećwiczyć nie można. Żadnych prób. Tik-tak, tykają zegary. W korcu maku szukam szczęścia. Zaświeciło małeńkie, wysmykuje się z ręki, ale wiem, że jest. Znajdę, choć tyle ziarenek goryczy przekleja się do palców. Strzeżę i dalej będę szukać, bo w poszukiwaniu jest nadzieja. W znalezionym może ukryć się rozczarowanie. Dlatego tak szukam, żeby nie znaleźć

[Źródło: J. Szwarc, *Tik-tak, drobny mak*, Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2014].

Izabela Kołdej-Ptak

... WYBRANE Z WIELU

Spowiedź po życiu

zaprawdę
zaprawdę
powiadam Wam
miałem w ręku dobre karty
passę

ja
krótkodystansowiec
stoję teraz wobec Czasu
ze spuszczoną głową.

Wiedeń, 11.07.1989, z tomiku „Fotoplastykon”

rozgaduliły się
dzwonnice kościelne
rozśpiewały
pełnym dźwiękiem
całymi sercami
odświętną radością

zagłuszają
wszystko
dręczą
dusze
nieczyste

*Ustroń, sanatorium 2009, z tomiku
„Fotoplastykon”*

Lee Henryku
przez skromność matki
nazwany – „zielonym”
wciąż rozmawiasz z Roemerem

o kompozycji pejzażu,
o szczerości obrazu,
by po chwili pokazać swą
ludzką naturę
błąd za błędem.

Szukasz szczerości w sobie,
wierności w uczuciach,
rozpaczy nad zmarłą miłością,
szukasz – gdzie niczego nie ma.

Jesteś tylko Ty,
„Zielony Henryku”,
i Twoje obrazy...
zgrabną kreską
zakreślona Szwajcaria,
nagle tak mi bliska,
z barwnym pochodem dla Wilhelma Tella,
jak Polska.

19. 07. 2009, z tomiku „Fotoplastykon”

Litania

Bosa Madonno przydrożna
Królowo okryta kurzu płaszczem
przytul nas – czysta –
bądź kapliczką
drogowskazem
strumieniem
dla zbłąkanych
cierpliwie z nami płyn
tłumacząc przybrzeżnym kamieniom
że bezczynność
jest grzechem

Z tomiku „In Brevi”

Déjà vu

z krzyża
z pajęczej
sieci rzeczywistości
ból i cierpienia
które powraca

co roku
przerażeniem
wyobraźnią
wiernych
tych
co
z
Tobą
pod
krzyżem
niemi
niemocą
bezsilni

- cierpiący
klęcząc

Z tomiku „Déjà vu”

Jesteśmy ograniczeni

p. Bogdanowi Knopowi

Ogranicza nas przestrzeń,
ogranicza nas czas,
czy jest liniowy
- na pewno?

Człowiek wiecznie draży
swą myślą fakty:
potyka się
o czas

Czas na patyku
(idziemy jak po sznurku)
czy
ocean czasu sennego
(często zbyt krótkiego)?

Z tomiku „Déjà vu”

Izabela Kołdej-Ptak

Paulina Surma

WIERSZE

Duchowy spacer

Idę przez gęstą mgłę
w nadziei na lepszy los
nie mówiąc nikomu
zabrałam mały niezbędnik.

Idę przez ciasny korytarz
w nadziei na ciasną bramę
nie mówiąc nikomu
zrobiłam rachunek sumienia.

Idę przez życie
w nadziei na lepszą przyszłość
nie mówiąc nikomu
wyrzuciłam starocie do kosza.

Człowiek w rozterce

Kowadło? Młot?
Co wybrać, żeby spożyć okrucich radości?
Muszę znaleźć wyjście z labiryntu,
proszę o objaśnienie dziwnych znaków.

Woda? Ogień?
Co wybrać, żeby zgasić pragnienie
zmarznętego?
Muszę znaleźć składniki na duchowy obiad,
proszę o wejście do taniej piekarni.

Chaos, ład.
Jak tu podobać się innym?
Muszę tam wejść.
Proszę! Daj mi ten klucz!

Szkodliwa garderoba

W końcu zdjęłam niewygodne buty
teraz siedzę w kącie
i daję odpocząć stopom
ciężko było wybrać odpowiednie
rozwiązanie.

Zdjęłam maskę
teraz każdy mnie widzi
i śmieje się ukradkiem
myślałam, że to dobre rozwiązanie.

Zdjęłam brudną kurtkę
teraz marznę
i boję się, co dalej
ciężko było zrezygnować z pozytywnego zła.

Awaria sprzętu w pracy

Rozpoczęta droga – nieudana
uspokoił mnie wzmacniacz umysłu
walka z sekretarką – przegrana
spoglądałam w białe kwadraty.

Zły człowiek niszczy moje fundamenty
zaczynam wszystko od nowa
marzenia rozsadzają mi głowę
modłę się.

Wygodny fotel – już nie pocieszyciel
reżyseruję serial komediowy
wulgarni ludzie – mam to w głębokim
poważaniu
udaję czarnego kota z bajki.

Ślepa kobieta produkuje moje łzy
zamykam oczy
wspomnienia wrzucają mnie do smoły
oddycham głęboko.

* * *

Zamykam drzwi
biorę spis treści przeszłości i dzban miodu
już nie idę, jadę złotym samochodem
karmię się czerwonymi twarzami.

Podnoszę innych
biorę instrukcję szczęścia i szklankę wody
już nie leżę, stoję ponad innymi
karmię się fałszywymi obrazami.

Paulina Surma

Wiesława Owczyrek

ZE SZKŁA*

Podróż

w tej poczekalni, którą zwiemy życiem
wciąż siedzimy, bilet mnąc w kieszeni skrycie
i czekając, aż pociąg nadjedzie

który nas wyrwie z tej pułapki, matni
i nieważne, że przed chwilą odjechał ostatni,
wciąż żywimy tę samą nadzieję

bo za pięć minut albo za lat dwieście
pociąg ten kiedyś przybędzie nareszcie,
rozkład jazdy nas nigdy nie zwiedzie,

i cóż z tego, że po takiej podróży,
która bardziej cieszyć musi niż nużyć,
gdy już w innym będziemy mieście,

w jakiejś poczekalni usiądziemy znowu
i nie przyznamy się nigdy nikomu
– nie do tego pociągu wsiedliśmy pośpiesznie.

Depresjo
siostró wszystkich smutków

nie przytulaj mnie tak mocno
nie zabijaj swą miłością
daj mi chwilę, daj mi uciec
przecież wiesz, że zawsze wrócę

pozwól uśmiech wziąć mi z sobą
i założyć suknię modrą
zostań w domu, nie idź ze mną
sprzątnij myśli, które ranią

liść przyniosę ci srebrzysty
tylko nie mów o mnie wszystkim
nie wyciągaj do mnie ramion
odejdz. zostaw mnie. na zawsze.
samą

W nocnym klubie

wysokie stołki
pozorują niedbałość
stają się własnością
przez zasiedzenie

ile trzeba wypić
by wszystko stracić?

przeciętna dziewczyna
przy metalowej rurze
rozkwita
przydały się dawne zabawy
na trzepaku

w stronę stolika
kelnerka niesie na tacy
papierosy
piwo
i własny biust

Celebrytka

tej kobiety nie fotografował znany artysta,
stylista nie układał jej włosów w ponętne fale,
niewystudiowane pozy są jej codziennością,
nie była gościem ani widzem
w popularnych audycjach.
zapomniała ją zaprosić telewizja śniadaniowa
i żadne gale i ekskluzywne wywiady
nie stały się jej udziałem.
a przecież czasem śpiewa i tańczy,
nawet gotuje i to nie od święta,
a tym bardziej nie na szklanym ekranie,
więc raczej nie na sprzedaż
liczne posiada talenty.
tylko ona wie, gdzie pochowała
wszystkie swoje miłości zdrady,
tą strawą nie karmiła oszalałych gazet.
a zasypia prawdopodobnie we wszystkim
prócz tej jednej kropli Chanel nr 5.

ale czyż przez to
blask jej oczu jest mniej ważny
i czy niebo nad nią
mniej błękitne?

a mówią, że jej nie ma

I choćby tylko jeden z milionów
z mojej poezji czerpał powietrze,
błękitnej wstążki zaciśnij węzeł,
tylko mi pozwól pisać te wiersze

Wiesława Owczarek

Śniadanie we dwoje

w naszej kuchni ściany niebieskie,
nie, żeby od razu niebo.
w pogodny ranek krzątamy się razem
i szykujemy niedzielne śniadanie.

ja sobie ujmuję, by podać tobie,
ty sobie odbierasz,
by podać mi bułkę z masłem.
ja tobie rzodkiewki, a ty mi szczypiorek,
ser żółty pogodzi nas na zawsze.

tak siebie dajemy, aż splecą się dłonie
nad parującą filiżanką kawy.
spójrz, bazie puściły listki w wazonie
– wiosenne to nasze śniadanie.

Przysłoń mi oczy błękitną wstążką
bym mogła w lazur spoglądać stale,
światu nie trzeba mego spojrzenia,
w samozachwycie trwać będzie dalej.

Nie daj mi słyszeć grozy istnienia,
Ty wiesz, jak kocham kołyskę ciszy,
w niej się dopiero światło otwiera,
w niej mogę Ciebie najlepiej słyszeć.

Ale mi pozwól mówić w mych wierszach
o tym, czym ludzie dawno wzgardzili.
Ktoś kiedyś pojmie przebrzmiałe słowa,
ktoś się nad nimi nisko pochyli.

** Wiersze z tomu Wiesławy Owczarek „Ze szkła”
(wyd. Częstochowskie Wydawnictwo Archidie-
cezjalne REGINA POLONIAE, Częstochowa
2012).*

Wiesława Owczarek – absolwentka Państwo-
wego Liceum Plastycznego w Szczecinie, I
Studium Nauczycielskiego im. K.I. Gałczyń-
skiego w Szczecinie oraz Wydziału Bibliote-
koznawstwa i Informacji Naukowej Uniwer-
sytetu Śląskiego w Katowicach. Przez wiele
lat pracowała jako nauczyciel-bibliotekarz w
szkołach Katowic i Częstochowy. Związana
z klubami literackimi „Fraszka” przy UTW
i „Metafora” przy Zarządzie Oddziału ZNP
w Częstochowie. Wiersze jej są zamieszczone
w wydaniach zbiorowych klubów literackich
Katowic i Częstochowy oraz w Szczecińskim
Almanachu Wierszy. Wiesława Owczarek
wydała dotychczas cztery tomiki wierszy:
„Między wierszami” (2008), „Ze szkła”
(2012), „Kwietnik” (2013) oraz „Rozmowa z
nieznajomym” (2014).

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

KAZIMIERZA „STOLORZA” KOWALCZYKA ZAKŁAD PRZETWARZANIA I UTYLIZACJI SŁÓW I MYŚLI „STARA WIERSZOWNIA” [seria czwarta]

Wszystkie wiersze tej serii dedykuję Pani Aleksandrze Keller, no bo jak tego nie uczynić?

I.

Wiem co to wstyd, jest niczym brud,
Dostrzegalny nawet w nocy,
Nie zmyje go zbożny trud,
I nie ukryją prorocy,
Gadajcie sobie do woli,
Skoro wam nie żal jęzorów,
Że właściwie mnie nie boli,
Że to tylko dla pozoru,
Ta łza niczym kropła soli,
Policzek żłobi powoli.

Nie wyłożę najlepszych kart,
Na stół oszustwem rozchwiany,
Przy nim diabeł ćwiczy fart,
Nie chcę być do grosza zgrany,
Nie mówcie, że to z uników,
Zrobiłem sobie zajęcie,
Nie mam próżniaczych nawyków,
Chociaż wśród leni mam wzięcie,
Zasypiam w cieniu pomników,
Bez laurów i bez wyników.

Nie mam sejfu na klejnoty,
Trochę książek i płyt parę,
Tani kredyt na kłopoty,
I w ludzi zachwianą wiarę,
Nie poręczam własnym słowem,
Objawień tępych idiotów,
Niech oni zachodzą w głowę,
Czy wyrok na nich jest gotów,
Chcę za swą końcową mowę,
Całą dumę – nie połowę.

II.

Gdzież twarz moja się podziała,
Malowana szlachetnością,
Zwieńczenie męskiego ciała,
Tchnące wiarą i miłością,
A tu tak szpetna przemiana,
Łysa pała miast czupryny,
Gęba w zmarszczki poorana,
I to ponoć z mojej winy,
Pod oczami sine wory,
Przed czterdziestką zarost siwy,
Szyja zmięta w gęste wzory,
Miast tenoru głos chrapliwy,
Zęby wyleciały stadnie,
Nos przybrał fiolet biskupi,
To czas urodę mi kradnie,
To czas z uroku mnie łupi,
A gdy spotkam czas na mieście,
To ci radzę gdzieś się skryj,
W nerwach jestem – to mi wiercie,
Że mu przywałę prosto w ryj.

III.

Przychodzi czas gdy drżąca jesień,
Nawiedza dreszczem liści światy,
Urok kasztanów chowa w kieszeń,
W której już wcześniej zwiedły kwiaty.

Idą smuteczki alejkami,
Z nosem na kwintę, zapłakane,
Srebrnymi z zimna deszczu łzami,
Szarym i wczesnym, mglistym ranem,

Biorę ze smutków to co bliskie,
Co da się zmienić we wspomnienia,
Znaczone choćby małym błyskiem.

By na sekundę wyleźć z cienia,
I łyk powietrza dostać w darze,
Rzeńskiego niczym bukiet marzeń.

IV.

Muzyka wiatru – wiatru granie,
Wykonywane w takt gałęzi,
Raz kołysanką a raz łkaniem,
Do snu mnie kładzie i w śnie więzi.

Takim wołaniem jesień wzywa,
Tysiące wierszy by powstały,
Bo to dla wierszy pora żywa,
Co mgłą i barwą chce pochwały.

Zatem cię chwałę strojna pani,
Za ucztę oczom, grzyby w lesie,
Tak jak poeci ci oddani.

Jak echo co je wicher niesie,
Ponad lasami i polami,
Łzę wyciskając mi czasami.

V.

Jeszcze powrócą dni szczęśliwe,
I myśli dawno zapomniane,
Cieszące serca lecz nie tkliwe,
Złote dzwoneczki gdzieś nad ranem.

Jeszcze uwierzę w urok słoty,
Kłujący chłodem posrebrzanym,
Kiedy pochyla stare płoty,
I w kominowe dmie organy.

Choć krew ospalej krąży w żyłach,
I mniej dostrzega stare oko,
To tli się we mnie trwania siła.

To cele stawiam wciąż „wysoko”,
Odpuść mi wówczas Boże drogi,
Gdy myśl zniewolą damskie nogi.

VI.

Figura z drewna, Madonna przydrożna,
Tkwi w swoim domku z czterech wierzb
płaczących,
Jak chleb spękana, patyną pobożna,
Boskie westchnienie dla wszystkich wąpiących.

Nie było wichru i burzy nie było,
Aby nie siekły oblicza figury,
W którym odwieczne czuwanie się skryło,
Rozpędzające nieszczęść groźne chmury.

Kto ją postawił, kiedy to się stało,
Tego nie wiedzą i najstarsi ludzie,
Czczący od wieku tę figurkę małą.

Od wieku mówią o niejednym cudzie,
Odczytywanym jak boskie przesłanie,
Gdy wspomnę o Niej – sięgam po różaniec.

VII.

Historia życia bywa dopełniona,
Gdy dźwięk nieznany najgorszym nie straszy,
Gdy gniew opuścił zemdlące ramiona,
A dni zostało ile w misce kaszy.

Oczekiwanie staje się cierpliwe,
I zapomina o tym na co czeka,
Zwykle pokorne, czasem jest złośliwe,
Wówczas się burzy jak wezbrana rzeka.

Dni zapominam, gubię wszelkie daty,
W starym zaroście, w bolesnym rąk drzeniu,
Byle ich sensu nie mieć na sumieniu.

A może pójdą w swaty nie w zaświaty,
By mi otworzyć baśni słodkie bramy,
Gdzie serc z piekarnika pełnuteńkie kramy.

VIII.

Dobieram słowa, szczęścia w myślach szukam,
Katalog zdarzeń wertuję znużony,
Trud to daremny i próżna nauka,
Szczęśliwym dawno spadły z głów korony.

Są szczęścia małe jak dzień bez pobudki,
Lub jak złośliwość w zdaniu zapisana,
Gorącą miłość znaczą zimne kłódki,
Gdy przez most przemknie para zakochana.

A ponoć naród ze szczęścia oszalał,
I choć skwaszony to tylko tak sobie,
Bo nas zalała szczęśliwości fala.

Gdy mnie dopadnie to nie wiem co zrobię,
Nie wygram z nimi i nie dojdę końca,
Wieszczącym szczęście mówię... pies
was trącał.

IX.

Obraz świata zamglony słabością żrenicy,
Nie daje mi uciechy studiów nad szczęgółem,
Subtelny kształt i barwa nie czynią różnicy,
Zgnieciony przez bieg czasu zgadzam się
z ogółem.

Uszy dręczą jęklliwe, zniekształcone dźwięki,
Nut jakby wciąż tych samych odtwarzanych
w kółko,

Albo w kominach wiatru jesiennego jęki,
Albo tępe natręctwo zegara z kukułką.

Przedłużając bieg zmarszczek, posrebrzając
włosy,
Lustro, choć moje własne, ma lojalność
„w nosie”,
I ze wzrokiem i słuchem jawnie trzyma
„sztamę”.

A ja radość dostrzegam w błysku kropli rosy,
I całe ciepło serca słyszę w twoim głosie,
Czym prędzej je ujmuję w szczerozłotą ramię.

X.

Odjazdy i przyjazdy ujęte w rozkładach,
Gdzieś między pozycjami mają białe plamy,
W które jak w czeluść bez dna, czyjaś gwiazda
wpada,
Obchodząc daty pewne i wszelkie programy.

Rozdrażnieni lukami w wiedzy na ten temat,
W kartach los tasujemy, stawiamy pasjanse,
Łamiąc, gdy nikt nie widzi ustalony schemat,
Ostatecznie są jeszcze u wróżki seanse.

A przecież biała plama jest ograniczeniem,
Tego co biedny człowiek uczynić podola,
Wyjście poza nie śmiesz bo to walka z cieniem.

I choć dzień bzu bukietem wita nas na stołach,
A słońce oferuje leniwą niedzielę,
Plamy, te na sumieniu, wycieram w fanelę.

XI.

Ściana nie ustępuje, twardo stoi murem,
Dla wielu wieszczy koniec, nielicznym początek,
Rozbija myśli wzniosłe owinięte w chmurę,
Ciągnie się w nieskończoność nim stworzy
zakątek.

Potoki łez wchłonęła i na żale głucha,
Nie ma serca by biło odgłosem litości,
Nie po to się ją wznosi aby miała słuchać,
Jęków tych których oplótł kolczasty drut złości.

Siedzę okrakiem na niej, wlałem za wysoko,
By zeskoczyć i uciec przed tym co mnie goni,
Nie pomogą zaklęcia i talizman w dłoni.

Teraz zostań za karę pod zimną opoką,
Skrzydeł już nie rozwiniesz – weź to pod
rozagę,
Bo nogi masz gliniane i sporą nadwagę.

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

Aušra Kaziliūnaitė

WIERSE WYBRANE*



Foto: Laima Stasiulionytė

<http://www.bernardinai.lt/straipsnis/2014-11-16-ausra-kaziliunaite-mane-kurfa-kuryba/124240>

Baśń o zamku, szczurze (być może zdechłym), ropie naftowej i Stalinie

kiedys będziemy
mieszkać w domu
i będziemy jeść gwiazdy
i zjemy wszystkie gwiazdy
więc, te
posypane cukrem
wszystkie gwiazdozbiory ujmemy
za rozmowami o miłości
albo prawdzie
i więcej
nocami nic nie będzie świecić

i wojny nie będzie
i przerażenia też nie będzie

pięć dni pod rząd
będą płynąć białe rzeki
będziemy nadawać je sobie
i pić będziemy za siebie
wspominając matczyne mleko

kiedys będziemy
mieszkać w domu

i wojny nie będzie
i przerażenia też nie będzie
ale i nas tam
nie będzie

gdyż jesteśmy –
rybami
po królewsku wielkimi
rybami
które zjadły swój dom

dorastanie dzieci

z dni tygodnia
czas złożył blender
potem wyciskał z nich
sok

było lato –
czas taki,
w którym niegrzecznie umierać,
kiedy panienka Wiatr
aż unosi sukienkę
i gdy wszystkie wagi
zrzucają część wagi

ranek wywłókł słomkę
z pustej szklanki
podniósł słońce
w powietrze
i począł wściekle wsysać –
przechodniów
witryny
Rzymskiego papieża

zapewne,
cierpiał z pragnienia

zapewne,
kołysały się kasztany
a jedyny chłopak
znów znalazł nie tę
stację radiową
tak czy tak
poruszamy się po torach
ponieważ nie poruszamy się,
lecz przewozimy parę

Setka morsów
Napaliła się trawki
Leży sobie na brzegu
I każdy z nich

Wokół siebie widzi
setkę morsów

i ostatni
przekraczający metę
jest tym samym, co setny
już dobrze znany

to przeszłość
coś żółtawatego
wynalezionej wcześniej
niż telegraf

ona tam jest na stoliku
i gdybyś chciał
znów stać się malutki
trzeba by wsunąć palec
w dziurkę, która jest w niej
i następnie przekręcić
jej dysk

gdy dotrze
zaspany głos
z drugiego końca przewodu
zapytać go - - -

Po co kolczykować ptaki
Jeśli z żadnym z nich
Nie żenisz się?

Chutor

nie hodowaliśmy bydła,
siostra nieraz bawiła się
matczynymi pachnidłami
mówiła, że niby
fioletowa bańka –
smok,
pomarańczowa – widma,
a przezroczysta, czego prawie
nie widzimy – jest nami

matka nieczęsto
się nimi perfumowała

tylko ledwie raz,
w czasie burzy, pamiętam,
słyszałam straszny ryk,
choć
nie hodowaliśmy bydła

sąsiedzi z
ósmego, dolnego –
zdaje się, też

Wędkarstwo podlodowe

siedzisz na przystanku
autobusowym –
obok ciebie
spieszą gdzieś przechodnie,
pędzą samochody

w powietrzu kołysze się
gigantyczny haczyk
na niego nadziano to,
co było

jeden za drugim pikują
na niego samochody

po ich skrzelałach
pełzną ogromne krople
krwi i
spadają na
złote zagajniki
gdzie sterczy najczarniejsza
noc

gdzie wiatr porusza
drzewka i wtedy słyszeć jedynie muzykę
i żadnych wyzwisk
dlatego
one trzępią się i otwierając usta, zamykają je
jak ten ranek
co połknął ciebie

tysiąc i jedna śmierć

pewien mężczyzna sklejał
most,
z którego
kiedyś zeskoczyło słońce
i tak uległo
ogromnemu upośledzeniu

i teraz
w jego brzuchu –
sobota

w tę
sobotę
z gwieździstego
nieba
długie lata
majstrowaliśmy żurawie

a gdy
praca została już skończona
nie miały
miejsca
gdzie dałoby się latać

Лотерея

городские башни торчат
как иголки
на них иногда
поднимают глаза люди
сконструированные из
фиолетовых птиц
а небо порой
опускается ночью

всё это происходит
в животе стеклянного тигра
того самого тигра, который
велел доктору снять одежду
а сожрав его
стоит перед зеркалом
и любит
башнями улицами людьми
что смешались с кусками докторового
мяса
потом аккуратно
застёгивает свою одежду
пока мы целуемся
в приёмной

а фиолетовые птицы
отделяются друг от друга
летают
склёвывают всё
под белой униформой

в одной из них
в настоящее время тихо
гангренирует
небо

loteria

miejskie wieże sterczą
jak igiełki
niekiedy na nie
podnoszą wzrok ludzie
skonstruowani z
fioletowych ptaków
a niebo czasami
zaniedbuje się nocą

to wszystko odbywa się
w brzuchu szklanego tygrysa
tego samego tygrysa, który
nakazał doktorowi zdjąć ubranie
a zżarłszy go
stoi przed lustrem
i zachwyca się
wieżami ulicami ludźmi
zmieszanymi z kęskami doktorskiego
mięsa
potem dokładnie
zapina swe ubranie
gdy my całujemy się
w poczekalni

a fioletowe ptaki
odłączają się od siebie
latają
chowają wszystko
pod białym uniformem

w jednym z nich
w obecnym czasie cicho
gangrenuje
niebo

Aušra Kaziliūnaitė

* Wyboru dokonał i przełożył z języka rosyjskiego – Bogdan Knop.

Aušra Kaziliūnaitė – urodziła się 28 grudnia 1987 roku w Wilnie. W 2013 roku obroniła dyplom magistra religioznawstwa. W obszarze jej badań znalazły się zagadnienia dotyczące wczesnego chrześcijaństwa, relacji między religią a buntem w filmach Piera Paolo Pasoliniego. Obecnie jest doktorantką na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Wileńskiego. Pierwsze publikacje jej autorstwa pojawiały się od 2002 roku w litewskich czasopiśmie kulturalnych tj. „Šiaurės Atėnuose” („Ateny Północy”), „Nemune” („Niemen”), „Literatūroje ir mene” („Literatura i sztuka”). Prócz literatury zajmuje się tworzeniem krótkich filmów, muzyki, a także bierze udział w nietypowych dla sztuki projektach artystów niezależnych. W 2005 roku uhonorowano ją litewską, literacką Nagrodą Pranasa Lember-tasa. W 2006 roku jej wiersze zostały uznane za najlepszy debiut poetycki i zamieszczone w almanachu „Poezijos pavasario” („Poetycka wiosna”). Jej poezja oscyluje wokół słowa oraz jego sugestywnej wizualizacji i animacji. Stosuje poetykę oszałamiającej otwartości i fragmentaryczności, osiąganą poprzez łamanie fabuły i szczelinowanie obrazów. Jak twierdzi – „Narastanie tekstu jest niezależne od praw natury, a procedura pisania polega na prawdziwej orgii intelektualnej dokonującej się na białej kartce – ten chaos w palcach odczuwany aż do kości (...)”. Dotychczas opublikowała trzy zbiory wierszy: „Pirmoji lietuviška knyga” („Pierwsza litewska książka”; Kowno 2007), „20% koncentracijos stovykla” („20% koncentracyjnego obozu”; Kowno 2009), „Mėnulys yra tabletė” („Księżyc jest tabletką”, Wilno 2014). Od 2012 roku jest członkiem Związku Pisarzy Litwy.

Słowo od tłumacza

Zamysł przetłumaczenia wierszy młodej litewskiej poetki i mnie w pierwszej chwili wydał się horrendalny. Ani nie mogę się równać pokoleniowo z autorką, ani nie jestem znany z twórczości poetyckiej (z nielicznymi wyjątkami). A jednak podjąłem się tego zadania i nie żałuję. Niezwykła wyobraźnia Aušry Kaziliūnaitė uwiodła mnie i poprowadziła w regiony z jednej strony nieznane jak nieodkryty ląd, ale z drugiej przecież – znajome, bo zarys tego lądu przypomniiał mi rysowane słowami lądy mojej młodości, wciąż we mnie tkwiące.

Bogdan Knop

Anna Falana-Jafra

KOSTKA RUBIKA

POWIASTKA O MOCNYM POSMAKU PSYCHOLOGICZNYM

[fragment]

Rozdział 2

Wreszcie wygrzebała z ponadprzeciętnie zatłoczonych torebkowych czeluści małe opakowanie. Biedactwo, tyle godzin przeleżało samotnie upchnięte na chama do skrzynki na listy przez jakiegoś bezdusznego kuriera! A i ona nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie nastanie ta chwila. Dzień dłużyl się bez miłosierdzia.

Otworzyła mieniące się wszystkimi kolorami tęczy pudełeczko z należnym mu namaszczeniem i... Wprawdzie „przed użyciem skonsultowała się z lekarzem”, ale na wszelki wypadek rzuci jeszcze okiem na ulotkę.

Działanie:

Silny i wybiórczy inhibitor wychwytu zwrotnego serotoniny (SSRI) o działaniu przeciwdepresyjnym. Pod względem struktury chemicznej nie można jej zaklasyfikować do tradycyjnych leków trój- i czteropierścieniowych. Wykazuje niewielkie powinowactwo do receptorów muskarynowych, adrenergicznych α_1 , α_2 , β , dopaminergicznych D2, serotoninergicznych 5-HT1 i 5-HT2 i histaminowych H1. Po podaniu p.o. wchłanianie się łatwo, podlega efektowi „pierwszego przejścia”. Farmakokinetyka leku jest nieliniowa, nie ulega zmianie podczas długotrwałego stosowania. Wiązanie z białkami osocza wynosi ok. 95%. $t_{1/2}$ jest zmienny i najczęściej wynosi ok. 24 h. Stężenie leku w stanie stacjonarnym ustala się po ok. 7–14 dniach po rozpoczęciu leczenia. U osób w podeszłym wieku, z ciężką niewydolnością nerek lub wątroby stężenia leku we krwi są większe. Lek ulega metabolizmowi w wątrobie, głównie w procesie utleniania i metylacji z udziałem

izoenzymu CYP2D6. Metabolity są nieaktywne, mają charakter polarny i są łatwo eliminowane. Wydalanie następuje głównie z moczem (ok. 64%), częściowo również z kałem (ok. 36%).

Na Boga, po co takie rzeczy wypisywać na ulotkach? To był już szósty raz, kiedy zmieniała leki i najmniej obchodziło ją, w jaki sposób wydalila z siebie poprzednie. Istotne było, że jej nie pomogły. Kiedy dawno, dawno temu z pierwszą receptą udała się do apteki, była przepełniona pewnością, że gdy obudzi się nazajutrz, świat przywita ją malowniczym wschodem słońca, że dostrzeże przez swoje mikroskopijne, południowe okno kuchenne krople rosy skrzące się na trawie, że smak i aromat porannej kawy naprawdę ją pobudzą, że w tramwaju nie będzie tłoku i w spokoju będzie jej dane zatopić się w lekturze porannej gazety, którą uśmiechnięty student wręczy jej, nie oczekując napiwku, że po dotarciu do pracy okaże się, że nieznany sprawca podłożył pod budynek bombę, w związku z czym prezes zarządził przymusowy dzień wolny, a w zasadzie to cały tydzień, bo z wariatami nigdy nic nie wiadomo i wszystkie pomieszczenia muszą zostać dokładnie przeczesane przez policyjne służby posiłkujące się wrodzonymi talentami pięknych, długowłosych psów tropiących marki owczarek niemieckiej. Tymczasem ona, Eleonora, zamiast kultywować swoją odwieczną tradycję i wsiąść do pierwszego wewnątrzmijskiego pociągu, który zawiezie ją prosto do domu, postanowi wykorzystać piękną pogodę i uda się na rynek, gdzie zasiądzie w ogródku małej, przytulnej knajpki, zamówi gorącą czekoladę, a potem może nawet kolejną i przez

kilka przedpołudniowych godzin nie będzie myślała absolutnie o niczym, karmiąc gołębie okruchami pozostałymi z pysznej, pomidorowo-oliwkowej bruschetty. Kiedy zegar na szczycie ratusza wskaże południe, wybierze się na spacer po pobliskim parku, gdzie pchnięta nagle niewymownie silnym pragnieniem, nie bacząc na towarzystwo rozwrzeszczanych bachorów, zasiądzie na huśtawce i będzie się huśtała długo, wysoko, niemal dotykając stopami nieboskłonu i śmiejąc się głośno z nie wiadomo jakiej przyczyny. Następnie wstąpi do księgarni, nie żadnej sieciówki, ale takiej prawdziwej, po której wśród kurzu i zapachu papieru krzątał się będzie siwowłosy staruszek z dobrotliwym spojrzeniem, zaopatrzy się w kilka nowowydanych pozycji z serii „Kroków do szczęścia sto siedemdziesiąt dwa”, po czym w pobliskiej drogerii nabędzie kule do kąpiel, maseczkę regenerującą z wyciągiem z kwiatu róży oraz głęboko oczyszczający, cukrowy peeling do ciała. Podczas powrotnej drogi do domu z torebki, tej samej, co zawsze, ale wyglądającej, nie wiedzieć czemu, jakoś tak mniej chałturniczo, wypadnie jej portfel przepełniony po brzegi pieniędzmi i dokumentami, lecz nie dostrzeże tego całkowicie pochłonięta podziwianiem piękna budzącej się do życia natury, kwiatów, które nieśmiało, acz konsekwentnie otwierają pod wpływem zbawiennych promieni słonecznych swe pąki, drzew, których gałęzie pokryte już są zielonkową naroślą, ptaków, tak bez trosk, tak wolnych, latających w idealnie, choć przecież całkowicie spontanicznie skonstruowanych kluczach. Popołudnie upłynie jej na zazywaniu relaksującej, aromatycznej kąpeli i wertowaniu, tak zupełnie od niechcienia, nowych nabytków książkowych, bo ku niekrytemu zaskoczeniu dojdzie do wniosku, że nic innowacyjnego w nich nie napisali. Żeby nie tracić cennego czasu zamówi na dowóz pitkę cztery sery. W końcu raz się żyje, przemknie jej przez myśl, po czym poprosi o dodatek w postaci ociekającego tłuszczem salami. Kiedy po niecałej godzinie rozlegnie się dźwięk dzwonka

do drzwi, z przerażeniem poszukiwała będzie portfela, aż w końcu zrezygnowana pojmie, że przypadła jej w udziale rola słodkiej idiotki: „Ojej, gdzieś zawieruszyła mi się portmonetka, najmocniej przepraszam za kłopot, to wcale nie tak, że chciałam naciągnąć, mam przecież w tej pitcerii kartę stałego klienta, ale problem polega na tym, że właśnie też w tej portmonetce”. W myślach powtarzając tę kwestię, skieruje kroki ku drzwiom mieszkania, za którymi, teraz czytaj uważnie, stał będzie wysoki mężczyzna w kwiecie wieku z dwudniowym zarostem, ale, o dziwo, bez pitcy. Oniemiała nie będzie w stanie wydusić z rozchylonych z podziwu ust nawet słowa, ale niedyspozycja ta okaże się nie mieć żadnego znaczenia, gdyż nieznamy przybysz skwapliwie przejmie inicjatywę i przemówi pierwszy głosem głębszym od Rowu Mariańskiego:

- Hej, przepraszam, że zakłócam twą kąpiel (właśnie w tej chwili Eleonora uświadomi sobie, że jej nagie ciało przepasane jej jedynie ręcznikiem w kolorowe rybki; po dokonaniu tego odkrycia jej policzki, a także inne silnie ukrwione narządy, spłoną żywym ogniem), ale chciałem zapytać, czy przypadkiem nie zgubiłaś portfela? Ty jesteś Eleonora Sz.?

- Yyy... Tak, to ja.

- Piękne imię, takie egzotyczne, niespotykane, zupełnie nieprzeciętne. Idealnie do ciebie pasuje. Ja jestem Emanuel. Też na e. Może to jakiś znak?

W tej samej chwili na klatce schodowej dadzą się słyszeć prędkie kroki zdyszanego pitco-boja.

- Pani zamówienie.

Emanuel z oszalamiającym uśmiechem wręczy Eleonorze portfel, ona zaś, po uregulowania rachunku i obdarzeniu zasapanego dostawcy sporym bakszyszem, zrobi coś, czego nigdy by się po sobie nie spodziewała i co przez następne naszpikowane wspaniałościami lata wspominała będzie z nieodzownym, wściekle karminowym rumieńcem na twarzy.

- Yyy... Może masz ochotę na pitkę? Moja ulubiona, cztery sery. Plus salami.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Następnego dnia, kiedy zwiększyła dawkę do półtorej tabletki, też nie. Gdy pod koniec tygodnia dotarła do dwóch i pół, postanowiła zasięgnąć opinii pani psychiatry, która z nieznoszącym sprzeciwu zacietrzewieniem wyjaśniła, że czasem, i to wcale nierzadko, zdarza się, iż pacjent nie reaguje na jakiś lek, ale to absolutnie nie znaczy, że należy się poddawać, ostatecznie któryś z medykamentów na pewno zaprosi do namiętnego, ognistego tańca również jej, Eleonory, serotoninę. A wówczas serotonina Eleonory, czy to pod wpływem zwykłego zdumienia, czy raczej siły i determinacji powabnego partnera, który z niejedną podobnie oporną zrobił już, co należy, wyzbędzie się wreszcie długo pielęgnowanych uprzedzeń, porzuci wstydlive zahamowania i będzie płasała, podrygiwała i hasała jak szalona, a wraz z nią również i ona, Eleonora.

Tak niewątpliwie się stanie, jednak trzeba uzbroić się w cierpliwość, gdyż wychodzenie z życiowych zakrętów zawsze okupione jest koniecznością wdrożenia farmakologicznej metody prób i błędów, zapewniła pani psychiatrę, wypełniła hieroglificznym pismem całą przestrzeń receptowego druku i zaleciła konsultację monitorującą za trzy, co najwyżej cztery dni.

A Eleonora, wprawdzie nieco zaskoczona takim obrotem spraw, ale pokrzepiona nadzieją, tą opiekuńczą, troskliwą matką ludzi pomyślonych, zastanawiając się, czy wystarczająco wychyliła się dziś rano z okna i czy przypadkiem nie powinna parzyć trzech, a nie jak dotychczas dwóch łyżeczek kawy, czym prędzej ponownie skierowała swoje kroki do apteki.

Z jakiś, sobie jedynie wiadomych powodów, do innej niż poprzednio.

Niedużo wody upłynęło nim odwiedziła wszystkie apteki w mieście i koniec końców założyła sobie konto na e-nołpejn.

Po dostarczeniu recepty listem poleconym przesyłkę mieli gratis.

Rozdział 3

Wskazania:

Ciężki epizod depresji

W jej przypadku raczej fabuła.

Libretto rozpaczy.

Scenariusz boleści.

Tuż po wstępnym zdiagnozowaniu poczęła intensywnie poszukiwać przyczyn, analizowała swoją przeszłość rok po roku, miesiąc po miesiącu, dzień po dniu, godzina po godzinie, jednak nadal nie знаła odpowiedzi na kluczowe pytania, a one rozmnażały się ochoczo jak króliki, jedne z drugich wyskakiwały niczym matrioski. Pani psycholog z tkliwą uprzejmością tłumaczyła, że dotarcie do źródeł własnego cierpienia zawsze okupione jest cierpieniem i wymaga czasu, zatem Eleonora nie poddawała się i resztkami sił stawiała czoła kolejnym programom leczniczym przewidzianym tak w nurtach psychologii behawioralnej, kognitywnej, ewolucyjnej i humanistycznej, jak i klasycznej, freudowskiej psychoanalizy (nie zapominając przy tym i absolutnie nie lekceważąc szkoły Gestalt), a nadto sumiennie uczęszczała na rozmaitej maści wspomagające terapię warsztaty, kursy, seminaria i konsekwatoria, podczas których dziarsko maglowała swój dwudziestodzieciowiekowy z hakiem byt wzdłuż i wszerz, w wspak i w poprzek, w górę i w dół, i z powrotem.

A zatem, dla Twojej wiadomości, jeszcze raz, w wielkim skrócie:

Ciąża matki przebiegała prawidłowo, urodziła się siłami natury, dziesięć punktów w skali Apgar. Rodzina pochodzenia nieobciążona dysfunkcjami, rodzice dobrze wypełniający swoje role, role jasne, rozdzielone. System komunikacji drożny, więzi emocjonalne bardzo silne, ale nie toksyczne. W pełni zaspokajane potrzeby poczucia bezpieczeństwa i akceptacji z jednoczesnym poszanowaniem indywidualizmu i autonomii. Edukację rozpoczęła o czasie. Okres adolescencji bez

zmian zaburzeniowych. Inicjacja seksualna o charakterze nietraumatycznym w wieku lat osiemnastu. Brak obiektywnych oddziaływań zewnętrznych mogących osłabiać samoocenę.

Więc dlaczego? Dlaczego do jej głowy wleciała ta natrętna mucha? Była ogromna i miała gigantyczne, wylupiające oczy. Bzyczała rano, w południe, nie dawała zasnąć. Wkrótce zaczęła znosić śmierdzące jaja. Wykluyały się z nich kolejne obrzydliwe larwy, i kolejne, i następne. Teraz miała już w głowie cały rój wstrętnych owadów. W szaleńczej gonitwie obijały się o kości, kasały tkankę mózgową, nieprzyjemnie uciskały szare komórki.

Taplały się we krwi.

Eleonora niekiedy kładła się na plecach, otwierała szeroko usta i drzwi balkonowe, i afirmowała, że wylatuje z niej czarna jak smoła, zwarta chmara. Potem przez kilka dni czuła niemożliwą do opisanego ulgę, ale po jakimś czasie znów budziło ją w nocy ciche bzyczenie. Z początku dźwięk był nieregularny i dochodził jakby zza ściany. Nakrywała więc głowę poduszką i starała się pozytywnie ukierunkować swoje myśli. Jednak bzyczenie z minuty na minutę stawało się coraz głośniejsze i nie pomagało antidotum w postaci radia rozkręconego na cały regulator. Sąsiedzi z mieszkania naprzeciwko raz nawet wezwali straż miejską i musiała zapłacić pięć dych za zakłócanie ciszy nocnej. Później i tak porzuciła ten sposób, bo nie był skuteczny, podobnie zresztą jak zatykanie uszu wacikami do zmywania makijażu, aplikowanie słuchawek od empe-trójki, a nawet leżenie w wannie z głową pod poziomem wody. Obrzydliwe muszyska hałasowały coraz głośniejsze, otaczały ją, aż wreszcie wlatywały z powrotem, jak nie uszami, to nosem, a jak nie nosem, to czymś jeszcze innym. Zawsze znajdowały drogę powrotną i za każdym razem Eleonora miała wrażenie, że jest ich więcej niż poprzednio.

Po dziś dzień nie zdołała zgłębić okoliczności zagnieżdżenia się much. Miała jednak pewne podejrzenia. Domyślała się, no bo przecież... Normalnie muchy chyba nie pachną

perfumami? Co innego wodą perfumowaną albo dezodorantem, ale nigdy najprawdziwszymi perfumami. A te rozciąły wokół siebie eteryczną, ledwie wyczuwalną woń.

Pani psycholog, wyraźnie zaintrygowana przypadkiem Eleonory, czyniła, co mogła, żeby doprowadzić ją do upragnionego, ostatecznego zdiagnozowania, poddawała gruntownej analizie coraz to nowe ślady i znaki, podczas każdej sesji wypatroszała swą pacjentkę z jej emocjonalnych bebeczów i starała się wypchać ją nowymi, jakościowo lepszymi, albowiem wyrażała przekonanie, że to, co na pierwszy rzut oka jawi się jako nieskalane i przezroczyste, przy głębszym poznaniu przeważnie okazuje się spleśniałe i przegnite niczym owoc jabłoni toczony od środka robactwem, a zakupiony, ze względu na walor w postaci jędrnej, kuszącej skórki, pochopnie celem starcia na szarlotkę.

Po którymś z kolei roku przeprowadzania konsekwentnie, a co za tym idzie drażniąco już bezowocnej obdukcji duszy Eleonory pani psycholog zapisała się nawet na jakieś dodatkowe szkolenia i za wszelką cenę próbowała następnie przekuć zdobytą wiedzę w praktykę: - Czy kiedy przechadza się pani chodnikiem, to uważa pani, żeby wycelować stopą dokładnie w środek każdej płytki? – Jak wynikało z danych statystycznych przedstawionych podczas sympozjum w formie kołowego wykresu, nerwica natręctw urastała już do rangi choroby cywilizacyjnej.

- Yyy... Chyba nie.

- Proszę się zastanowić, to bardzo ważne.

- Nie, na pewno nie. Staram się tylko, żeby nie porysować sobie bardziej butów. Są już strasznie wyeksploatowane.

- Czy miewa pani myśli o przemocach? – Mania prześladowcza też nie była taka całkiem w kij pierdział, często w początkowych fazach przebiegała niemal bezobjawowo.

- Codziennie.

- Codziennie? Jakiej treści?

- O zamachu terrorystycznym.

- A czy kiedykolwiek zastanawiała się pani

nad tym, jakby to było, gdyby mogła się pani stać kimś innym niż w rzeczywistości jest? – Wykluczenie istnienia siatki uczuć zastępczych mogło, przynajmniej hipotetycznie, popchnąć proces terapeutyczny chociaż o kolejny centymetr.

- Tak.

- Niech się pani zastanowi, kto to mógłby być.

- Nie muszę się nad tym zastanawiać. Ja to wiem.

- Zdradzi mi pani?

- Nie. Nie będę o NIEJ rozmawiać. Nie chcę o NIEJ rozmawiać! Nie chcę...

- Tylko spokojnie, pani Eleonoro, no, zaczynamy, wdech...

Eleonora miała świadomość, że jest trudną pacjentką. Swego czasu, o ile mnie pamięć nie myli tak jakoś na przełomie dwutysięcznego dwunastego i trzynastego roku pańskiego (tak, to na pewno było wtedy, kojarzę już, bo Majowie przepowiadali wtedy koniec świata!), utraciła nawet na moment wiarę w naukową rangę psychologii i psychiatrii, choć zdawała sobie sprawę, że jest zaledwie w połowie drogi (dopiero niedawno dotarła do K-Depressusu, nie przepracowała jeszcze nawet porządnie przedziału wiekowego od czwartego do szóstego roku życia). Jednak popadła podówczas w takie otępienie, ugrzęzła w tak głębokim i gęstym mokradle własnej duszy, że gwałtownie zapragnęła rzucić wszystko i czym prędzej polecieć na półkulę północną. Gdzie nie ma much ani innego podobnego dziadostwa. Żyłyby sobie tam spokojnie w jakimś igloo, bez żadnych stresów, bez wiecznego zamartwiania się. Bez JEJ ironicznych docinków i ukradkowych, litościwych spojrzeń. Przybrałyby nowe imię i zaczęła wszystko od początku. Przecież ludzie tak robią, sprzedają dorobki całego życia, wyjeżdżają do Tybetu, żywią się darami natury, w ciągu dnia sadzą drzewa i wnoszą modły, a w nocy śpią kamiennym snem. Więc dlaczego ona, Eleonora, nie mogłaby się na to odważyć? W końcu i tak nic nie miała do stracenia.

Sprawdziła już nawet ceny biletów i zaczęła robić remanent w szafie, gdy nagle pojęła, że w JEJ oczach to byłaby ucieczka. Że przegrałaby i to na dodatek walkowerem. Porzuciła zatem ten pomysł, wysłała priorytetem receptę na dwa opakowania L-Depressusu i ponownie całkowicie oddała się przeprowadzaniu wspólnie z panią psycholog szczegółowych analiz swojego zasanego, nic niewartego życia.

Miała nad czym myśleć, gdyż od chrztu świętego poczynawszy wszystko w nim było o kant dupy rozbić.

Rozdział 4

Zaburzenia lękowe z napadami lęku z agorafobią lub bez niej

Bez, ale to nie poprawiało sytuacji. Czuła wszechogarniający lęk o każdej porze dnia i nocy. Raz był słabszy, raz silniejszy, ale krążył wokół niej nieustępliwie niczym naturalny satelita. Paraliżowała ją wizja poniedziałku, przerażał wtorek, wprawiała w drżenie środa, o niekontrolowane mdłości przyprawiał czwartek, na myśl o piątku odzyskiwała jakby równowagę, jednak wiedziała, że ulga nadejdzie późno, zdecydowanie za późno, bo, przy dobrych wiatrach, dopiero po szesnastej. Najstraszniejsze były niedziele. Upierne poczekalnie w gabinecie tego, co może niektórzy określają mianem życia.

Bała się.

Bała się snów i bała się jawy.

Bała się JEJ, a czasem, zwłaszcza, gdy zaglądała do szpary pomiędzy rurą odpływową wanny a umywalką, nawet samej siebie.

Czuła strach. Raz wyciekały z niej siódme poty na myśl o tym, że zgnuśniej w obecnej pracy na ślepo przywalając pieczętką w faktury za pensję, pobłażliwie to nazywając, nieznacznie niższą od średniej krajowej. Innym razem jej oczom ukazywała się upiorna wizja, że nie spotka drugiej połówki swojego jabłka, że na starość nie będzie przy niej nikogo, kto

z dobrze skrywanym zniesmaczeniem zmieni jej pieluchę albo pomoże prowadzić balkonik.

Był wprawdzie jeden absztyfikant, który od wielu już lat zabiegał wytrwale o jej względy, ale raczej nie będzie ci się chciało o nim czytać. Typowy nieudacznik, który w skali od jednego do dziesięciu w kategorii wygląd zewnętrzny osiągał maksymalnie, jeśli się porządnie napracował, dwóję z plusem. Zapieprzał od siódmej trzydzieści do piętnastej trzydzieści za jakieś grosze w urzędzie (o ironio losu!) stanu cywilnego. Niekiedy, w najściślejszej tajemnicy, chodziła z nim do łóżka, do kina albo knajpy, bo na bezrybiu i rak rybą, przy czym zawsze, decydując się na drugą lub trzecią z wyżej wymienionych opcji, wybierała kina studyjne albo tanie, obskurne restauracje, gdzie prawdopodobieństwo przypadkowych spotkań oscylowało w granicach zera. Za porządną kolację ten przydupas i tak nie miałby czym zapłacić, a wizja stania na zmywaku celem uregulowania rachunku nie jawiłaby się chyba i tobie jako szczególnie atrakcyjna.

Tak więc od czasu do czasu Eleonora, kierując się wskazówkami swego biologicznego zegara lub też odczuwając potrzebę wyjścia z domowych pieleszy, co w jej aktualnym stanie należało do rzadkości, odpowiadała na jego bezustanne zaloty. Problem był jednak tego rodzaju, że biedak chyba się zakochał. I to na amen. Podczas wspólnych wieczorów wpatrywał się w nią jak sroka w gnat, a po seksie doznawał całkowitego zamroczenia i paplał kompletnie bez sensu, jakby był w stanie upojenia narkotycznego, o tym, jak to będzie wspaniale, kiedy już będą ze sobą razem oficjalnie, kiedy ona, Eleonora, pozna jego, Wojciecha, rodziców, którzy na pewno od razu pokochają ją jak córkę, jak to on, Wojciech, weźmie drugi etat, żeby zwiększyć swoją zdolność kredytową, bo przecież musi dla niej zbudować dom, ale nie taki z cegły, zimny, z najmodniejszymi elewacjami, lecz prawdziwy, ciepły, rodzinny. Z murowanym kominkiem, kwiecistym ogrodem i merdają-

cym niestrudzeniem ogonem labradorem.

Nie mogąc znieść idyllicznych obrazów kreowanych przez chory umysł tego biednego człowieka, zazwyczaj w takich sytuacjach rozkazywała mu wyjść, gdyż z uwagi na silne bóle migrenowe znienacka odczuwała wielką senność. Na szczęście Wojtuś za każdym razem kupował ten kit i pokornie stosował się do jej życzenia, zapewniając jeszcze w progu o swojej dozgonnej miłości i oferując się, że w każdej chwili może powrócić i udzielić jej wszelkiego niezbędnego wsparcia w przetrwaniu tych jakże męczących dokuczliwości. Bywało jej go szkoda, czasem nawet doskwierały jej wyrzuty sumienia, że robi mu niepotrzebne nadzieje, ale cóż, takie przecież jest życie, a ona też ma swoje potrzeby, których nawet byle jakie zaspokajanie o niebo lepsze jest niż żadne.

Czasami śnił jej się taki sen:

Przechadzała się z Wojtusiem po naderzeczonym deptaku, była to wiosna tudzież wczesne lato, i nagle, w przypływie sympatii i współczucia dla tego żalosego klauna, który właśnie skończył opowiadać dowcip z cyklu: „Uwierz, takim wielkim nieszczęśnikiem jestem, naprawdę!”, chwyciła go za rękę, a on już, już nachylał się, żeby pocałować ją w policzek świadom faktu, że takie błogosławieństwo może nie stać się jego udziałem po raz drugi, kiedy nagle, niczym królik z kapelusza, wyrastała przed nimi ONA.

Ubrana była w zwiewną sukienkę, białą w czarne kropczki, w pasie oplatał ją cieniuteńki, połyskliwy paseczek, doskonale uwydatniający talię osy, stopy zdobiły delikatne czółenka w tonacji ekri, również połyskliwe, ale nie błyszczące, stonowane, idealnie pasujące do reszty niewymyślnej wszakże, lecz ze smakiem skomponowanej kreacji. Na górze wieńczył to arcydzieło słomkowy kapelusz z szerokim rondem, dawcą upragnionego cienia, przewiązany białą kokardką. Wyglądała jak nimfa, jej delikatnie opalone ciało spowijała mgielka lekkich, optymalnych na lato perfum. Nie dezodorantu ani wody per-

fumowanej, ale najprawdziwszych perfum. Takich, na jakie można sobie pozwolić, kiedy zarabia się (jakby to właściwie ująć w słowa?), cokolwiek więcej niż wynosi średnia krajowa.

Ale ONA nie była z tych, które garbią się pod tonami złota opasującymi szyję, nadgarstki i uszy, o nie, ona wprawdzie nigdy nie kryła się ze swą klasą, ale czyniła to zawsze w sposób wyrafinowany, z finezją właściwą samej Księżnej Dajanie. Z jednej strony wyglądała teraz właśnie jak dostojna członkini rodziny królewskiej podczas niedzielного spaceru, z drugiej, jak wprawdzie prostoduszna, ale przecież urocza Ania z Zielonego Wzgórza. Krótko mówiąc – była oszałamiająca.

Na widok Eleonory w jej śnie uśmiechała się szeroko, ukazując dwa rzędy równusieńkich, bielszych niż sukienka zębów, a następnie przemawiała głosem miękkim, wyrażającym zarówno zaskoczenie, jak i niepohamowaną radość i szczerą sympatię wobec napotkanych:

- Och, Słonko! Ach, co za niespodzianka! Niesamowity zbieg okoliczności!

I zanim Eleonora zdołała wykrztusić z siebie choćby słowo, zza JEJ lewego ramienia powoli wyłaniała się inna postać. Z początku widać ją było jak przez malignę, gdyż szerokie rondo kapelusza szczelnie opatulało ją cieniem, lecz już po kilku sekundach Eleonora doznawała mojąszowego objawienia. Oto bowiem jej oczom ukazywał się Bóg i, ogarnąwszy ten fakt swym śpiącym umysłem, zrazu odczuwała dojmujące przerażenie, że oto stał się Pan, ażeby ukarać ją, niewdzięcznicę, ateistkę od chwili pierwszego sakramentu, który zresztą zniszczył jej życie i przekreślił szansę na odmianę losu.

- Hej! Jestem Kewin. – Przyjaźnie, jak niewidziany od stuleci kolega z ławki, rzucał w jej stronę Dobry Pasterz, najwyraźniej nie nosząc się z zamiarem formułowania jakichkolwiek skarg czy wniosków.

I kiedy bóstwo wychynęło w końcu w całości zza kapelusza, roztaczając tuż przed Eleonorą całą swą krasę, pojmowała ona nie-

spodzianie z całą mocą, czym jest nawrócenie. Pobudzała się każda komórka jej ciała, każdy elektron, neutron i proton nagle stawały się aktywne, krew zaczynała drażnić żyły i tętnice jak oszałała. Myliłam się, myliłam, Bóg jest miłością!, kontemplowała wtedy zawsze w swoim śnie.

Bóg był boski. Wysoki brunet z krótką, seksowną bródką i wczorajszym zarostem. Jego oczy można by śmiało przyrównać do otchłani. Były kasztanowe, a blask słonecznych promieni odbijał się w nich w taki sposób, że miało się wrażenie, że notorycznie wpatruje się prosto w ciebie, choćby pozornie spoglądał w innym kierunku, zupełnie jak Mona Liza. Miał na sobie obcisłą koszulkę moro bez rękawków, co uwydatniało umięśnione ramiona. Pięknie wyrzeźbione posiadał również przedramiona, a dłonie duże, szerokie, zakończone z każdej strony długimi, zgrabnymi jak u pianisty palcami. Jego tors przy każdym oddechu opinał się wyzywająco pod materiałem koszulki, doprowadzając tym Eleonorę na skraj nirwany, wniebowstąpienia czy czegoś jeszcze innego, mniejsza o fachowe nazewnictwo. Na nogach miał spodnie trzy-czwarte, na przekór upalnej pogodzie całe czarne, zaś na stopach fikuśne, bo imitujące styl wojskowy, japonki.

- Właśnie wracamy z Kewem z zakupów. – Odzywała się, wciąż uśmiechając się ujmująco, Lejdi Di. – Ach, a ty jesteś pewnie facetem Eleonory? Och, zajeście wreszcie cię poznać! Eleonora tyle o tobie opowiadała!

Najprawdopodobniej w tym właśnie momencie snu Eleonora spadała zawsze ze swojego kompletnie niewygodnego, jednoosobowego łóżka, lecz nie budziła się mimo doznanych urazów w postaci posiniaczonego policzka, wykręconego nadgarstka i stłuczonego biodra. Przeciwnie, trwała nadal w tej zadziwiająco realistycznej marze, ale do jej drzemającego w najlepsze rozumu z wolna docierać zaczynały niepokojące sygnały.

„Ach, a ty jesteś pewnie facetem Eleonory?”

„Och, zajębiście wreszcie cię poznać!”

„Eleonora tyle o tobie opowiadała!”

„Ach, a ty jesteś pewnie facetem Eleonory?”...

Na dźwięk tych słów, roznoszących się łoskoczącym echem po całym nadrzecznym deptaku, Eleonora w końcu przytomniała, odrywała wzrok od rozszerzającej się grzesznie co chwila koszulki i, wciąż mając przed oczyma zielono-szare pląsy, w popłochu podejmowała niezdarną, z góry skazaną na porażkę próbę ocalenia się przed nadciągającym unicestwieniem:

- Yyy, co? Aaa, on! Nie, to nie tak jak myślisz, zwariowałaś? To jest...

Apokalipsa była już jednak przesądzona, zaś wyrok ogłosić miał najbardziej niepozorny ze wszystkich sędziów świata:

- Cześć, jestem Wojtek, tak, to ja jestem chłopakiem Eleonory, mnie również miło poznać. Właśnie idziemy na colę i frytki do „Zjedz, ile chcesz, za pięć pięćdziesiąt”, przyłączycie się? Byłoby klawo!

W prawdziwym świecie bezwładne do tychczas ciało Eleonory sztywniało na dłuższą chwilę i pogrążało się w bezdechu, po czym wprowadzone w szalony ruch przez drgawki usiłowało wyrwać ją ze snu, co następowało zazwyczaj dopiero po kilkukrotnych uderzeniach skroni w białe linoleum. Otwierała wtedy ogromne jak u heroinisty źrenice i starała się zorientować, czy już umarła, czy jeszcze żyje. Kiedy wreszcie uświadamiała sobie, że śniła, na ogół była tak wycieńczona, że po omacku szukała obolałą ręką kropli nasennych, przechowywanych, na wszelki wypadek, zawsze po poduszką, i po zaaplikowaniu sobie sporej dawki zasypiała przy łóżku w pozycji embrionalnej, pusta, wypatroszona, cała złana potem, niezdolna do nawiązania kontaktu ani ze swoim id, ani ze swoim ego, o superego już nie wspominając.

Tak więc bała się, bała się bezustannie, a strach stał się najwierniejszym kompanem. Pogłębiał depresję i kopał jej grób. Z dnia na dzień coraz głębszy [...].

Anna Falana-Jafra

Anna Falana-Jafra – rodowita częstochowianka, urodzona w tym mieście 16 czerwca 1986 roku. Ukończyła VII Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika, następnie rozpoczęła studia na Uniwersytecie Śląskim. Z wykształcenia prawnik, z zamiłowania pisarka. Głęboko przekonana o sile słowa miłośniczka literatury współczesnej i filozofii. Rozważna optymistka.

ODKLEJANIE PÓŁ WALKI. ZAPISKI NA MARGINESIE „KOSTKI RUBIKA”

Michael Houellebecq, ów mistrz abnegatów i guru ironistów, pisarz odsądzany od czci i wiary przez konserwatywną frakcję opiniotwórczych kręgów, zresztą bez specjalnego sprzeciwu z jego strony wobec jakichkolwiek ocen, stwierdził w jednej ze swoich kultowych powieści [bo każda niemal z jego powieści w krótkim czasie staje się kultowa], że niestety, *brak chęci do życia nie wystarcza, by mieć ochotę na śmierć* [„Platforma”, 2001]. Jest w tym jakaś optymistyczna – co paradoksalne dla aury tego pisarstwa – konstatacja wyrażająca się w zwątpieniu w siłę destrukcyjnego dążenia do samouniعةstwienia. W pewien sposób jest to myśl ocalająca, choć bez konkretnej egzemplifikacji rozwiązań możliwych do zastosowania, by brak chęci do życia nie tyle przekładał się na zaniechanie samobójstwa, ile uległ modyfikacji ku akceptacji życia takim, jakim ono jest. Houellebecq, jeśli boryka się z brakiem chęci do życia, niekoniecznie czyni go fabularną dominantą w swojej twórczości. Wydaje się, że nie jest zainteresowany opisywaniem świata z perspektywy podziału na życie/śmierć. Nie one są dla niego istotne, ponieważ pomiędzy nimi znajduje się znacznie ciekawsza dla sztuki szczelina braku czegokolwiek, w której dokonuje się swoiste teatrum zachowań, postaw i wypadków osnute dymem zwątpienia i ono jest dla Houellebecq’a programowym obiektem obserwacji.

Zwątpienie dotychczas rozpatrywane jako jednostkowe uczucie zachowuje się jak rasowa epidemia, która zatacza coraz szersze kręgi terytorialne i obejmuje swoim zasięgiem coraz liczniejsze grupy ludzi. Można zaryzykować pogląd, że odczucie beznadziei stało się dys-

tynktywną cechą społeczeństw ustabilizowanych ekonomicznie i kulturowo; jest znakiem naszych-tych czasów i naszego, europejskiego terytorium. Osiągnęliśmy poziom życiowego komfortu tak wysoki, kosztem tak wielkiego wysiłku kilku zaledwie pokoleń i w tempie tak sprinterskim, że jedyne, na co mamy ochotę, to wyłączenie się z wyścigu. W końcu stabilizacja okazała się pułapką zaspokojonych potrzeb, pułapką przesytu. A zwątpienie do pary z obojętnością, choć stwarzają pozory strategii obronnej, w istocie stanowią paraliżujący tandem czynników redukujących ludzkie zachowania do atawizmów. Następuje odwrotny do postępu proces redukcji – społeczeństwa o określonym statusie materialnym i cywilizacyjnym zaczynają ulegać samoistnej atomizacji, począwszy od rezygnacji z życiowych potrzeb, poprzez kryzys wartości i odrzucenie kulturowych wzorców określających ich społeczną [ludzką] tożsamość tj. religia, narodowość czy praca. Być może autor „Poszerzenia pola walki”, który celowo drażni przyjętym przez siebie wulgarnym językiem opisu, manifestuje w ten sposób swoją kontestację wobec tak ukształtowanego *status quo* i jest jednym z niewielu, który stara się nadać zjawisku kryzysu określony kierunek. A przecież nadejście dehumanizacji wieszczono już wieki temu [patrz: „Bunt mas” Ortegi y Gasset’a – przyp. A.K.]...

Dekada lat 80. XX wieku dobiegała niechlubnego końca, co absolutnie nie przeszkadzało mi maszerować podczas przerw w szeregu innych uczniów z chlubną, czerwoną odznaką wzorowej uczennicy przyszytą do granatowego fartucha. Zresztą, ani ta odznaka, ani ten fartuch nie miały aż takiego

a $\begin{matrix} 1 & 2 & 1 & 2 \\ F & E & B & E & B & F \end{matrix}$

b $(F D' F D)^3$

c $\begin{matrix} 2 & 2 & 1 & 1 \\ D & E & C & E & C & D \end{matrix}$

W zależności od ustawienia badającego krusu w pozycji A lub B lub C ustawiamy badający krus w takiej pozycji jaka nam wychodzi. Pozycja B znajduje się pod spodem.

Do utworzenia badającego krusu chwytamy kostkę, do góry nogami i przystępujemy do utworzenia krusu. Wykonujemy to przez ustawienie krusu kółkami w pozycji af. Wtedy wystąpi ta sytuacja że trzy kolory będą w linii. Prościej to postępujemy tak jak by były w pozycji af i kupujemy do momentu aż wyjdzie nam krus BACAC'B'.

a

Do utworzenia krusu przystępujemy do utworzenia nawinięć. Dwa dobre nawinięcia ustawiamy w pozycji ac. Jeśli wystąpi sytuacja że dobre nawinięcia są po przeciwnych stronach krusu przestawiamy je w pozycji ac i dalej kupujemy aż wejdziesz na swoje miejsce F A F A F A^2 F A.

adf.

Do ustawienia nawinięć przystępujemy do ustawienia krusu jeżeli mamy dobry krus to ustawiamy go w pozycji adf. jeżeli nie mamy dobrego nawinięcia krusu to kupujemy do momentu ustawienia dobrego krusu. Następnie kupujemy aż będziemy mieli prostą.

Schemat wzoru kostki Rubika [ze zbiorów Jarosława Leszczuka].

znaczenia na rynku oślich pożądań rzeczy bliźniego swego. Zresztą, nie mieliśmy zbyt dużego wyboru rzeczy, których mogliśmy pożądać, ba – nie wiedzieliśmy, że są rzeczy, których możemy pragnąć, rzeczy inne niż kapsle od butelek, bez których nie dało się zagrać w Wyścig Pokoju na trasie rozrysowanej kredą po chodniku [ach, ten Uwe Ampler – każdy chciał go mieć „na kapslu”]. Aż do tamtej chwili, kiedy znaczenia nabrała ta dziwna kostka podzielona na kolorowe kwadraciki i do tego niezrozumiale, jakoś magicznie ruchoma, a jednak trzymająca się całości swojego kształtu. Bajecznie kolorowy przedmiot pożądania – dostępny dla nielicznych. W najściślejszej konspiracji przemycano się ją do szkoły, pokazywało wybrancom [najczęściej w kabinie toalety], z reguły nikt poza właścicielem nie mógł jej dotykać, a jeśli dostąpił zaszczytu, nieudolnie przekręcał sfery kostki według osi, mieszał bezradnie kolory i po chwili oddawał sześcian świadom swojej klęski wobec zaszyfrowanego logarytmu wzoru. Chodziło przecież o to, by każdą ze ścian pokrywały jednolicie kwadraciki w określonej barwie. Kto to potrafił – był mistrzem! Dopiero potem przyszła moda na odręcznie rysowane „instrukcje obsługi”, mierzenie czasu, rywalizację, zwiększanie presji... kostkę Rubika miał mój kuzyn. Ojciec przysłał mu w paczce z „ju-es-ej”. Leżała na półeczce nad jego biurkiem. Na poczesnym miejscu, jak najcenniejsze trofeum. Pewnego dnia, pod jego nieobecność, po prostu wpadła mi w ręce. O, jakże niezgrabne okazały się dłonie wzorowej uczennicy z klasy I. Tak niezgrabne, że aż brała złość! Przekręcanie płaszczyzn bez widocznego natychmiast efektu wydało mi się już wtedy głupią i bezcelową stratą czasu. Postanowiłam rozpracować logarytm w inny sposób – z perspektywy czasu sposób ów dowodzi dość topornej logiki, choć nie odrzucam myśli, że być może była to po-

krętna, ale jednak skuteczna odpowiedź na narastające stężenie furii z układaniem pól w jednokolorową taflę. Wystarczyło podważyć paznokciem naklejone kwadraciki – choć klej trzymał mocno, w końcu musiał ustąpić przed siłą kreatywności. Byłam z siebie naprawdę dumna. Dumna bardziej, niż z odznaki wzorowej uczennicy. Odłożyłam kostkę na swoje miejsce i wyszłam z pokoju. Czy ta cała kostka Rubika mogła mieć jeszcze jakiekolwiek znaczenie? Otóż – mogła. I miała. Awantura, która potem rozpętała się nad moją głową, ostatecznie przypieczętowała awersję, jaką do dziś darzę wszelkie logiczne zabawki. Czasem po prostu trzeba zostawić sprawy na swoim miejscu tak, jak je przyklejono. Czasem – co nie znaczy „zawsze”...

To nie tyle rozważania na marginesie debiutu prozatorskiego, ile zaledwie nikły zarys wrażeń pod wpływem wypadków, których jesteśmy świadkami, które są doświadczeniem pokoleniowym. Dzisiejsze, houellebecqowskie zwątpienie jest odwrotnie proporcjonalne do tamtego zafascynowania światem innym niż ten, który był nam dostępny każdego dnia. Kolorowa kostka Rubika – magiczny atrybut z innej planety zrzucony w szarzyznę bez początku i końca. Zasiane ziarno pokus w stadzie niewinnych owiec. To było wtedy. Dzisiaj kostka Rubika nie wywołuje już takiego zamieszania – stała się zwykłą zabawką, której nie potrzebujemy do szczęścia. Bo dzisiaj punkt ciężkości pragnień przesunął się znacznie dalej – czy w ogóle jesteśmy jeszcze zdolni do odczuwania szczęścia?

Czy do odczuwania szczęścia jest zdolna Eleonora – główna postać fragmentu powieści o wymownym tytule „Kostka Rubika. Powiastka o mocnym posmaku psychologicznym” Anny Falany-Jafry, jeśli wszystko wskazuje na to, że raczej toczy nierówną walkę z oporem materii, szamocze się z przytłaczającą rzeczywistością utwierdzona w pe-

symistycznym przekonaniu na temat własnej atrakcyjności i wreszcie staje wobec smutnej prawdy, że z tej pułapki życia nie ma łatwego wyjścia, o ile w ogóle jakieś jest. Temat bez mała znoszony jak literatura współczesna długa i szeroka, a gdyby poszperać w twórczości dawniejszej, i tam znalazłoby się kilka egzemplarzy ze skrupulatnym zapisem traum i tragedii. Dlaczego więc warto poświęcić czas i uwagę na jeszcze jeden tekst o oczywistej tematyce? Znowu posłużę się tą pozbawioną finezji logiką. Powieść Anny Falany-Jafry po prostu wprawiła mnie w zaskoczenie. Sposób, w jaki autorka ujęła treść, był dla mnie od wielu, wielu przeczytanych na poważnie tekstów niemożliwym do zaspokojenia pragnieniem przeczytania wreszcie czegoś po ludzku tragikomicznego, gdzie patos ulegnie takiej hiperbolizacji, że stanie się karykaturą samego siebie, nieporadnym pajacem, który mnie śmieszy, ale i wzrusza. I wreszcie coś takiego znalazłam – tu, blisko, wśród autorów z mojego miasta. Postać Eleonory to postać niemal everywomenowska [dla politycznej poprawności wobec parytetów; jakby nie było, kobiety też posiadają własny patent na przerabianie życiowej empirii] – jej doświadczenia, strategię obronne, motywacje są na wskroś autentyczne, bliskie, przeżyte przez ogół kobiet w określonym wieku. Mogłabym porównać ją z kultową Bridget Jones, ale Eleonora jednak jest inna od Brytyjki – to nie są siostry-bliźniaczki. Bohaterka „Kostki Rubika” jest inteligentna i zadbana, obyta w otaczającej ją przestrzeni, i przede wszystkim świadoma siebie – posiada odwagę, by przyznać się [także przed samą sobą] do depresji. Jej szarpanina z codziennością niesie posmak heroicznego przekraczania własnych ograniczeń i pokonywania słabości wbrew zwątpieniu, sama codzienność to pole walki bez gwarancji zwycięstwa – farsowe, ale jednak piekło.

Eleonora, choć ratuje się ironią, wiedzona instynktownie ku nadaniu swoim „demonom” realnych wymiarów, sama jest ofiarą uwikłaną w schemat. Schemat relacji międzyludzkich, schemat zachowań, schemat życiowych ambicji, wreszcie schemat własnej osobowości sprowadzony do kreowania siebie kosztem autentyczności zapętłają się do skali gordyjskiego węzła. Kwintesencją istnienia [życia?] staje się umiejętność sprawnego manipulowania w drukowanymi modelami jak w kostce Rubika, by uzyskać pełnię, poczucie całości. Nie da się niczego przyspieszyć, przekleić, obejść. Poruszamy się w zamkniętym obszarze i mamy do wyboru określoną ilość rozwiązań – określoną, co nie znaczy, że każde z rozwiązań jest trafne, że będziemy potrafili do niego dojść zaopatrzeni wyłącznie we własne niedoskonałe ciało, złudne nadzieje i intelekt nieprzywykły do rozszyfrowania prawidłowości wzoru. Eleonora nie radzi sobie z manipulowaniem. Ani zgromadzona wiedza, ani zrozumienie reguł, ani samoświadomość nie gwarantują sukcesu... w życiu. Więc co? Od czego to zależy?

Bohaterka powieści jest świadoma swojej sytuacji i reguł rządzących światem, nie mniej jednak z jakimś trudnym do wytłumaczenia uporem okazuje tej świadomości swój wewnętrzny, zapisany w myślach sprzeciw. To, czego nie potrafi zwerbalizować w bezpośrednim starciu, formułuje w zapis myśli. Nadaje im kształt pisma. Nie od dziś wiadomo, że jedną z metod skutecznej terapii od wszelkich traum jest właśnie pisanie dziennika – próba wejrzenia w siebie i niejednokrotnie realizacja dyskursu filozoficznego nad naturą człowieczeństwa w szerszym ujęciu. Ów dyskurs pod piórem Anny Falany-Jafry jest na wskroś współczesny, rozbłyskuje frenetycznie językowymi zapożyczeniami z ulicy, gabinetu psychoterapeuty, medialnych reklam i kobiecych poradników w stylu „jak żyć”, gdzie

każdy artykuł przerabia kobiety na *self-made womanki*. Choćby dla tego przerysowanego opisu współczesnej obyczajowości warto prześledzić losy Eleonory.

Poza tym sam język tej prozy migocze i drga od napięć. Stylistyczna żonglerka mową pozornie zależną, miejscami zbliżoną do strumienia świadomości opiera się na niezwykle połączonym słownych skojarzeniach. Potok przejrzystych, logicznie uformowanych wyrażań, potencjał wyobraźniowości opisywanych epizodów sprawiają, że narracja nabiera dynamiki, niemal namacalnie oddaje stan wewnętrzny postaci, jej lęki, pogoń myśli, wreszcie zagubienie w nadmiarze bodźców.

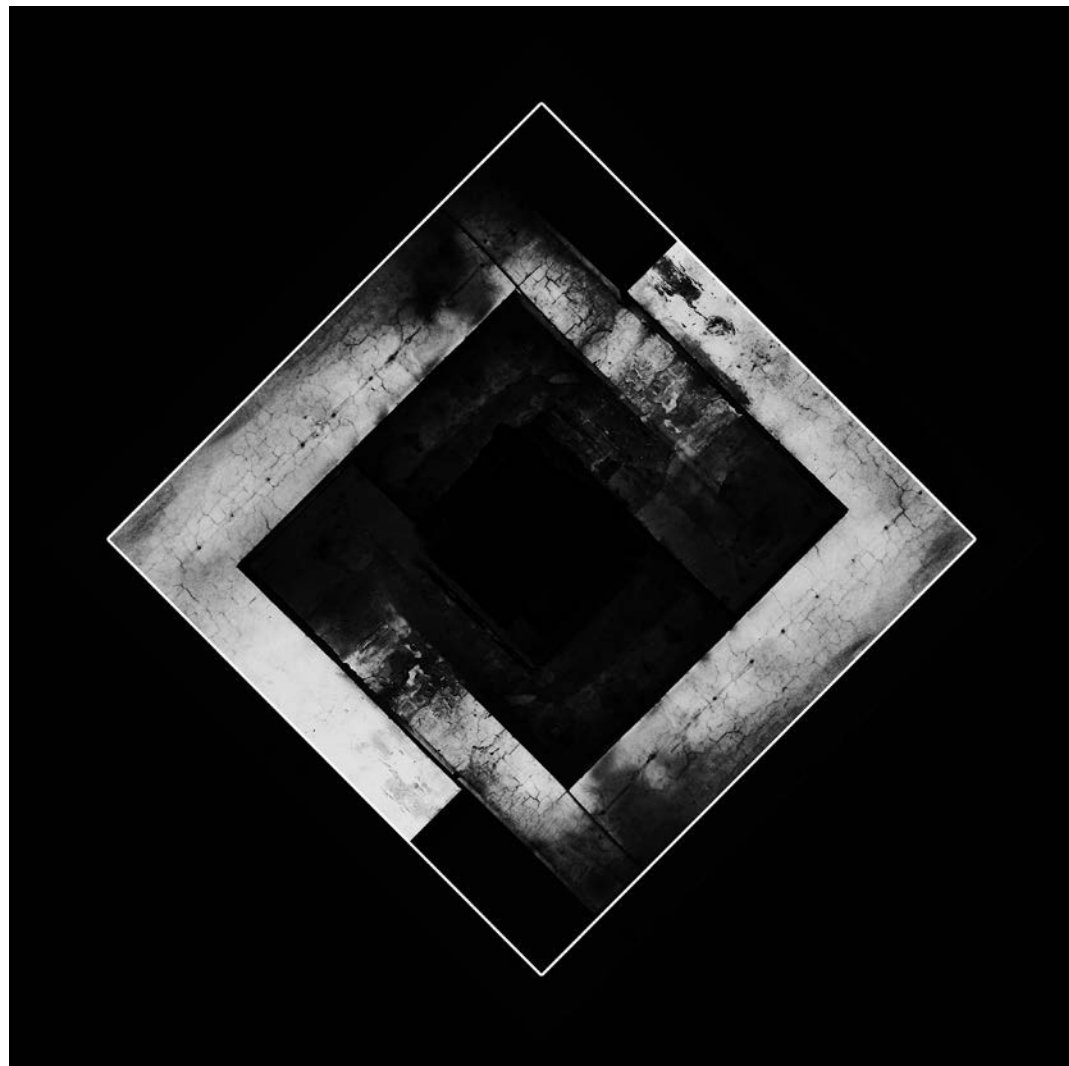
Bystrość obserwacji, taktyka opisu oparta na autoironii, a przy tym umiejętność budowania wielopoziomowego tekstu za pomocą różnych form literackiej wypowiedzi [m.in. cytaty z ulotki medycznej], dowodzą nie tylko pomysłowości autorki, ale także przekonują, że mamy do czynienia z przemyślaną fabułą, z autorką świadomą języka, jego funkcji i możliwości wyrażeniowych. Dzięki nim ów skostniały pod względem formy temat – temat choroby – nabiera tempa i żywotności. Jest własnym, oryginalnym głosem w sprawie – jeśli zestawić go z rozważaniami takich sław jak Virginia Woolf [esej „O chorowaniu”] czy Susan Sontag [esej „Choroba jako metafora”]. Autorka rozpracowuje kwestię depresyjnej rzeczywistości w opozycji do tego rodzaju literatury, której patronuje wspomniany tutaj i wiszący nad współczesną literaturą [traumatyczną] Houellebecq. Nie twierdzę, by Anna Falana-Jafra celowo kontrastowała przyjęty przez siebie sposób opisu z tym, który został uznany za reprezentatywny dla francuskiego mistrza zaniedbania i nihilizmu. Chcę jedynie zaznaczyć, że pozwoliła sobie na samodzielność wyboru. Ona także nie idzie na skróty – nie opisuje świata z perspektywy prostego podziału na równowagę psychiczną i depre-

sję. Próbuje opisać świat osoby dotkniętej chorobą na swój sposób, uzasadnić motyw jej postępowania i rozminować sytuację zdecydowanie niebezpieczną, przykrą za pomocą przerysowania, która w końcu staje się tak absurdalna, że pobawiona sensu, i śmieszna. I ten śmiech właśnie gwarantuje zachowanie równowagi w niełaskawej przestrzeni – śmiech, którego nie ma u Houellebecq. Dlatego „Kostkę Rubika” zaliczyłabym do literatury ocalającej od zatracenia w smutku.

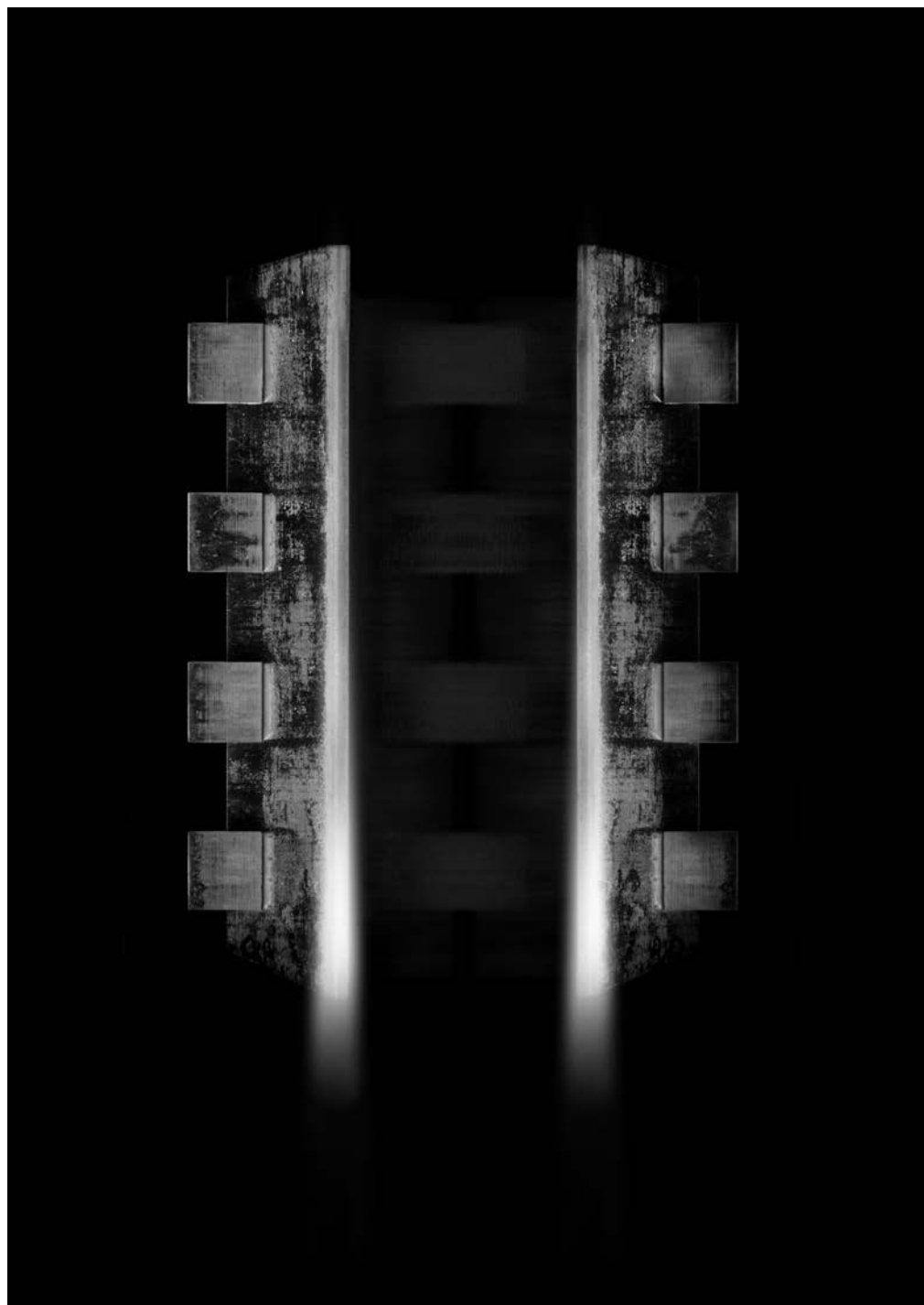
Trudno upatrywać w głównej bohaterce tej historii kolejnego wcielenia Siłaczki, bo Eleonora nie zmierza do samounicestwienia w imię utylitaryzmu. Do czego zmierza Eleonora? Albo raczej z kim/z czym się przyjdzie się jej zmierzyć? Być może kiedyś będziemy mieć okazję przeczytać tę książkę do końca, bowiem jej lektura – już w roboczej wersji – sprawia od dawna wyczekiwaną przyjemność obcowania z barwnym tekstem literackim, niemal brawurowo poprowadzonym, co tym bardziej zasługuje na uwagę, jeśli mamy do czynienia z debiutem literackim.

Aleksandra Keller

P.S. ...radziłabym zaryzykować i poszukać wydawcy [na przekór schematowi kostki].



Żaneta Wojtala, Dehumanizacja IV [Dehumanization IV], 50x50 cm



Żaneta Wojtala, Dehumanizacja XIV [Dehumanization XIV], 100x70 cm

Arkadiusz Frania

RZEŻBY W MAŚLE. PROZY Z PAMIĘCI [fragment]

Rzeźby w maśle

Zaraz po przebudzeniu nie jestem zbyt wyraźny i rozmowny. Lewą ręką, zwiśającą przez ciało Agatki, dotykam klepkę w podłodze – tę, która trzeszczy, gdy się na nią stąpnie. Druga dłoń, zaczadzona fioletową mgłą, potocznie nazywana „Okudźawą i Sindbadem”, nie wykonuje żadnego konkretnego, godnego uwagi ruchu.

Na początku wiwisekcja: jest mnie jeden i niech przynajmniej to się nie zmienia przez pewien czas – na wzięcie oddechu, na umycie zębów, ubranie koszuli, marynarki i spodni. Nie chcę, żeby było mnie więcej, żebym się rozstał ze swoją pojedynczością, jednostkowością, żebym musiał się dzielić sobą z innymi „ja”. No i pogadałem sobie. I tak się zwielokrotnię niechcący, chcąc nie chcąc, z głupia frant. A jak potłukę lustra, poodbijam się od własnego cienia. Przejawię się błazeńsko jako „ten”, „tamten”, „ów”, „inny”. Nie ma i nie będzie mnie jednego. Schodząc z łóżka jestem inny niż przed przebudzeniem. Śpiew ptaków późnojesiennych zawirowuje w moich uszach – mnie starszego o umycie zębów. Wtedy stwierdzę, że skończoność najlepiej zaprezentować na pustej tubce.

W umyśle, w maśle rzeźbię. Ile we mnie jest prawdy o mnie? Ruszam się, niby-żyję, bo wczoraj wieczorem obierałem jabłko, odcinałem plasterki nożem i wkładałem na język jak komunię, żeby przypomnieć sobie mały sad u babci i dziadka w Sąpolnie Czułchowskim. Wakacje pachniały. Wakacje to papierówki, agrest, marchewka przyprószone na ziemią i piwo łykane z plastikowej bańki. Przed odjazdem siadaliśmy przy stole, piliśmy – zależnie od nabycia praw do dorosłości – kawę lub herbatę i jedliśmy obowiązkowo

po dwa kawałki ciasta drożdżowego, które babcia Helcia wyjęła rano z pieca. Ja jestem niby-żyjątko na tyle, na ile potrafię cokolwiek wynieść z przeszłości, uratować z siebie tamtego. On-„ja” budzi się częściej niż rzadziej. Wspomnienia wczorajszości, dzisiejszości i jutrzejszości są jak zmały dzień i nocne, polucje podświadomości. O drugiej, trzeciej budzę się mokry od chodzenia we śnie po wszystkich zakamarkach przeszłego czasu.

Świat wokół mnie rozplywa się jak rzeźby z masła. Gdy podskakuje temperatura, figury jęlczejają, słowa rozpaćkane, ludzie rozlażli. Nie tężeję, gdyż w listopadzie zawieruszyło się kilka dni cieplejszych, jakby ostatni wychodzący z lodowca Eskimos i pingwin nieopatrznie zamknęli drzwi, choć to nielogiczne, bo – jak mówi Zbyszek Kaptur, a ja ufam jego wiedzy fizyczno-matematyczno-komputerowej – po uchyleniu wrót lodówki temperatura w kuchni się podnosi.

Świat się rozpuścił. Rozpuścił czy rozbestwił? Rozpuścił. Śliskie twarze zsuwają się z luster na podłogę. Patrzę w siebie jak w studnię, do której wpadłem. Plum. Posłuchaj lustra. Zaciśnij powieki i zobacz. Życie nie pozostawia złudzeń. Życie pozostawia cię sam na sam z sobą i albo się przyzwyczaisz, albo czym prędzej rezerwuj bilet do wariatkowa, które nazywa się: Lubliniec, Tworki lub Morawica. Dziecinne rymy kołują w głowie jak wygłodniałe sępy: „Tworki potworki”, „Lubliniec świnię”, „Morawica niechcica”.

Poznaję się już tylko z przyzwyczajenia, na „słowo honoru”, częściej na „daj mi spokój”, „odwal się”. Świat skacze na bungee, a ludzie boją się mówić o uczuciach. Łęki zakrzykują tabletkami antydepresyjnymi. Uśmiechają się gipsowe lalczki. Maskara – maskarada – masakra. Bardzo efektowne zestawienie i nic więcej. Czasem jest jeszcze trudniej, nieoczekiwanej, zadrowato. Kiedyś wydawało mi się, że ze światła łowię ryby. Niewykluczone, iż były to tylko pęcherzyki powietrza nasączone ogniskami, małutkimi płomieniami, by każdy zmieścił się w swo-

im pęcherzyku. Muszę poprawić uszczelkę w główce, bo cieknie, przepuszcza, od czaszki, od wody nabranej ze studni. Ukradli wiolsa, kapoki, drabinę, wiadro z łańcuchem, a ja nie umiem pływać.

Nagromadziłem zdecydowanie za dużo „ostatnich” słów. Są napompowane, nadęte, grzmiące, straszą, wyciągają z dyskoteki w chwili apoteozy stroboskopu przy stropie i dźwięków wyszarpywanych z winyli przez DJ-a. Wyraźnie powinna się urwać gadka, nawet na szmatkę do podłogi nierokująca nadziei. Gdzie jest brzdęk wyzwolenia? Czy ktoś złamie stagnację? Dostarczcie mi jeszcze parę luksów, z kilo dżuli energii z zewnątrz. Niech źródłem jasności nie będzie wizyta u dentysty, podczas której na zęby płynie światelko niebieskie suszące dwie warstwy plomby.

Mam piękny dół z sobą. Kopię przez całą noc. Po pracy szpadel i metr na metr w głąb. Mieszczę się w nim, ale bez rewelacji. Raczej trzeba przyjąć pozycję embrionalną. Na prawo, na lewo, na wznak, mordą w piach. Mój dół to właściwie mały dół, czyli dołek (przydaje się wykształcenie polonistyczne). Mam dołek i szukam sposobu, żeby go zasypać, żeby tak nie zionął pustką. Rozproszyłem się sobą, ale na tle nerwowym się uspokoiłem. Agatka zasugerowała mi stanowczym szepetem na ucho, żebym mówił głośnie i wyraźniej, a nie mamrotał i mruczał pod nosem coś bez sensu. Agatka wie, jak zasypać jasnym piaskiem tę dziurę, lej we mnie, że nawet fosforyzuję od potasu i lewituję po prawej stronie. I nachodzą mnie słoneczniki. I rozjaśniam się, rozwidniam, uchylam okno, wolę założyć przezroczystą skórę – równie dobrze przez nią widać duszę. Blask idzie we mnie, w żyłkach, blask idzie ze mnie, z żyłek. Gotuję się. Bulgoczę. „Jeżeli jest ci tak dobrze, jak mówisz, to dlaczego piszesz? Po co? Nie znam żadnego znośnego tekstu, który powstałby z alkoholu i dobrego samopoczucia autora” – pytam siebie po śniadaniu i odpowiadam, modulując głos, by być wiarygodnym. – „Bo

tak w ogóle, to ciągle walczę z bezsennością, depresją, śmiercią, milczeniem i... zgaga. Jeśli lepiej się poczuje... wolę dmuchać na zimne”. „A, rozumiem, dmuchasz na zimne, żeby zrobiło się ciepłe”.

Teraz mogę zacząć właściwą wypowiedź, pod którą się podszyję, pod szyję, że z dołka wystawać będzie tylko mój łeb od szpilki.

Koledzy z technikum i pierwszy seans filmu porno

Mam czapkę, rękawiczki i szalik, więc zaraz będę mógł pójść, bo prawie wszystko włożone, założone, nałożone. Tata nie wierzy przecież na „słowo honoru” i „słowo daję”, dlatego skrupulatnie sprawdza przed każdym wyjściem stan przydzielonego mi na zimę wyposażenia. Coś mu się nie podoba i tym razem, gdyż bacznie mi się przygląda, lustruje, mierzy, ocenia, taksuje. Otóż tu i tam trzeba wnieść pewne poprawki. Spokojnie, lecz zdecydowanie chwytając rękami brzegowe linie czapki i nabija ją mocniej na pocącą się w przedpokoju głowę syna. Potem zaciska pętlę szalika, tworząc węzeł gordyjskiego upokorzenia nastolatka. W przypadku rękawiczek wystarcza mu ich widok na moich dłoniach. Oto jestem, oto się prezentuję: wełniany bałwan, pośmiewisko. Jest rok 1989 albo 1990, czyli kolorystyka ubrań dziwaczna, wybór ich niewielki, zwyczajna linia, design rodem z szaroburości. W narzucanych przez oferty sklepów fatalaszkach młodzieniec musi udawać starego, a stary jeszcze starszego, a jeszcze starszy najstarszego z najstarszych. Wydaje się, że tata odpuszcza mi i nie będzie dalszej rewizji, gdyż, naciskając klamkę, mówi: „Jeszcze będziesz mi dziękował, że dbałem o twoje zdrowie. Wiesz dobrze, jak łatwo się przeziębic”. Rze- czywiście, za oknami ślota, ciapa, chlapa. Gdy robię pierwszy krok, gdy stopę przenoszę nad progiem, drzwi się nagle zamykają, szarpnięciem wypychając kolano do środka mieszkania. „A masz kalessony?” – słyszę. Nie

zdażyłem przytaknąć i zapewnić, tata podciąga nogawki grubasnych spodni i widzi, że nie widzi. Widzi brak. Nawet nie usiłuję tłumaczyć. Wiem, że wyjaśnienia na nic się zdadzą, albowiem tata ma wyrobioną opinię bez możliwości wniesienia korekty. Docenia jednak moją subordynację, skoro mówi: „Założysz, wyjdiesz”. Krótko, ze znanstwem podane oznajmienie. Niemal jak rzymskie przysłowie. Grzecznie rozbieram się, grzecznie ubieram się. W międzyczasie – grzecznie pocę. A było tak blisko, dumam, gołe nogi powinny zamanifestować „wnętrzne” ruchy wolnościowe szesnastolatka/siedemnastolatka. Krew się gotuje, chciałoby się zburzyć prawa fizyki i wydzedziczyć filozofię harmonii, wszystko postawić na fundamencie chaosu. W tym jednym momencie postanawiam zrezygnować z obrony swoich praw, muszę przełknąć honorowo próbę pacyfikacji mojej sfery suwerennej. To cicho-czynienie pod dyktando nakazów-zakazów, nie wzbudziło tatowego podejrzania, choć w istocie miało swoją przyczynę daleko różną od szacunku dla ojcowskiej pionizacji młodzieży i respektu wobec rodzicielskiej nieomyślności w kwestii wychowania. Zgodziłbym się wówczas i na zjedzenie zupy porowej, i na wypicie wody z solą i żabim skrzekiem, bo za wszelką cenę musiałem opuścić na kilka godzin dom rodzinny, by wspólnie z kolegami oglądać pierwszy w swoim życiu film porno. Miejsce seansu to mieszkanie starszego brata jednego z kolegów. Jest nas sześciu, może siedmiu. Sami mężczyźni, wybrani przez organizatora. Dobry kolega ofiarowuje nam możliwość zetknięcia się z arcydziełem zachowań seksualnych utrwalonych na taśmie VHS. Dziękuję losowi za to wyróżnienie. Żadnych dziewczyn. Najważniejsze, że żadnych dziewczyn, które łatwo zmąciłyby testosteronowy seans, wznieciłyby konkurencję, szurum-burum. Męska impreza, spotkanie klasowe chłopców z technikum. Gdy nad wchłoniętą przez magnetowid kaseta opuszcza się czarna klapka i na ekranie telewizora pojawia pierwsza para,

jestem dumny ze swojej niezależności. Zapominam o udrękach dojrzewania, zapominam o czapce, rękawiczkach, szaliku i kałesonach, które wciąż, ale jakby mniej drażnią skórę na udach.

Ludzie i rzeczy

Przywiązuję się do ludzi i rzeczy. Nie potrzebuję wielu ludzi ani wielu rzeczy, dlatego przywiązuję się do niewielu ludzi i niewielu rzeczy. Im mniej obiektów, tym lepiej, tym bardziej przywiązanie staje się przyjaźnią. Przyjaźń. Nigdy nie nadużywałem tego słowa. Podskórnie wiem dlaczego, ale za chwilę bezradnie rozłożę ciszę lub jąkanie, półgłosy, pseudozwroty imitujące zdanie. Nie szafuję przyjaźnią z lęku o przyszłość, z troski o siebie, ludzi, rzeczy? Bez cienia wstydu mogę jednak przyznać, że nazywam przyjacielem swoją żonę, gdyż przyjaźń jest najbliższą miłości. To niezbyt ostra definicja. Przyjaźń to emanacja miłości. Prawdziwie przyjaźnię się tylko z Agatką. Tu nie ma podtekstu erotycznego, który całkowicie mieści się w miłości z Agatką.

Ludzie są ślepi i bełkoczą. Ludzie pragną i nienawidzą. Normalny człowiek marzy o normalności. Na co dzień osłania swoje pragnienia gburowatym usposobieniem albo przesadnie sympatycznym wyrazem maski. A w trzewiach, bez mgnienia duszy zamieniłby sfrustrowaną egzystencję na „życie człowieka pocziwego”. Zwykli ludzie wstydzą się okazać serce bliźnim, lecz wzrusza ich rozjechany przez auto gołąb. Połamany, pogruchootany lotnik, Ikar, który nie sięgnął rozkoszy nieba. Dopadła go pozioma szybkość volvo i pancerna karoseria wozu. Ptak zabity przez człowieka. Pewnego dnia wracałem do domu, jak zwykle ze wzrokiem utkwionym w chodnik. Przechodnie przechodzili przede mną jak duchy przez ścianę. Nie podejrzewając, że na ziemi leży cały świat, nieodkryte terytorium, niedostępne ludziom o zwężających się żrenicach. Ptasie pióra, wszędzie ptasie pióra. Pomyślałem, że w mieście jest więcej ptaków niż ludzi.

A rzeczy? Są dla mnie odrębnymi bytami, mikroistnieniami. Chciałbym wierzyć, że każdy przedmiot ma duszę, z którą się kontaktuje moja dusza. Dotykam materii przenikniętej przez energię pochodzącą od Boga. Oczywiście, na przykład używając długopisu do zanotowania tych myśli, nie każdą sekundę poświęcam na zrytualizowanie więzi z pisakiem, narzędziem pracy, ale w ogólnym rozrachunku nie mogę pozbawić rzeczy cech żywotnych.

Często rozmawiam z rzeczami, przymierzam do rąk, głaszczę, szturcham. Staram się wnikać w ich mądrość. Dlatego też bez pomocy Agatki i jej stanowczego stanowiska, choć przedstawionego w sposób łagodny, nie potrafię pozbyć się zepsutego parasola. Przecież tyle wspólnych deszczy. Przed tyłoma przeziębieniami mnie uchronił. Kupując go, nie tylko nabyłem, ale przyjąłem do swojego wewnętrznego świata emocji, gdzie trwa między innymi maszyna do pisania Erica w pięknym czarnym futerale. Wygięły się druty parasola jak moje nerwy, jak moje słowa. Pękła rączka, to jakby urwała się częśćka mnie, odpadł nos lub małżowina. Kilkakroć nie miałem sumienia rozkładać go podczas ulewy, trzymałem w torbie, chronilem. Myślę nawet, że on mnie trzymał w ręce, on mnie posiadał na dobre, a nie ja jego. Na pewno mam więcej serca dla zniszczonego parasola niż dla ogryzionych paznokci znikających w otworze umywalki.

Każdy człowiek posiada też swoje drzewo, które pomaga mu istnieć. Drzewo to byt pośredni między człowiekiem a uduchowioną rzeczą. Jest dla homo sapiens horoskopem, życiorysem, konfesjonalem i egzorcystą. Podobno wielka sztuka życia polega na tym, by odnaleźć właściwe drzewo najpierw w sobie, a potem w przestrzeni poza sobą. Swój dąb, swój modrzew, swoją brzozę.

Ludzie poruszają się wśród rzeczy, przeobrażają się w przedmioty. Mężczyźni z krawatami i bez krawatów oglądają siksy. Pierwsza moczy stopy w fontannie przed dworcem

głównym PKP. Dziewczę czuje, że jest obserwowane. Spowalnia ruchy. Między palce nóg delikatnie wsuwa palce rąk. Obmywa zakamarki. Pasą się oczy mężczyzn. A powyżej stóp zaczyna się ciąg dalszy ciała dziewczyny. Staruszek pewnie zwróciłby uwagę lolicie, gdyby nie świadomość, że widzi najpiękniejsze nogi po tej stronie światła, przed wyprawą na drugą stronę. Podniosło się ciśnienie krwi w starych żyłach i świat łatwiej znieść, gdy przypomni się młódkę czyniącą takie gesty, jakby naciągała pończochy. Przemyka powieki, kryje się przed rzeczywistością. Grymasi na niby. Rozckliwia się i rozsiewa feromony. Inne kobiety zagryzają wargi. Na szczęście przyjechał tramwaj i czerwony smok MPK zabrał większość widzów w stronę dzielnicy Północ. Siksa prawie sama. Nagle obok niej zjawia się cherubinek w krótkich spodenkach. Zerwał się matce jak wiatr górom. Próbuje wyczyścić mleczną, czerwoną plamę ze spodenek, ale tylko rozmazuje i plama staje się większa. Matka odgraża się latorośli, że nigdy w życiu nie kupi już lodów, bo nie umie jeść jak inne dzieci, nie umie jeść jak człowiek.

Niekiedy rzeczy pozwalają mi zapomnieć o ludziach i innych rzeczach. To zdarza się wtedy, gdy boję się całym sobą. Boję się nerkami, pęcherzem wypełnionym moczem. Boję się dziewięcioma włoskami rosnącymi pod obrączką. Uciekając od siebie, od swojego życia, zaprzątam umysł takim bezsensownym pomiarem. Upływam, żeby nie zdziścić, nie zdziadzić w wyobrażeniu o sobie. Świat obecny wykluczył bojaźń z katalogu cech interaktywnego człowieka. Gdyby mnie tak porządnie zważyć, zmierzyć, wyszłoby, że powinienem być oficjalnie umieszczony na marginesie, poza głównym nurtem. Przypomniałem sobie, że w gabinecie zabiegowym chciano mnie już kiedyś zważyć, policzyć, zmierzyć. Na wstępie badanie pojemności płuc. Dmuchałem w rurkę udającą odpływ od wanny. Pomiar nieprawidłowy, gdyż zapaliła się czerwona dioda, a to niedobrze.

Wdech, wydech. Jeszcze raz. Nabieram powietrza w płuca. Przytrzymuję i z całej siły dmucham w wannę, to znaczy w rurkę. Pomiar nieprawidłowy. Zaczęły migać dwie czerwone kropki, a to jeszcze gorzej niż wcześniej. Chciano zważyć mnie, policzyć, zmierzyć, a zauważono, wliczono, zmierzwiono. W taki morowy, molowy czas wietrzeje mi humor, poczucie żartu, zdrowy stosunek do chorej terażniejszości. Teraźniejszość odstawiłbym na potem, na jutro. Wtedy stałaby się przeszłością, jedynym zjadliwym sposobem na czas. Tylko przeszłość mogę traktować poważnie, bez uprzedzeń, choć zagraża mi najbardziej. Nie ma pociechy. Próbuje odwlec spotkanie z sobą. Jak się w „ja” zaaklimatyzować? Jak się pogodzić? W ramach odtrutki, od soboty, z wyłączeniem niedzieli, przebierałem książki. Egzemplarze gnieździły się, pozbawiając powietrza słabsze pozycje, broszury, tomiki wierszy. Encyklopedie i słowniki zużywają cysterny tlenu na minutę. Przejrzałem księgozbiór i mniej czytane prace wyniosłem do piwnicy. Do przeprowadzki użyłem torby podróżnej, która wiozła nasze bety na wakacje do Buska-Zdroju i z powrotem.

Dzień zamknięty na jeden spust

Dzień jak co dzień – to taki, który nie odbiega, nie wyskakuje, nie wymyka się, nie odkleja i nie odstaje. Trzyma poziom stanów letnich. Miękką tyranią, dławiącą chusteczka z jedwabiu nasączona sokiem malinowym. Złamaniem kanonu będzie na przykład scena z filmu Romana Polańskiego *Śmierć i dziewczyna*, gdzie bohaterka ucisza przywiązane do krzesła mężczyznę (rozpoznała w nim swojego oprawcę), kneblując go świeżo zdjętymi z tyłka majtkami. Dominacja ofiary nad katem. Zaprzeczenie dnia jak co dzień, gestu jak co gest, słowa jak co słowo.

Czekaliśmy na coś spektakularnego. Na wielką kanonadą o mocy nieodnotowanej

dotąd przez ośrodki badań zachowań sejsmograficznych ani raporty policyjne. Przyszło dzianie się mniej efektowne, ale ciekawe.

Obudziłem się. Z rana nie mam wspomnień i zbyt ambitnych planów na życie, jedynie bieżąca brzydota, czynności fizjologiczne i ablucje pączkujące widzeniem metafizycznym, lecz to dopiero za parę godzin. Krzywię się i prostuję, przed lustrem, w lustrze, za lustrem.

Środa. Za tydzień piętnasty grudnia, a już na wystawach i w holach marketów nic tylko super, świecidełka, pieścidelka.

Rocznica zabicia Johna Lennona przez psychopatycznego fana, skazanego za to okaleczenie muzyki na około pięćdziesiąt lat dożywotniego więzienia.

Za oknem nie zanosi się na wczesne wydobycie światła. Przed zimą na zimę powinienem nzbierać dużo liści, schować w piwnicy, w workach, w szafach, w książkach, w wersalce, w talerzach, między ząbkami sztucców. Upchać, zgromadzić. Dzisiaj usypałbym stóg i się w nim zgubił, z-nic-zył, z-nie-miał. W środku ciała i poza ciałem aura morska, śnieg zmienił jednostkę miary, z kilogramów wprost w litry.

Ponieważ we wtorek, wychodząc od szewca (Agatce trzeba było wymienić fleki), wstąpiłem w dół-kałużę, musiałem wypróbować nowe zimówki – kozaki eleganckie, świecące. Istne cudo, ale niekoniecznie. Bez przygotowania nowego obuwia, w czym mieści się zmiękczenie tyłów młotkiem i kremem, czekały kłopoty z piętami, obtarta, zsunięta skóra, pieczenie, szczypanie, sykanie. Bolało bardziej niż spadek wartości złotego.

Po powrocie z pracy leczyłem skaleczenie maściami, bo Agatka zaleciła mi smarowanie pięt preparatem o nazwie „sudokrem” (nie jestem pewien, czy zamiast „k” nie ma „c”). Goiłem się, ulepszałem, piękniałem, jak z żurnala dla pań, lecz na białe były upaćkane spodnie, skarpetki, koc. Pastując buty awaryjne, zauważyłem, że czernieją mi ręce. Polska miała być od morza do Murzyna?

Tubka pękła na zgięciu i barwa gotowa. Mycie szło opornie.

Na poprawę humoru i ogólne samorozwieszenie zapragnąłem jogurtu ze zbożami, ale figa z makiem – zielone kultury bakterii zjadły połowę zawartości. Stan rozedrgania zakąsiłem dwoma cukierkami czekoladowymi i dla uspokojenia nerwów poszedłem do regału po książkę. Przeczytałem *49 opowiadań* Ernesta Hemingwaya, to teraz czas na repetę *Opowieści o prawdziwym człowieku* Borysa Polewoja. Włączyłem światło. Błaski i dźwięki w domu pogasły. A wcześniej „buch”, „pif-paf”, trzask. Ciemności i głuchości pokryły pokoje. Zorientowaliśmy się, że wywaliło główny bezpiecznik na korytarzu, ale skąd hałas jak jęk umierającego z pragnienia w wytwórni wody mineralnej. Później rzeczowniki, w tym myłace odczasownikowe: latarka, szukanie kluczyka (mały kluczyk) do skrzynki (duża skrzynka) z przełącznikiem. Iluminacja. W pokoju na podłodze kawałki tłucznia, szkło białe, przezroczyste i mleczne. Zwyczajnie niespotykane zdarzenie – jak pocisk, nabój wystrzeliła żarówka. Gdybym w mgnieniu eksplozji pracował przy komputerze, bańka trafiłaby mnie w głowę i to niechybnie. Miałem głowę na trajektorii. Zebrałem okruchy. Pomyślałem, że w bańce siedziała Calineczka, Makowa Panienska lub ziarnko grochu spod księżniczki z bajki.

Modliłem się do Aniołów o ulżenie, o zrzucenie nieba, o spuszczenie lin, po których mógłbym się wspiąć. Przypominam sobie, że droga do świętości wiedzie przez wady ludzkie, ale ja i Agatka staramy się znieść to wszystko bez złych słów, wyrażania się, obrażania, przekleństw, za to z tragicznie parującym pytaniem: „co jeszcze?”. Parującym, bo przynajmniej kaloryfery na ciepłym posterunku.

Chwila refleksji. Może jednak trzeba dyskutować. Nie traktujmy Boga jako zramolałego staruszka z długą siwą brodą, gdzie wytropisz pożółkłe pasemka. To nie sklerotyczny dziadzia, który śpi w ostatnim pokoju po

lewej stronie i nie wolno mu przeszkadzać, bo dopiero zjadł kaszkę mannę z sokiem malinowym i drzemie. On czeka na nas, na nasze pytania, na nasze bunty, na nasze myślenie, na nasze powstawanie z upadku. Idealne życie miałoby wiele z niepowstrzymanych rekoalekcji, z nałogu natężenia intelektualnego i obserwacji drobiazgu świata organicznego i nieorganicznego. Potem przeczytałem trzy kawałki z najnowszego zbioru wierszy Marka Czuku *Forever* i z włosów wyleciała mi ćma. Motyle nocne zimą trenują od piątej po południu, lecz skąd wzięła się w krótko obciętej fryzurze?

Po tworach z czekolady drugi etap spoczywczoterapii – piwo i dwadzieścia słomek z ptysiówego ciasta bez kryształków cukru. Agatka piła na własną wysmakowaną modłę prześwitującego drinka, czyli czystą wódkę z wodą mineralną niegazowaną. Alkohol bez rozcieńczenia. Znowu małżonkę łupie w łokciu, co nie oznacza rezygnacji z napojów wysokokowych. Dodryfowałem do dobranocki i programu informacyjnego. Zapamiętać choćby jedną wiadomość albo dwie. „Prezydent dziś rano spotkał się na śniadaniu z profesorem Zbigniewem Brzezińskim”, „Przypadkowy przechodzień usłyszał wołanie o pomoc”.

Drzwi zamknięte na jeden spust, uchyłone drzwi garażu. Noc przechodzi na tę stronę. Bibułka w atramencie. Jutro będzie nowy, piękny, szczęśliwy dzień. Zakładając spodnie, poczuje, że zepsuł się suwak.

Balladka o starych poetach

Dbajmy o starych poetów, o tych łamiących się, chyboczących, zgiętych w pół. Sypie się z nich czas niczym tynk z fasad pięknych kamienic. Oni są starsi niż są, żyją dłużej niż świat. Urodziłeś się, oni już byli. Wszystkich bez wyjątku do formaliny i na półkę. Nie ma miejsc? Wynieś encyklopedię do piwnicy. Rozluźni się. Nie naśmiewajmy się z ich pomiętych twarzy, niechlujnie zache-

sanych włosów, za długich, kruszących się, rozdławiających paznokci, niedociągniętych słów w krótkiej rozmowie obok przystanku autobusu. Oni czekają na ostatni wagonik do nieba.

Nie łammy ich wierszy, nie penetrujmy życiorysów, nie tropmy, nie kruszmy fantazyjnych autowizerunków.

Pewien stary poeta powraca zza wielkiej wody, co parę miesięcy zaszczyca kraj. Będą mu bić pokłony ratusz, magistrat, stowarzyszenia, związki. Kosze kwiatów, prezenty, zaproszenia. Wyhuśtają, podadzą ptasi przysmak przez sen, wypieszczą skórę różanym olejkiem. Wielu sądzi, że artyści to ptacy. W Internecie przeczytałem, że ten stary poeta był tajnym współpracownikiem służb, donosił na braci w wierze. Na ekranie komputera fotokopia lojalki, obszerny artykuł o przydatności agenta.

Starzy poeci z odległości kilkuset metrów przypominają wielkie góry, majestatyczne masywy, niezdobyte, obce, surowe, poza możliwością poznania i ujarzmienia. Obiekt podziwu, wyzwanie dla amatora w świecie poezji. Idziesz w ich kierunku, chcesz dotknąć zjawisk, o których słyszałeś legendy. Masz gęsią skórę i zastanawiasz się, czy podołasz trudom wspinaczki. Ponad wszystko nie chcesz się skompromitować, stać się adresem drwin. Już lepiej nie urodzić się wcale. Zbliżasz się, widzisz wszystko wyraźnie. Okazuje się, że góra jest mniejsza niż sądziłeś. Obejście jej wokół nie zabierze ci dużo czasu, godzina, półtorej, jak średniej wielkości miasteczko uzdrowskie. Zachwyt przeradza się w niedosyt. Dowiadujesz się, że alkohol zabrał im i zdrowie, i wiersze, że nie zdążyli pozbierać wyrzuconych przez Boga na plaże słów. Teraz siedzą w kafejkach i mordowniach – rozpamiętują. Po dwóch setkach wyjmują z reklamówek sztuczne różowe penisy i płaczą nad swoim losem. Rozповідаją o eksperymentach homoseksualnych z epoki studenckiej, o doświadczeniu zła przebranego za dobro. Szczebiotliwy śmiech półprzy-

tomnych dziewczek to jedyna nagroda, na jaką mogą liczyć. Chyba że barman się ulituje i powie na odczepnego: „następna kolejka na koszt firmy” i zaraz doda: „a potem wszyscy grzecznie do domu”.

Byłem u miejscowego starego poety w bloku na skraju osiedla, przyzielnej dzielnicy. Za jezdnią las. Nazywam ten skrawek miasta Las Angeles. Tam poczęło się niejedno życie, zabito wiele marzeń i kilka ciał. Przed wiekami w czasach ludowych na brzegu zagajnika ustawiono budę, z której sprzedawano chrupiące placki ziemniaczane i koktajle mleczne. A podczas zabawy w „wyścig pokoju” kolega zgiał przednie koło kolarzówki, wjeżdżając z mocą finisu w brzozę.

W pokoju starego poety zerknąłem na szybę z pęknięciem, raczej z rysą, szramą. Zacinał deszcz, jak na uroczysku. Zastanawiałem się, czy zacznie przeciekać, czy przemokniemy. Nagła ciemność, pogasły widoki i raptem jasno, bezwietrznie, cichutko, bez kropli. Sucho na parapecie, pieprz na dywanie. Tęcza wymusnęła się spomiędzy gałęzi, płosząc bez wątpienia jakiś szczegół natury – jaszczurkę, która zjadła chrząszcza. Jest tak osowiała, że nie dla niej wspinaczka na najniższą barwę. Najedzona nie pragnie wrażeń estetycznych, podobnie jak człowiek.

Stary poeta został wychowany na łaciennie, kulturze śródziemnomorskiej, kolegował się z kimś, kto później odniósł duży sukces w literaturze polskiej, w sektorze powieści dla dzieci i młodzieży. Często używał wyrazów rzadkich, których znaczenie bez pomocy słownika stawało się wyłącznie ozdobą lingwistyczną, jałową glorią. Chciał pisać wolne wiersze, a trafiały się teksty spętane przez rytm i rym.

Gospodarz wstawił wodę na gaz. Zaparzył kawę – dla siebie, herbatę – to dla mnie. Szklanki osadzone w srebrnych koszykach. Poczęstunek z ciasteczek. Markizy, maślane, wafelki i w rogu talerza samotny cukierek owinięty niebiesko-czerwonym celofanem. Sierota, bez ojca, matki, braci i sióstr. Agatka

od razu zjadłaby cukrową kulkę, z miłosierdzia, z dobrego serca, żeby dłużej nie gryzła tego cukierka tęsknota za rodziną. Gdyż nie ma chyba nic gorszego w parszywym ludzkim życiu od samotności, bycia niczym, na boku. Te ciasteczka pewnie kpiły z Tomka Palucha, który czekał na wybawienie, miał tyle do zaoferowania – rozpuszczając się na języku, wypuszczał endorfiny. Tę moc uda się przebić tylko komunii świętej. Opłatek przyklei się do podniebienia, Boga chłoniesz od wewnątrz.

Stary poeta jadł słodkości, ale nawet nie spojrzał na bezdomnego. Ciasteczka pyliły przy gryzieniu. Spadło z ust kaloryczne konfetti, przyproszało koszulę, spodnie, fotel. Pogadaliśmy o jego poezji i niechcący o poezji w ogóle. Po wysączeniu szklanki kawy ze śmietanką wytaszczył spod łóżka paczuszkę z ostatnimi egzemplarzami tomiku. Wyjął jeden niezgrabnie, jakby chwycił za dużą papierówkę, i podarował mi. Podziękowałem grzecznie, to już drugi raz. Książka była źle sklejona, rozleciała się po kilku czytaniach.

Starego poetę orał chwiejny nastrój. W poniedziałek popadał w depresję bez końca, a w czwartkowe popołudnie kochał, kochał, świat, świat, ludzi, ludzi, kochał, kochał. Patrzył i widział, słuchał i słyszał, jak „stukają” obcasy tej pięknej pani – ognistej czarnulki, przy której zimno się robi. Miał na koncie dwie czy trzy próby samobójcze. Pewnego razu spotkałem go w kawiarni. Był z żoną. Godzinę wcześniej odebrał wypis ze szpitala, żona odebrała starego poetę. Targnął się, ale został odratowany, wyrażał żal, niewyraźnie mówiąc (rozumiałem co drugie słowo, co czwarty smutek), że niestety znowu lekarze byli szybsi.

Nie mogłem stanąć przy trumnie ze zwłokami starego poety. Wiadomość dotarła za późno albo byłem poza miastem. Czekam na wydanie jego dzieł wszystkich w skrópodobnej oprawie.

Rysunek

Dzisiaj dobrych piętnaście minut zastanawiałem się nad takim zagadnieniem ontologicznym: jeśli nie można przewidzieć pogody, jak przewidzieć reakcję człowieka? Rozważania nie przyniosły spodziewanego rezultatu, utrzymując mnie w stanie zwątpienia we własne możliwości intelektualne. Nie pierwszy raz, nie ostatni też. To dzień, w którym chciałoby się zrobić coś wielkiego, odkryć nową planetę podobną do niebieskiego krawata w stanie zwisu, wyhodować domowymi sposobami nieznana odmianę kozy, która nie tylko będzie dawała mleko, ale również jak latarnia morska wskazywała drogę zbłąkanym wodnym wędrowcom. Chciałoby się... ale za co tylko się wezmę ogrania mnie pustką, niechęć. Myśli – niezorganizowane mrowisko. Każda myśl osobno przygląda się innej osobnej myśli i żadnej nie po nosie łączyć się w pary, trójkąty, pentagony, dziesiątki, setnie, aż po skomplikowane wzory chemiczne na całą tablicę w pracowni uczelnianej. Zawalone sztolnie, zatamowane szyby wentylacyjne, bez-przepływ.

Potem wydarzenia zbiegły się jak spodnie w praniu. Ze środka wychynałem na zewnątrz, jak głosi maksyma: „gdy nie potrafisz niczego sensownego zdziałać w sobie, wyjdź poza i przynajmniej przesunąć szklankę”. Zdecydowałem się na ambitniejsze działania. Zjadłem croissant z wiśniową konfiturą. Przeczytałem wyrwany na chybika z kontekstu dwuwers *Pana Tadeusza*, włączyłem telewizor, by spostrzec, że to już było, że to już będzie, że to już... Usiadłem w wygodnym fotelu, przysunąłem się do blatu biurka, ująłem długopis, otworzyłem czysty zeszyt, żeby napisać wiersz, ale bezwiednie jednym szybkim ruchem narysowałem kreskę. Z nudów narysowałem pionową kreskę w zeszycie w kratkę. Mogłem napisać wiersz, ale narysowałem kreskę. Przy jednej kresce w odległości sześciu kretek postawiłem równoległą drugą – do pary. Dwie kreski

już zaczęły zamykać przestrzeń i ograniczać, stwarzać problemy w przejściu między brzegami papieru. Postanowiłem jeszcze bardziej skompresować czas, więc połączyłem cienkie kolumny odcinkiem i powstało coś przypominające zszywkę przed przedziurawieniem stosu kartek. W tej chwili mogłem w poczuciu dobrze narysowanej zszywki odstąpić od sztuk plastycznych. Jednak pochłonęła mnie kreacja. Mniej więcej ze środka „dachu” (belka pozioma) wywiodłem linię. Zakończyłem ją pętelką. Pętelka okazała się być pętlą, więc zawiesiłem na niej niezgrabną sylwetkę człowieka. Postać była dłuższa niż belki, więc je wydłużyłem. Nie sięgał już ludzki kształt stopami ziemi. Sylwetka stała się człowiekiem, zadygotała i usłyszałem jak mówi do mnie w spazmach, konwulsjach: „Narysuj mnie jeszcze raz, nagryzmol mnie od nowa. Tym razem gdzie indziej. Tym razem okaż mi więcej serca, postaraj się bardziej. Narysuj krzak truskawek, narysuj mnie zrywającego truskawki albo powożącego myszą”. Zamilkło. Cisza na kartce; ani jednego słowa.

Powiesiłem niewinnego człowieka? Pewnie nie. Temida nie jest aż tak ślepa, by mordować kryształowe życiorysy. Skoro zawisł, musiał w życiu gwałcić, niszczyć. Przed egzekucją zapewne nie poprosił o księdza, tylko o dziwkę do jeszcze jednego użycia. Wstydzę się moich myśli. Chyba powiesiłem samego siebie... Zamiast napisać wiersz o wieszaniu człowieka.

Pierwszy listopada

Dzień Wszystkich Świętych przypadł w poniedziałek, więc jak nie trudno obliczyć, poznawszy specyfikę polskiej mentalności narodowo-religijno-weekendowej, trwał trzy dni, to znaczy od piątku, trzynastego października. Odwiedziny grobów zostały więc rozłożone – wszystko według harmonogramu. Niby nie trzeba specjalnie ganiać od przed-świt do po-zmierzchu, za to trzy dni jeżdżenia, gdyby chociaż przy peł-

nym lub lepszym zdrowiu, a tu los przyrządził siurpryz: Maruś (dla mnie szwagier, dla Agatki brat), który kocha samochody i nas wozi, miał niesprawne oko, lewy wzrok w rekonwalescencji. W środę okulista wydłubał z gałki trzy opilki żelaza. I jeszcze naświetlone źrenice. Bolało, szczypało. Widok połowiczny. Mętne kształty. Auto, swoją „Srebrną strzałę”, prowadził z konieczności bez wariactwa, choć lubi zaszumieć autostradą, wyprzedzić wiatr, dogonić myśl o naddźwiękowej szybkości. Zdumiał się, że pojazdem marki Alfa Romeo da się jechać tak wolno, grubo poniżej białej kreseczki „140”. Cieszyła się Agatka – nie lubi, gdy Maruś śmiga. Ostrzega go, co tam ostrzega, grozi, że jednak zerwie nić rodzinnego zrozumienia i zadzwoni po policję, by zgarnęli brata-pirata.

Pogoda, jak na tę porę roku, ciepła – 15-16 stopni Celsjusza. Taka listopadowa wiosna, wiosna podszyta zimą. Pomyślałem, że najładniejszy weekend w tym roku, najmniej kapryśny, ustabilizowany, bez uduziwień, atmosferycznych zwrotów akcji. Majowy był humorzasty, panna niewydymka, a listopadowy – konkretny, zadowolony z pożycia i stosunków. Meteorologia przy grobach to jeden z głównych tematów rozmów. Szły jak z cebra pochwały na synoptyków i prezenterki. Sądzi się, że mają dobrych analityków w tej telewizji, programy komputerowe do badania linii brzegowych i cyrkulacji kropelek rosy. Oby udało się przewidzieć tumany, orkany, tajfuny i spadek euro. Nie wymagajmy za dużo, bo dostaniemy tyle co kot namiauczał.

Z niektórymi ludźmi spotykamy się tylko wtedy, w listopadzie. Są wśród nich przyjaciele z przeszłości. Szczere znajomości przysięgaliśmy sobie do ostatnich dni, pozostały karteczki z zapewnieniami sygnowane częstokroć własną krwią czy pęczkiem włosów. „Sznurowane” usta, tajemnice, ich wyjawienie mogło ponoć obalić rząd Bangladeszu, po latach okazały się przedmiotem śmiesznośtek. Była też rodzina, z którą urwał się stały kontakt, rzadko się telefonuje, nie wysyła kartek świątecznych.

Martwi łączą żywych. Między żywymi przy zmarłych rozmowy o chorobach. Kto więcej wycierpiał, kogo bardziej w tyłku strzyka i kłuje pod pachami podczas oddawania moczu, komu więcej wycięto, kto wcześniej będzie gryzł ziemię? Szczerzymy uśmiechy, winszujemy, zapraszamy na kawę. Niech wpadną, gdy będą gdzieś w pobliżu. Rozchodzą się losy. Kiedyś wszyscy muszą pójść swoją ścieżką, tam, skąd płynie głos-magnes.

Dumam. Czyli mój rowerek na strychu pokryty pajęczyną, a czerwone kaloszkizjadły mole kaloszkowe? Wspomnienie odmładza, bo przywołując przeszłość, jesteśmy lepsi, szczęśliwsi, nurzamy się w błogiej mazi kojącej rany, uczulenia, zadrapania, spierzchnięcia. Przeszłość to jedyna godziwa forma życia psychicznego człowieka, niepodważalnie bezpieczna. Na przykład kiedyś mama Malina wyciągnęła sukienkę komunijną Agatki i zaczęło się powracanie do rzeczywistości sprzed dwudziestu sześciu laty. Ubaw, ciuch biały. Gdyby Agatka nie urosła, można by go było przerobić na suknię ślubną. Wtrąciłem, że nie wiem, gdzie garniturek. Maruś żartem dopominał się o swoją dawnomajową kreację.

Miła atmosfera na cmentarzu. Mama Malina od siedmiu lat komponuje wystrój grobu teścia. Ale nie przesadza z kwiatami – jedna, dwie wiązanki. Tata Adam przecież nie lubił nadźgania, wołał skromniej, tym bardziej, że trzeba zostawić trochę przestrzeni dla odwiedzających.

Listopad, więc osypywały się liście, jak sztuczne ptaszki, na tablice, epitafia, daty. Drzewa pilnują zmarłych, może dusze wchodzi w sosny. W lipcu dostrzegłem, jak spod grobu szwagra ze strony siostry, tego, co się powiesił, a wcześniej pracował w zakładzie kamieniarskim, wyfruwają pszczoły albo osy. Strażnicy zmarłych lub sami zmarli?

Przypomniały mi się dwa zdania, które kiedyś wymyśliłem: „Życie to kara śmierci w zawieszeniu”, „Śmierć to nie sklep samoob-

ługowy”. Dzisiaj nie wiem, jak je tłumaczyć, czemu lub komu przypisać. Pierwsza fraza załatuje egzystencjalizmem, rozpaczą, rezygnacją, a przecież mnie, katolikowi, musi coś kazać się radować. Każdego z nas czeka życie wieczne. Spokojnie dobrnijmy, nie bądźmy nadgorliwi. Drugie wypowiedzenie proste, pojedyncze, niezłożone ani współrzędnie, ani podrzędnie, jest wypowiedzeniem mentalnej wojny tym, co chciałoby narzucić Bogu rodzaj własnego zgonu. Zrobiło się ciut za poważnie, między zwątpieniem a harmonią. Ale czyż nie takie wahania wypełniają nasze istnienie? Zawsze trzeba być gotowym na rozmowę i przekomarzanie się ze Stwórcą, który zapewne ma radochę nie z tego nieba, czyli po Boże pachy, widząc, jak otaczamy największą troską sprawy bzdurne, te ostateczne zostawiając na starość, która może nie nadejść albo, w której niezależnie od wieku nieświadomie obracamy kośćmi.

Wszystkie kupione w hurtowniach ognie drgały, dym wibrował. Pachniało paleniskiem. Staliśmy, czekając już tylko na ciemność. Gdy włączyli szarzeniówki, przygasili słońeczko, uroczym zapłonęły znicze. Czerwoność, żółć, niebieskość migały przez szybki, kieliszki ustawione na płytach. Jasno, kolorowo, chciałoby się zostać na zawsze, usnąć na lastryko, osunąć pod ławeczkę. Zmiana czasu z letniego na zimowy skróciła oczekiwanie na fajerwerki świetlne o godzinę. Nasza droga odcięta o kilka kilometrów.

W nocy, między drugą a czwartą, zmarli łaskotali mnie w prawą stopę. Nie mógłbym ich nazwać, wywołać po imieniu z mrocznego śnienia. Jednak musieli to być dobrzy zmarli, bo cały następny dzień było mi ciepło, chodziłem jak żywy oswojony, nie sterczałem w przedśionku, byłem po właściwej stronie. Nie objąłem się, nie analizowałem, nie trząsałem się, nie cierpiałem.

Do zdobycia jest ostatnia czysta kartka

Jestem próżny i bezwstydy. Chcę pisać. Chcę spisać z siebie to, co przywarło, co nawiało do duszy, co zaczopowało wieńce żył. Brzmi jak przyznanie się do winy, do grzechów najcięższych, po wyjawieniu których kapłan nie wystuka rozgrzeszenia o drzewo konfesjonatu. Nie trwoży się jednak nikt na moje popiski. Czy ja sobie wyobrażam, mości ja, że będę pierwszy, który, jak mu się zdaje, opowie swoją historyjkę, fabulkę, ciekawiej niż tysiące pismaków, moczypiórów wcześniej?

Jestem próżny, bo na próżno biorę w dłoń pomysł i robię hocki-klocki, kląć przy tym i prosząc, śmiejąc się i płacząc, żeby skroplić intencję w produkt do estetycznego konsumowania tu i później. Gdybym był strażakiem, musiałbym gasić, a ja chcę rozpalać, chcę podpalać i patrzeć na pożogi i pogorzalców. Gdybym był ratownikiem, musiałbym ratować tonących, a ja chcę, żeby wszyscy potopili się w słowach, zachłysnęli światem, który przygotowałem, majstrowałem po kątach, kradnąc dniom wyleganie się na wczesnowiosennym słońcu. Pompuję się, gdy słyszę mowę, że czytelnik zagląda do mojej książki, od początku, od środka, od końca, na dowolnej kartce.

Jestem bezwstydy, gdy tak się narzucam, pcham do oczu, merdam ogonem jak głodny pies.

Wiem, że trzeba mnie rozsadzić z sobą. Jak jesteśmy razem, ciągle wiercenie, nieusiedzenie na tyłku, stukanie do okien z dykty podklejonej żywicą. Podaję sobie do dzióbka słowa szybkie jak oddech. Grozi mi zdziwienie. Zdziwienie. Grozi mi zdziwienie. Nie cierpię, ale bolą mnie te złogi w czaszce. Obwąchuję, pora na nowe kłębówisko zdań posadowionych na kartce. Na odwrocie nie ma jeszcze nic, zatem wlepiam wzrok w to, co napisane i wbijam, i poprawiam, i nie poprawiam, i wychodzę inny. Krzyżuję wyrazy.

Prostuję znaczenia. Genetyka językowa. Żadna literka nie ma pewnego miejsca. Zasiadanie nie działa. Tylko kropka i przecinek, rzadziej średnik, mogą spać spokojnie i czekać pod klawiaturą. Tekst buduje się z pojedynczości. Z konstrukcji małych, wyjątkowych odstępstw, odchyłeń, nawet uchybień. Lepiej czuć grunt, choćby się zapadał, niż wisieć, dyndać, nie mieć punktu oparcia. Iluzja zdaje się tak samo prawdziwa jak aluzja. Ciągłe łaknienie, nienasycenie. Prawdziwa literatura jest zawsze tworem niedosytu. Miłość rodzi się z braku miłości. Literatura powstaje z głodu, z frustracji, niezadowolenia autora z autora. Zakorzenie się w zmienności, płynięciu – oto główny cel artysty, a jego funkcje: nie mieć pewności (siebie, wiersza, krajobrazu, snu), szukać, gryźć się, zagryzać siebie i świat.

Spisane myśli odkreślam zdecydowanym ruchem. Nauczę się pisać po ciemku. Ważne, bym w żyłach nie posiadał się ze światła. Będę miał co robić w sobotę. Wklepać tekst do komputera. Uszeregować, znaleźć synonimy, przykroić, podtrzymać chylące się lub nadłamane słówka. Wyrazy są odporne, toporne, ropne, tropione. Nie mam do nich prawa. Usamodzieliły się. Wyfrunęły z gniazda emocji. Mam do nich pretensję, że skarżą na mnie, odwracają się, nie chcą pogadanki i prelekcji. Po każdej napisanej stronie na chwilę zatykam skuwką długopis. Czas dyszy, kaszle. Potem zdejmuję skuwkę i mogę następną stronę napisać bez przeszkód, z tym że nieraz myśl się ostatecznie urywa. Ale czy gdy siadam za kartką i okazuje się, że długopis jest odłączony, wypisany, to omen, by nie tworzyć? Żyję między erupcjami. Jednak wciąż tworzę. W głowie narasta jak mech na drzewach – myśl domagająca się słowa naszego niepowszedniego. Jestem sobie obojętny. Objęty przez własne uprzedzenie, nieczułość, oschłość, obawę. W niebie robią się kołtuny, dredy szydełkowane modlitwami, pomstami. Czy jestem sobie zbyt cenny? Przytrzymać się jeszcze ten jeden raz (może nie ostat-

ni) o ściankę działową, błonę łączącą życie i wieczność. W telefonie zabrzmiał zakatarzony Jacek Durski, 66-letni smark, schrypiał. Wirus w organizmie pisarza zakłada swoje królestwo. Powinienem mu poradzić jakiś program antywirusowy, ale zabrakło mi czasu i oddechu, bo mówiliśmy o cyklu *Bytów* Jacka i ich najważniejszym ogniwie – śmierci. Od pierwszych dni na świecie kręcimy się wyłącznie wokół tego tematu, co nie przeszkadza nam kupować karpie na święta i sztuczne ognie na noworoczny upływ czasu z naszych nerek.

Moje spożywanie, myślenie, konsumowanie literatury jest w dużej mierze intuicyjne. Chciałbym nie ulegać schematom. Pragnę rozbijać betonowe więzy, które wbiły się w podświadomość. Cudzołożyłem z krytyką literacką rozumianą jako utwór literacki ovladnięty „ja” za pośrednictwem omawianego dzieła, twórczości, tekstu. Pisanie tekstów krytycznych można też przyrównać do łowienia ryb. Ogłuszamy czytany utwór, obezwładniamy, unieruchamiamy, ustatczniamy, by tym łatwiej poddać go opisowi, mierzeniu, preparowaniu. To bardzo niebezpieczna gra. Wiersz ma sposoby, by ponieść recenzenta na dno analizy lub w najlepszym razie zerwać się z żyłki. W akcie czytania utworu zawsze ktoś musi złożyć ofiarę. Nie istnieje bowiem lektura obojętna dla stron powyższego aktu. Pisanie to przemoc na świecie i autorze. Czytanie to gwałt na utworze. Wielkie książki nie powstają w bólach. Wielkie książki tworzy się, nie wiedząc o tym. Skubiąc rzeczywistość, spisując, notując „coś” na marginesie „niczego”, na boku, przed „dobranoc”. Niekiedy dzieła rodzą się wtedy, gdy kładzie się słowa bez specjalnego myślenia, nastroju, chęci.

Sądziłem, że będę poetą do granitowej płyty, że będę opisywał świat krótkimi wersami. A tu proza mi się przypała i jest mi w niej swojo, wygodnie, jak ułać, jak usypać. Dzisiaj chcę szerzej, od lewej do prawej krawędzi strony. Pragnę liter, słów i wyrazu siebie

bez zbędnych zatrzymań, postojów. I niech tam, jeśli to tylko moja złuda. Czym zatem różni się poezja od prozy? Poezja jest esencją, proza – esencją esencji, a życie – fusami. Dzisiaj, po wielu linczach na literaturze, wierszach, opowiadaniach, po niezliczonej ilości starć, uników, podwójnych gard, prawych sierpowych, wyprowadzaniu destrukcyjnych ciosów w natchnieniu, upadkach, liczeniach, walkowerach, powstaniach, ucieczkach z ringu, mam dla siebie kilka prawd nieocallających nawet małego palca u nogi. Przecież Agatka mówi o podstawach ruchomych, grząskich, bagnistych. Proza to najszlachetniejszy stan skupienia poezji. W wierszu łatwo się ukryć, łąć sobie, czytelnikowi, gładko zatuszować, wyretuszować „jest”. Proza ma większą przestrzeń wypowiedzi od-czulnej. Staje się zapisem badania przeciwalergicznego. Proza bezwzględnie trepanuje chirurga, otwiera czaszkę wtedy, gdy szczęśliwy lekarz po udanej operacji czuje oddech Boga i myje dłonie w dezynfekującym płynie.

Piszę tak, jakby do zdobycia była ostatnia czysta kartka. Czysta, mimo że z tłustą plamą w górnym prawym rogu, z dziurą wypaloną papierosem mniej więcej na środku i brązowym znamieniem filizanki kawowej poniżej. Do zdobycia jest zatem ostatnia czysta kartka. Reszta zapisana drobnym maczkiem. „Podkreśl te zapiski i idź spać. Jutro dokończysz” – powiedziała Agatka. „A jeśli pomrę w nocy?” „To ja postawię kropkę”.

Arkadiusz Frania

Ida Jadwiga Łubińska

TRZY OPOWIADANIA

Świetlisty znak zapytania.

Świetlisty wąż

Na blat nocnego stolika odłożył książkę „Ułamki filozofii” Leszka Kołakowskiego. Ostatni przeczytany fragment dotyczył myśli francuskiego, utopijnego myśliciela Jean-Jacques’a Rousseau.

*„Ten, kto pierwszy ogroził kawałek ziemi,
powiedział „to moje”*

*i znalazł ludzi dość naiwnych, by mu uwierzyć,
był prawdziwym założycielem społeczeństwa.
Iluż to zbrodni, wojen, morderstw, ile nędzy i grozy
byłby rodzajowi ludzkiemu oszczędził ten,
kto by kotki wyrwał lub rów zasypał i zawołał*

do otoczenia:

*„Uwaga! Nie słuchajcie tego oszusta; będziecie zgubieni,
gdy zapomnicie, że płody należą do wszystkich,
a ziemia do nikogo!”*

Gdzieś już to słyszałem... Sergiusz wyluskał z biblioteki pamięci obraz i słowa australijskiego autochtona, żyłastego, pomarszczonego od codziennych trudów aborygena o imieniu Amaroo:

„Żaden kawałek ziemi nie powinien być czyjąś własnością. Ziemia daje człowiekowi możliwość egzystencji. Była i jest początkiem życia. Rośliny, które na niej rosną, żywią ludzi i zwierzęta. Zastanów się i popatrz na te błękitne góry w tle. Należą do wszystkich. Ziemia jest dużo mądrzejsza niż człowiek... Trzeba być w kontakcie z duchem ziemi”.

Sporo czasu upłynęło, zanim zaakceptował i zrozumiał te słowa.

Rousseau chciał uświadomić współczesnym mu, że własność prywatna bywa powodem konfliktów, wojen, nieszczęść. Profesor Kołakowski skierował czytelników na jeszcze inny tor rozumienia tej tezy. Sergiusz, pocierając czoło, jak zawsze, gdy zagłębiał się w filozoficzne dywagacje, podążał za swoim wątkiem myślowym. Trudno dosłownie przyjąć ideę, że ziemia, grunt nie mają właścicieli. Brzmi jak utopia i urzeczywistnienie jej w re-

alnym świecie też nie jest możliwe. We współczesnej cywilizacji „mieć” wyrosło na pierwsze przykazanie. Poczucie wartości jednostki często jest identyfikowane ze stanem posiadania. Kultura materialna stała się wszechobecna i dominująca, a wartości duchowe, społeczne, to często tylko slogany.

Ciepły mrok wyzierał ze wszystkich kątów pokoju. Sergiusz lubił po wieczornej lekturze posiedzieć trochę, złapać dystans do przeczytanego tekstu, wyrobić sobie własny osąd.

Zgasił nocną lampę przy łóżku i zapatrzył się w granatową przestrzeń okna. Niesamowita dziś noc, pomyślał, gorąca i niebo takie rozgwieżdżone. Miasto było pogrążone w sennym letargu. Wydawało mu się, że nisko nad horyzontem jasne punkty tworzą sylwetkę gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy. Przez otwarte okno powiało świeżym i chłodnym powietrzem. Firanki, kołysząc się w rytm wietrznych podmuchów, szeleściły łagodnie. Wielkomiejski kolos o drugiej nad ranem wydawał jednostajne pomruki jak modlitewne mantry. Siedział nieruchomo, wpatrzony w ciemność, wsłuchany w jej dźwięki.

Nagle... błysk rozświetlił pomieszczenie.

Przez otwartą framugę okna, sycząc i skrzęcając się skrzącym blaskiem wpadł do pokoju świetlisty wąż. Spiralnymi ruchami, z łoskotem odbijając się od ścian, w okamgnieniu okrążył sypialnię, by z przeciągłym jękiem zapać się, zniknąć... w donicy z fikusem ustawionym przy oknie. Trwało to kilkadziesiąt sekund.

Sergiusz zamarł z wrażenia, bał się poruszyć. Dopiero po jakimś czasie odetchnął. Głęboko i z ulgą.

Co to było?

Zanim opuścił nogi na podłogę, gdzieś w tyle głowy przez moment przemknęło pytanie, niepewność, czy drewno jest dobrym, czy złym przewodnikiem elektryczności. I czy podłoga jest drewniana, czy z jakiegoś drewnopodobnego konglomeratu? Bo niewątpliwie to, czego doświadczył, było wyładowaniem elektrycznym, może jakimś innym rzadkim zjawiskiem meteorologicznym.

Kolejna myśl, podpowiedź... piorun kulisty. Ale przecież to coś miało kształt węża,

nie kuli. Drżąc jeszcze z emocji, pytał w duchu: Jezu, może to tylko halucynacja wzrokowa?

Położył się do łóżka. W rzeczywistości bał się wstać, zapalić światło, sprawdzić, czy są jakieś szkody. Cisza, która wypełniała pokój, była trudna do zniesienia, pełna lęku. Unoszące się bezgłośnie myśli atakowały zewsząd. Wyciągnął się, przewrócił na bok. Każda komórka ciała ciążyła, przytłaczało poczucie osamotnienia i niewiarygodne zmęczenie.

Wczoraj przejechał samochodem ponad tysiąc czterysta kilometrów. Pracował na kontrakcie w małej, francuskiej miejscowości. Po drodze zaplanował nocleg. Szybkie niemieckie autostrady sprawiły, że przed zmrokiem przekroczył granicę i do domu wydawało się już blisko. Było to tylko złudzenie. Podróż w sobotnią noc po polskich szosach bywa stresująca. Z mrocznych poboczy wyłaniały się ledwo widoczne sylwetki rowerzystów i pieszych, niektóre balansujące z prawej na lewą stronę. Trzeba było bardzo, bardzo uważać. Oczy same zamykały się i musiał kilka razy wychodzić z auta, by rozprostować się, zaczerpnąć świeżego powietrza, by nie zasnąć za kierownicą. Dotarł do swojej warszawskiej kawalerki, z postanowieniem, że już zawsze będzie pokonywać tę trasę w dwóch etapach.

Dzisiaj miał odpoczywać, jakoś nie wyszło. I czytanie książki przeciągnęło się w czasie. Przeżywał jeszcze niezwykle zjawisko, którego doświadczył. Serce waliło w klatce piersiowej mocno i szybko.

Przypłynęły wspomnienia. Kiedyś już widział z bliska wyładowania atmosferyczne. Zawsze było to podczas gwałtownych burz. Z dzieciństwa pamięta jeszcze strach, huk i błysk za szybą okna a później pożar starej, potężnej lipy przed domem dziadka. Znacznie później, podczas podróży musiał się zatrzymać na pasie przy autostradzie, bo błyskawice z głośnymi grzmotami waliły dookoła a ulewny deszcz zamazywał szyby i widoczność. W przydrożnym lesie, parę metrów od jego samochodu, piorun uderzył w drzewo i tak jak teraz, wężowym błyskiem ześlizgnął się po pniu i uziemił w glebie.

Ale dzisiaj noc taka pogodna. Słyszał wprawdzie, że niezidentyfikowane zjawiska meteorologiczne, niezwykle rzadko, zdarzają się. Czego naprawdę był świadkiem?

W mięśniach czuł nadal silne napięcie. Przewrócił się na drugi bok. Wróciły wcześniej przeczytane i zapamiętane słowa... Jeśli ziemia, twór Wszechświata, pokawałkowana, ma formalnie nie użytkowników a właścicieli, to zjawiska przyrodnicze, nawet tak ulotne jak to dzisiaj, mogą kiedyś mieć inny ciężar gatunkowy i materialny. Kto wie... Może będzie można przeczytać w gazecie lub innym publikatorze ogłoszenia w rodzaju „na sprzedaż – atrakcyjny piorun” lub „jedyna, zjawiskowa, niepowtarzalna tęcza – wystawiona na licytację”. I może znajdą się nabywcy.

Uśmiechnął się do swoich abstrakcyjnych skojarzeń. Trzeba będzie jeszcze umieć udokumentować i zaanektować takie zjawiska, zwłaszcza to pierwsze. Przymykające się powieki zaczęły nieznośnie ciążyć. Ulotna jak błyskawica myśl zawisła w niebiecie snu.

Strzępy lotniczej historii

W śródmiejskim pubie, przy solidnym, drewnianym stole sączyli piwo Zbyszek i Jurek. Mieszkali kiedyś w tej samej kamienicy a w liceum dzielili wspólną ławkę. Dawno się nie widzieli. Chłopcę przyjaźń okazała się ponadczasowa. Rozprawiali, jakby nie dzieliły ich dekady zdarzeń, jakby wpadli na piwo nie do współczesnego pubu, lecz do kawiarni swojej młodości.

Pamiętasz, jak gwizdnąłeś staremu cały zapas „sportów”. Mogliśmy potem tymi fajkami jeszcze długo rządzić się. No, podchwycił wątek Jurek. Tata podejrzewał moją starszą siostrę o podpalanie. A do Anki, jeszcze na długi czas przykleiło się to niesłuszne, przyznasz, posądzenie. Mnie wtedy o palenie papierosów zupełnie nie podejrzewali. Uważali, że jestem grzecznym synkiem.

Pewnie, dorzucił Zbyszek, jak się piony przynosiło ze szkoły. Na opinii można się długo wozić!

Beztrosko śmiejąc się, przypominali sobie dawne wygłupy i skrywane przed dorosłymi sekretami. Wydawać się mogło, że zostało w nich coś z tych rozhułanych, niesfornych chłopaków. I teraz demonstruje się. Zbychu był wysokim, przystojnym mężczyzną, ale zachowywał się jak młody kogucik, udowadniający swoje przewagi życiowe. Zupełnie tak jak kiedyś, gdy przechwalał się przed rówieśnikami. Mówił pewnym, nonszalanckim tonem, jakby w życiu stapał tylko po czerwonych dywanach. Był znanym aktorem i coś z celebryty, jakaś maniera, w tych przekomarzeniach uzewnętrzniała się. Ale koledzy wiedzieli, że to brat Łata, że można na niego liczyć.

Podobnie Jurek – ciepły, życzliwy, przyjacielski. To pokrewieństwo charakterów sprawiało, że było im razem dobrze, że cieszyło spotkanie.

Na ulicy wpadli na siebie przypadkiem. Zbyszek, opierającego się kolegę, zaciągnął do pobliskiego pubu. Stara przyjaźń wymaga poświęceń, skonstatował. Jerzy miał na ten wieczór inny plan. Uśmiechnął się tylko, przekonany do wspólnego spędzenia czasu. To raczej tak, jak stara miłość, dodał, nie rdzewieje.

Pół roku wcześniej przeszedł zawał serca. Wychudł i skurczył się w sobie. Wsłuchany w symptomy ciała, w chorobę, unikał okazji towarzyskich. Wiele z dawnych atutów rozrywkowego przystojniaczka jeszcze do niego pasowało. Gdy wychodził do ludzi, jak nazywał swoje eskapady do śródmieścia, był starannie wygolony, pachnący, w nienagannie skrojonej marynarce. Próbował utrzymać narzuconą sobie kiedyś klasę stylu i zachowania. To dla higieny psychicznej, mawiał.

Po serii niefrasobliwych wspominków zamyślili się, przycichli, jakby uświadamiając sobie bezpowrotność minionych lat a nawet chwil. Na stole pojawiły się znów pełne złotego płynu kufle. Zbyszek dziwnie posmutniał. Niszę lokalu, w której siedzieli oświetlało przytłumione światło bocznej lampy i nastrajało refleksyjnie. Właściwie już od rana dokuczał mu irracjonalny, niczym nieuzasadniony, niepokój. Ten kontakt z młodością, choć przypadkowy,

był mu potrzebny. Jak łyk chłodnego, rozluźniającego piwa.

Opowiem coś, co jak bumerang wraca do mnie – rozpoczął swoją kwestię. – Pozwolisz?

Jerzy wlepił oczy w kolegę w oczekiwaniu na wynurzenia. Cisza przedłużała się... Dziś są moje urodziny, wyznał Zbyszek, pięćdziesiąte piąte, może dlatego... - nie dokończył zdania. Jurek zaskoczony, wzniosł w górę kufel i najserdeczniej jak potrafił powiedział: piję twoje zdrowie przyjacielu. Wszystkiego najlepszego!

Ale on, zapatrzony w niewidzialną przeszłość, ciągnął. – Tę historię znam z rodzinnych opowiadań. Tak bardzo głęboko wryła się w moją świadomość, jakby była moja.

W jakiś sposób jest moja.

Mój ojciec, jak wiesz, był lotnikiem, kapitanem. We wczesnych latach pięćdziesiątych brakowało pilotów. Ówczesne władze darowały mu przeszłość w RAF-ie. Mógł latać na krajowych liniach pasażerskich. Kiedyś, wspólnie z mamą, odwiedził swoich rodziców i rodzinne miasto. To był ich urlop. W lipcowe, słoneczne południe spacerowali po miejscowym parku z moim starszym bratem. Przyczepiła się do nich Cyganka, koniecznie chciała wróżyć. Trochę niegrzecznie odganiał ją. Była nachalna, chwyciła rękę taty, spojrzała na wnętrze dłoni i niemal natychmiast wycofała się, uciekła. Nie zainteresowany dotychczas cygańskimi przepowiedniami ojciec zaczął się rozglądać za kobietą. Musiała być gdzieś w pobliżu, namawiać potencjalnych klientów. Przecież zarabiała, wróżąc. Zaczął jej szukać. A ona jakby zapadła się. Był zaintrygowany, co takiego zobaczyła na dłoni. Kiedy wreszcie znalazł ją, a właściwie złapał, wymigiwała się od odpowiedzi. Przymuszona natarczywością pytań jeszcze raz popatrzyła na jego rękę, na linie papilarne i ociągając się, wyszeptwała: oj, nie dożyjesz ty wieku Chrystusowego. Odwróciła się i wolno, jakby przygnieciona wróżbą, odeszła. Nie zażądała zapłaty. A ojciec i matka stali jakiś czas bez ruchu, oszołomieni okrutną przepowiednią. Tylko Marian, mój brat beztrosko hasał po parkowym placu. Tata za cztery miesiące miał obchodzić swoje trzydzieste trzecie urodziny.

Listopad był tamtego roku mokry i mglisty. Za oknami wiatr bębnił w parapety i hulał po korytarzu. Dziwnie łomotało do drzwi. Wieczorem zadzwonił telefon. Kapitan Zbigniew Balicki ma stawić się do pracy. Zastąpić chorego kolegę. Jakiś nieswój ubierał się do wyjścia. Na łóżku rozłożył nowy, dopiero co uszyty mundur z dystynkcjami. Podumał chwilę i włożył stary, wysłużony. Na ulicy czekał służbowy samochód. Mama przedłużała pożegnalny uścisk, czując głośnie bicie serc, trzech serc. Moje też biło w jej łonie. Przed wyjściem ojciec zatrzymał się, jakby chciał coś powiedzieć.

Pogoda była zła, co dla pilota znaczy nisko wiszące nad ziemią chmury i słabą widoczność. W tamtych latach lotniska nie były przystosowane do rejsów w trudnych warunkach. Nieliczne radiolatarnie w ograniczonym stopniu pomagały przebijać się przez chmury. Podczas przelotu z Gdańska do Łodzi zaobserwowano usterki systemu nawigacyjnego. Po ponad godzinnym locie wylądowali na Lublinku, to nazwa łódzkiego lotniska, zgłaszając awarię i prosząc o odwołanie rejsu, gdyż pogoda pogarszała się z każdą kolejną minutą. Szybka naprawa i decyzja dalszego lotu do Krakowa. Postanowili z powodu złych warunków atmosferycznych lecieć ponad linią chmur.

W kilka minut po starcie, przy bardzo słabej widoczności zawadzili śmigłem o stalową linię mocującą wieżę wysokiego napięcia w pobliżu Tuszyna. Samolot spadł na ziemię z prędkością 230 kilometrów na godzinę. Wszyscy zginęli. Załoga i pasażerowie. Taka była oficjalna wersja katastrofy.

To było tuż przed urodzinami taty. Przyszedłem na świat trzy miesiące później. Noszę jego imię. Zbigniew.

Czasem zastanawiam się, czy umysł, sugestie mogą mieć wpływ na nasze losy? Czy takie spotkanie, jak to z Cyganką, jej przepowiednia mają wcześniej określoną fabułę? Co to jest przeznaczenie i czy można odwrócić bieg zdarzeń? A może życie, każde życie wpisane jest w kryptogram Wszechmogącego. Podparł brodę i milczał.

Przy stole zapanowała cisza. Myślam, byli w wymiarze wspomnień, przeszłości... tajemnicy.

Choć to pierwsza katastrofa lotnicza w powojennej Polsce, mówił dalej, szybko została wyciszona i długo skrywana w tajnych archiwach. Rodzina знаła inną wersję zdarzeń, ale dopiero w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku został potwierdzony jej sensacyjny przebieg.

Tak więc tamtego dnia łódzkie lotnisko spowijała gęsta, poranna mgła. Pasażerski samolot Li2, wysłużony w czasie wojny w ZSRR, a później przekazany w darze Polsce, szykował się do lotu rejsowego do Krakowa. Czas oczekiwania wydłużał się, gdyż mechanicy nie radzili sobie z naprawą usterki. Warunki pogodowe z każdą chwilą stawały coraz trudniejsze. Wobec takiej sytuacji ojciec podjął jedyną, jak się wydaje, odpowiedzialną decyzję. Samolot nie poleciał do Krakowa.

Po chwili do pomieszczenia pilotów wbiegł oficer urzędu bezpieczeństwa. – Jakim prawem zawieszasz pan lot, kapitanie Balicki – krzyczał.

Mamy awarię silnika i nie możemy ryzykować życia pasażerów i załogi – spokojnie tłumaczył ojciec.

Czy wiecie, kapitanie, że leci z wami towarzysz... – tu padło nazwisko ważnej osoby – i musi być dzisiaj w Krakowie na ważnym spotkaniu. A to, co pan robi, to zwykła prowokacja. Pan jesteś imperialistycznym reakcjonistą – wykrzykiwał ubek. – My dobrze wiemy o waszych kontaktach z tymi zdrajcami z RAF-u!

Nie mam prawa narażać życia powierzonych mi ludzi – oponował ojciec.

Funkcjonariusz gwałtownie wyciągnął pistolet i przytknął lufę do jego głowy. Odbezpieczając broń, wolno artykułował słowa: kapitanie Balicki, albo pan wsiądziesz do tego samolotu, albo odstrzelę wam – zająknął się – łeb! Ojciec wycofał się, sięgnął po czapkę i powiedział do drugiego pilota: panie Figiel, proszę zebrać resztę załogi. Lecimy do Krakowa. Taki przebieg zdarzeń potwierdza jeden

z nielicznych, żyjących naocznych świadków. Przez długie lata katastrofa ta była tematem tabu. Resztę znasz.

Ogłuszający warkot silników nad ziemią, huk uderzenia a potem wybuch samolotu. Na te odgłosy zbiegli się ludzie z okolicznych wsi. Wszystko się paliło. Kilkadziesiąt metrów od miejsca katastrofy leżały zwłoki kobiety. Bez głowy. Po godzinie przyjechały samochody: milicji, straży, UB. Trzymano wartę przy wraku przez kilka dni i nocy. Później wojsko pozbiierało szczątki i usunęło ślady. Prasa ogólnopolska nic o tym wydarzeniu nie pisała. Winą obarczono ojca. A przecież miał odznakę Ikara za wylatane pół miliona kilometrów, miał zasługi bojowe, westchnął.

Nachodzą mnie pytania, retoryczne. Czy miał wybór, jakieś inne wyjście? Czy bezpieczniak rzeczywiście mógł go zabić i czy opór, postawienie się coś by zmieniło?

Gwar toczonych rozmów, łagodne dźwięki muzyki docierały do nich jak przez taflę szkła i nie przeszkadzały w zadumie. Piwo smakowało jak nigdy. Wolno sięgali po nie, delektując się kolejnym łykiem złocistego trunku. Zbychowi powoli ulatniała się dręcząca beznadzieja i pustka, w oczach zamigotały wesołe ogniki. Dodał jeszcze: z tą historią do dziś nie potrafię się uporać. Trochę lżej, że w miejscu katastrofy stoi tablica upamiętniająca ofiary, że dokumenty oddajniiono.

Jerzy siedział milczący i nie reagował na słowa kolegi. W głowie majaczyła inna opowieść. Też rodzinna. Próbował w umyśle ułożyć ją, poskładać. Spojrzał przeciągle na przyjaciela. I szybko zdecydował, że na ten szczególnie wieczór wystarczy już rozpamiętywania starych traum.

Na stole, w pustych kufkach odbijał się ruchomy blask lampy.

Gdy w kominku ogień płonie...

W sali kominkowej sanatorium uzdrowskiego wszystkie stoliki były zajęte. Głośnie brzmienia znanych przebojów z drugiej połowy dwudziestego wieku zagłuszały

próby konwersacji. Starsi państwo ochoczo wyginali się w rytm muzyki czasów młodości. Jakże miłej dla ucha. Większość tekstów znali na pamięć. Sala wtórowała do bardziej znanych refrenów. „Gdy mi Ciebie zabraknie, gdy zabraknie mi ciebie...” głośno zawodziła korpulentna, ale lekko i zgrabnie wirująca na parkiecie, krótko obcięta, tleniona blondynka. Słowa dośpiewywał przejęty tańcem chudy partner. Towarzystwo było dość podobne do siebie. Autentyczna radość, spontaniczność zachowań sprawiały, że w tych podrygach było coś fascynującego. Turnus sanatoryjny dobiegał końca i wydawało się, że uczestnicy zabawy chcą zapamiętać się w tańcu, jak w czymś, czego może szybko nie doświadczyć.

W kominku ogień skwierczał, wił się i strzelał. Stolik, przy którym siedzieli, znajdował się w pobliżu paleniska i wystarczająco daleko od głośników i parkietu do tańca, by można rozmawiać. Ciepło od kominka buchało i pierwsza Iza zaczęła ściągać najpierwszą, a potem żakiet. Została w podkoszulku. Za jej przykładem poszły Basia i Jagoda, zdejmując z siebie, co tylko można. Panowie Olek i Marek trzymali fason, prężąc się w swoich odświeżonych marynarkach. Hania, która dopiero co przysła z dworu, wyziębnęta i mokra od przyklejającej się mżawki, z przyjemnością wystawiała się na ciepło żywego ognia. Szklaneczka nalewki z aronii rozgrzewała i integrowała z nowymi przyjaciółmi, którzy delektowali się od pewnego czasu trunkiem wniesionym cichaczem do kawiarni. Skaczący w kominie ogień rzucał cienie a kolorowe świece na stolikach i nostalgiczna muzyka nastrajały sentymentalnie. Towarzystwo było wyluzowane, uśmiechnięte...

Przy stoliku obok samotnie siedział starszy, tęgawy pan. Spoglądał taksująco na osoby znajdujące się w zasięgu wzroku ze wzgardliwą uwagą. Robił wrażenie, jakby nie lubił obecnych na sali i miał im za złe wesołą zabawę. Nie chciałbym wyglądać jak ten zgred, skomentował Olek i wyduł dolną wargę, naśladując minę sąsiada. Ja też nie chcę, śmiejąc się, powiedziała Basia. Kobiety dyskretnie zachichotały.

Idę tańczyć! – Iza podniosła się z fotela. – chodźcie dziewczyny, nasi faceci jeszcze długo będą szukać pretekstu, by nie ruszyć się od stołu. Za nią szybko poderwała się Jagoda i niepewnie Basia. Ruszyły w stronę parkietu.

Z głośnika leciał największy hit Boney M. „Rivers of Babylon”. Iza uwielbiała tańczyć, prawie natychmiast zatracala się w muzycznych rytmach. Harmonijny taniec w wykonaniu babskiego tercetu to mogło być wyzwanie. Przez chwilę zastanawiała się i zaraz narzuciła koleżankom kolejność figur, kroków i gestów, by tworzyły spójną całość. Dołączyła Hania. Szczególną aktywnością na parkiecie wyróżniał się „samiec alfa”, jak go między sobą nazwały Basia i Jagoda. W rozchelstanej do pasa koszuli, z grubym, złotym łańcuchem dyndającymi na gołym torsie, lubieżnie kręcąc biodrami przybliżał się do nich. Skupione na tańcu nie zwracały uwagi. Wokół utworzył się duży krąg. Kolejny utwór, rytm, temat i następny. Po kilku numerach zdyszane i radosne wróciły do stolika, do swoich współtowarzyszy.

Wyskakałyście się? – basem zapytał Marek. Odpowiedzią były zadowolone miny. Teraz popijały soki owocowe zamówione w bufecie kawiarni. Oj, jak mi się chciało pić, łączywie połykając kolorowy napój i słowa mówiła Hania. Pograżyli się w delectowaniu napojów. Z głośnika sączyła się grecka muzyka.

Przed Izą wyrósł mężczyzna z „opadniętą wargą”, jak go w myśli nazwała i nisko się skłonił. Machinalnie podniosła się i skierowała w stronę parkietu. Po co ja z nim idę, czemu nie odmówiłam? Niechętne myśli kłębiły się w jej czaszce. Grali melodię znaną z filmu „Zorba”. Sirtaki – pomyślała. Mężczyzna jeszcze raz skłonił się i szepnął: proszę dać się prowadzić... I poprowadził, lekko, znał kroki, znał ten taniec. Iza skupiła się, by podążać za drobnymi krokami partnera. Szybkie *chasse* do przodu i tyłu, w boki. Figury zmieniały się. Ramię tancerza silnie ją opłatało. Kolejne *pas de deux*, wirujące. Tak nie płażała od wieków. Uświadomiła sobie, że kiedyś nauczyciel tańca tak ją prowadził. Poddawała się magii słodkich brzmień piosenki, magii ruchu. Kolejny rytm, figury,

coda. Ludzie przystanęli, żeby popatrzeć.

Kiedy wracali z powrotem do stolika, wydawało jej się, że wokół nadal wszystko wiruje. Mężczyzna kłaniając się, powiedział: ma pani talent. Opadła na fotel zmęczona i szczęśliwa. Chyba zapamiętam go na długo – pomyślała.

Ale dalsie popis, kto by pomyślał – śmiejąc się, komentowali współtowarzysze. Marek dyskretnie dołął do szklaneczek aromatycznej nalewki. Czas płynął jakby wolniej a dochodzące dźwięki muzyki przestały dominować.

Jak to nie można wydawać pochopnych sądów o ludziach, oceniać na podstawie wyrazu twarzy, wyglądu... by za chwilę zmienić zdanie. To nielogiczne! Izuniu, ja teraz inaczej myślę o człowieku, co tańczył z tobą. Reszta potakiwała Hani, która wygłaszała tę sentencję.

Przecież nadal nie znamy tego człowieka, wiemy tylko, że umie tańczyć, wtrącił sentencjonalnie Olek i dodał: – Ale trzeba rzeczywiście wystrzegać się, by ot tak, powierzchownie nie wartościować ludzi.

To prawda, temat podjęła Basia. Kiedyś ktoś, też facet, wydawał mi się nudny, nieciekawym, wręcz denerwującym. Unikałam go. A później, przy bliższym poznaniu okazał się niezwykle ciekawym człowiekiem. Miał tyle do zaoferowania. Był kompozytorem. Tworzył piękną muzykę do tekstów współczesnych poetów. Odkrywał w ich wierszach, ukryty przed wieloma sens, inne płaszczyzny wrażliwości, cierpienia... zamilkła, by wzruszonym głosem wyznać: był miłością mojego życia. Pamiętacie taki utwór: „*w ramie okna blade słońce wygląda zza chmur, na stole staroświecka klepsydra odmierzająca czas*”. To jego.

Basia rozkleiła się i pewnie pociągnęłaby dalej swoją historię, ale mężczyźni, którym nareszcie udzielił nastroj zabawy, zaprosili wszystkie obecne przy stoliku osoby do wspólnego tańca. I bawili się do samego końca, do zamknięcia lokalu, zadowoleni, szczęśliwi... na koniec zmęczeni.

Ida Jadwiga Łubińska

Barbara Rosiek

ĆPUNKA [fragment]

19 sierpnia

Jastrzębia Góra, wieczór nad samym morzem, plaża przy domku ratownika. Wyjechaliśmy z Miasta z przygodami. Oczywiście jaraliśmy trawę, kierowca – kumpel Krzysia, był trzeźwy. Na stacji benzynowej przywodził nas złodziejasek. Udawał pijanego i próbował nas okraść. Krzyś mu dołożył i szybko się zmyśliśmy.

Drzemaliśmy z Krzysiem. Prawie się nie zatrzymywaliśmy. Od razu udało się znaleźć pokój u gospodyni. Wprawdzie jeszcze jest sezon, ale są wolne miejsca.

A teraz na plaży Krzyś wyciągnął sprzęt i zrobiliśmy sobie zastrzyki z hery. Siedzieliśmy razem wpatrzeni w morze, kumpel gdzieś się zmył. Jak napis na piasku – kocham cię – od Krzysia.

Czuję dziwny spokój.

A teraz jest zachód słońca. Morze jest trochę niespokojne, ale wiatr od morza ciepły.

Jestem przy nim, oddycham świeżym powietrzem, tamto wszystko zostało w Mieście.

Nic się nie chce, to przywilej opiatów.

20 sierpnia

Pogoda jest cudowna. Rano na plaży powtórzyliśmy wczorajszy wieczór. Bez świadków po strzale, kocyk i ulga. Inni się do nas uśmiechają, opalamy trochę nadwątłone ciała. Krzyś ma dużo śladów wszędzie. Morze ciepłe, ale nie kąpiemy się.

Może miałabym ochotę za daleko wypłynąć?

Ale jest narodu na plaży! Cieplutko. Aż nie da się wyleżeć.

A wieczorem długi spacer brzegiem morza. Krzyś recytował erotyki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Byłam zdumiona, że je zna i to na pamięć.

Miłości, tęsknoty, listy,

krzyk serca w najśłodszym chwycie,

– oto mój sen wiekuisty, któremu na

imię – życie.

21 sierpnia

Rano pojechaliśmy do Trójmiasta. Byliśmy na moło w Sopocie, tam jaraliśmy trawę. Potem Gdańsk i Stare Miasto. Uwielbiam Starówki, czuję się wtedy wolna, spokojniejsza.

Pamiętam jak z rodzicami byłam w Sopocie. Miałam wtedy trzynaście lat i tata pozwalał mi na samotne spacery. Patrzyłam wtedy na młodych ludzi, którzy palili papierosy i pili alkohol.

Sama też tak chciałam, ale bałam się przyłączyć. Byłam bardzo grzeczna. I widziałam podziw w oczach taty. Brakuje mi ich, zwłaszcza taty.

W Gdańsku poszliśmy do kina na Nieśmiertelnych 2. Fajna bajka.

W kinie dopiero odpływam.

22 sierpnia

Lepiej sypiam nad morzem, jakby morskie powietrze mnie usypiało. A może po prostu „regularniej” ćпам?

Nie, nie jest tak źle. Krzyś jest spokojniejszy, nie musi się zrywać, by robić swoje interesy. Nie krzyczy przez sen. To i ja chyba jestem spokojniejsza. Tylko czasami widzę gdzieś w oddali rodziców, których przecież nie ma tutaj.

Opalaliśmy się dzisiaj długo. Wieczorem oglądałam TV. Kora ma problemy z prawem o posiadanie marihuany. No i co to takiego. Przecież niewielka ilość na własnego jointa to chyba nic strasznego.

Wieczorem padam i nawet Krzyś nie ma chęci się kochać. Ja też. To przeważnie jego inicjatywa.

24 sierpnia

Wczoraj wieczorem byliśmy na wspólnym ognisku na plaży z innymi wczasowiczami. Wracając na kwatere, poszłam z Krzysiem na salę TV. Dobrze, że z nim. Nie wiem, jak bym mu to opowiedziała... W programie o osobach zagubionych był komunikat o mnie. Rodzice, dziadkowie szukają mnie.

Występowała babcia, prosząc ze łzami, bym wróciła do domu. I mówiła, że jak na razie nie chcę wracać do rodziców, to mogę przyjechać do nich, do Wrocławia. Tata błagał, bym już dłużej się nie ukrywała, a na koniec powiedział – córeczko wracaj, kochamy cię.

Dobrze, że na sali było ciemno, nikt mnie nie rozpoznał. Gdyby nie Krzyś, zaczęłabym krzyczeć i chyba wyć.

Wyprowadził mnie, spakowaliśmy się i do samochodu. Kumpel na szczęście był trzeźwy. Jechaliśmy całą noc, a ja szlochałam w ramionach Krzysia. Jesteśmy już w mieście. Nie wiem, kto z sąsiadów widział program. Nie wychodzę z domu, boję się, że mnie ktoś rozpozna. Zwłaszcza w sklepie czy tramwaju.

Krzyś już zaczął swoje interesy, a ja siedzę w kompletnej ciszy i staram się pisać, by nie oszaleć.

Musimy się przeprowadzić. To pierwsza myśl. Musimy wyjechać z miasta, to druga myśl. Musimy... Nie mogę wrócić do domu. Dlaczego nie?

Co ja mam teraz zrobić? Ile mogę się ukrywać? Co będzie jak nie wrócę? Jak mnie w końcu znajdą?

Co się wtedy będzie działo? Czy oddadzą mnie na detoks? Czy ja potrzebuję detoksu?

Czy mogą gdzieś mnie zamknąć siłą?

Nic nie wiem, w głowie mam kompletną pustkę.

Porozmawiać z kimś? Pojechać do babci do Wrocławia? Co jej powiem, co wie o mnie? Kurwa, a jak zechce mi się ćpać? Nie wytrzymam. Boję się. I tak mi żal dziadków. Przecież oni nic nie wiedzą, mama im nie powiedziała o gwałcie. Bo nic nie wie. Ale czuję, że się domyśla.

Nie, to tylko myśli, moje myśli.

25 sierpnia

Ping-pong, ping-pong, skąd to dziecko?” – śpiewa Kora. No właśnie, skąd ja się wzięłam?

Miałam nie wychodzić z domu, ale się najarałam i pojechałam do Cafe 29. Kupiłam colę i spoko. Było mi wszystko jedno. Potem siedziałam na kwadratach i patrzyłam na zdrowe nastolatki. Patrzyli na mnie jak na zjawisko. A może mi się wydawało?

Krzyś wrócił wcześniej, mnie nie było. Zdenerwował się bardzo. Krzyczał, że przeze mnie pójdzie siedzieć. A potem przytulił i jedliśmy lody.

„Wolność nieraz jest prawdziwym szokiem dla człowieka samotnego, staje się jego osobistym wrogiem, przekleństwem, które nieustannie ciąży nad życiem”. T.K.

Krzyś mówi, że jestem w szoku, że to minie. Obiecał, że jutro zabierze mnie do Krakowa. Kocham to miasto. Tamta Starówka jest cudowna. Przetrzymać tylko noc. Nie mogę usnąć, boję się własnych snów. Gdy Krzyś mnie przytula, jest bezpieczniej.

28 sierpnia

Sen: Byłam nad strasznym, głębokim dołem. Zsuwałam się szybko. Nagle podkurczyłam nogi i się obudziłam. Sprawdziałam wystraszona, czy jestem na łóżku.

Krzyś ufarbował moje włosy na czarno, przyniósł szkła kontaktowe, zmieniając mi kolor oczu na piwne i skrócił fryzurę. Do tego okulary. Niesamowite. Poczułam się jak na planie filmowym. Tak przebrana pojechałam z Krzysiem i Gandzią do Krakowa. Łaziliśmy po Starówce, Kazimierzu, trochę padało.

Kiedyś podobno uwielbiałam tu przyjeżdżać. Tu mieszkali dziadkowie, rodzice taty. Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam 4 lata. Nie zabrano mnie na pogrzeb. Może to i lepiej. Wiedziałam, że byli dobrzy i poszli do nieba.

Usiłowałam sobie ich przypomnieć. Piliśmy piwo, Gandzia miała dobry towar. Szybko odlatywałam. Nie pozwolili mi się smucić.

„Człowiek samotny staje twarzą w twarz z pytaniem o sens życia. Nic nie ułatwia mu odpowiedzi, ani ludzie, ani rzeczy. W trudzie pytania i szukania odpowiedzi jest rzeczywistość sam. Dociera do granicy własnej egzystencji. Ociera się w swojej rozpacz o śmierć. Czuje, że wszystko w nim umiera, że umiera świat, który go otacza, że umiera on sam”. T.K.

„Gdy nie umie samodzielnie dotrzeć do sensu, śmierć tę sam wywołuje lub przyspiesza”. T.K.

Czuje się jakaś oszukana. Sama nie wiem, dlaczego. Po dwóch dniach w Krakowie, Krzyś musiał wracać do dylowania. Nam też się towar kończył. Gandzia gdzieś zniknęła i z nami nie wracała. Było mi smutno. Lubię ją, jest moją jedyną kumpelą.

Gdy mieszkaliśmy w blokach, miałam podwórkowe koleżanki na trzepaku. Fajne to było. Po przeprowadzce do innej dzielnicy, do własnego domu, poczułam się nieszczęśliwa. Osamotniona. Miałam własny, cudny pokój, własny telewizor, kompa. No i nową szkołę, w której nie byłam zbyt lubiana, bo się dobrze uczyłam. Gdy przynosiłam świadectwo z czerwonym paskiem, rodzice przygotowy-

wali mi fajne przyjęcia. Zapraszali koleżanki, w ogrodzie był basen, a mama kupowała tort czekoladowy.

Przyjeżdżali ciocia z wujkiem. Wszyscy mi gratulowali. Mówili, że mnie kochają.

Jestem mała dorosła – mówi Krzyś. Jestem czasami pełnym dzieckiem. Chociaż czasami, skacowana, czuję się już zupełnie stara.

Wrócił lęk. Co będzie, jak mnie sąsiedzi rozpoznają? Co stanie się z Krzysiem? Przecież jestem nieletnia. Niedługo zacznie się szkoła. Może bym wróciła do gimnazjum? Jak, bez rodziców, bez meldunku u Krzysia. Nawet nie może udawać mego starszego brata.

Przedtem zastanawiałam się, w co się ubrać albo co nowego grają w kinie. Nauczyć się na do klasówki, przeczytać lekturę. A teraz?

Czasami zakupy, czasami pranie, to akurat lubię. Ale takie ukrywanie się? Bez sensu.

29 sierpnia

Nie wolno wchodzić do Małego Pokoju, nawet mnie. Krzyś ma tam swoje tajemnice. To znaczy, że tam rozdziela towar na działki.

Jak wchodzi, zamyka go. Nigdy nie pytam o jego interesy. Kiedyś powiedział, że lepiej jak nic nie wiem.

Gandzia się odnalazła. Odwiedziła mnie dzisiaj. Miałam kokę i wzięłyśmy po kresce. Po kilku godzinach Gandzia zaczęła opowiadać o swoim domu. Ma starszego brata, który pierwszy raz odwiedził ją w jej pokoju w dniu jej komunii, pierwszej komunii.

Potem już regularnie ze sobą sypiali. Gdy dostała pierwszej miesięczki, matka go wysłała do szkoły z internatem. Wiedziała o wszystkim.

Żał mi Gandzi. Nie widziałam jej jeszcze trzeźwej.

Krzyś wrócił poharatany. Dostał od ćpuna na głódzie bez kasy. Nie dał mu działki za friko. Zrobiłam mu opatrunek, to znaczy sam się łątał, ja przytrzymywałam bandaż. Wystraszyłam się. Bardzo.

Chcę, by przytuliła mnie mama.

30 sierpnia

Babcia często powtarzała, że urodziłam się w wolnej Polsce i że bez prawdziwej wolności nie ma życia.

Bałam się dzisiaj wyjść z domu i siedziałam na necie. Przeglądałam kodeks o karach za przestępstwa za narkotyki. O nieletnich, co można z nimi zrobić.

Krzyś może nawet dostać do 8 lat, za mnie i za dilowanie. To mnie poraziło. Nie chcę tak.

Czy grozi mi dom poprawczy, czy tylko przymusowa terapia? Mam ochotę iść do punktu konsultacyjnego Monaru, ale boję się, że mnie nie wypuszczą.

Nie chcę tak. Ale jak?

Może gdybym odnalazła Basię, gdzieś tu mieszka. Porozmawiałabym z nią. Zniknęła z sieci. Pewnie by powiadomiła policję.

Takie jest prawo.

Jeszcze dwa lata. To cholernie długo. Mogą ze mną zrobić wszystko. Nie wytrzymam tego.

31 sierpnia

Tata po pracy zabierał mnie na przejażdżki samochodem i uczył znaków drogowych. Częściej niż mama zaprowadzał mnie na basen i przyglądał się jak pływam. Wieczorami graliśmy w szachy.

Babcia jest astronomem i pamięta pierwszy krok Armstronga na Księżycu. Teraz widziałam zdjęcia z Marsa. To rzeczywiście czerwona planeta.

Piwo karmelowe i dragi.

1 września

Psiarnia skopała 17-latka podejrzanego o dilerkę. Złamali mu nogę, przypalali petami. Jakiś horror. Pomyślałam o Krzysiu.

Znalazłam w necie telefony zaufania dla młodzieży, bezpłatna infolinia. Sama nie wiem.

Muszę porozmawiać z Krzysiem.

„Wnętrze samotnego człowieka bywa nieraz tak spustoszone, że trudno je nawet leczyć. Pozostaje więc nieraz niezagojoną raną, nieustannym żalem przegranej egzystencji”. T.K.

3 września

Czasami lubię tak na maksa się doćpać i nie czuć, nie pamiętać niczego. Być niewidzialną i bez wspomnień.

Tak było wczoraj, a dzisiaj dzieciaki poszły do szkoły, a mnie kurwa tam nie było.

4 września

Gdy Krzyś wychodzi załatwiać swoje interesy, mam ochotę wybiec z naszego mieszkania i iść przed siebie i nie wracać.

Mama by zapytała, jaki mam plan lekcji. Znowu cieszyłabym się z pływania. Nie potrafię tego ogarnąć.

Gandzia puściła esemesa, że zjawi się z zieleń po południu.

Mam zamiar się znowu najarać.

Barbara Rosiek

O TYM, CO W ŻYCIU WAŻNE

ROZMOWA Z PROF. DR HAB. ELŻBIETĄ HURNIK,
LITERATUROZNAWCZYNIĄ AJD W CZĘSTOCHOWIE

Barbara Strzelbicka: Świętowała Pani w tym roku jubileusz 25-lecia pracy naukowej. Od wielu lat funkcjonuje Pani w wielu obszarach: literackim, kulturalnym, naukowym, dydaktycznym, rodzinnym i towarzyskim. Czy któryś z tych obszarów jest dla Pani obszarem uprzywilejowanym?

Elżbieta Hurnik: Wszystkie są ważne, ale odpowiadam bez wahania: najważniejszy jest dla mnie obszar rodzinny. Nie mogłabym egzystować bez rodziny, która stanowi moje oparcie we wszystkich życiowych sprawach. Mam wspaniałe córki i wnuczka, niezawodne siostry, krąg bliskich ludzi, na których mogę liczyć w trudnych chwilach, i którzy ode mnie mogą oczekiwać pomocy. Dzielimy także wspólnie radości, chwile dobre, dary losu. Do kręgu bliskich osób zaliczam również przyjaciół, którzy towarzyszą mi w dniu powszednim, ale i w poczynaniach naukowych, zawodowych, kulturalnych. To przyjaciele i dawni uczniowie przygotowali tegoroczny jubileusz (przede wszystkim wydali piękny tom jubileuszowy); było to dla mnie święto piękne, zbudowane na więzach przyjaźni.

Również w tym roku otrzymała Pani nagrodę im. Karola Miarki, dołączając do grona zacnych laureatów, do których zostali zaliczeni m.in. Wojciech Kilar, Henryk Mikołaj Górecki, prof. Dorota Simonides. Co dla Pani oznacza ta nagroda?

Nagroda im. Karola Miarki, przyznana „za wybitny dorobek wzbogacający wartości kultury regionu i kraju”, to dla mnie wielkie wyróżnienie i zaszczyt. Na pewno stanowi



Prof. dr hab. Elżbieta Hurnik

ukoronowanie mojej dotychczasowej pracy w dziedzinie nauki, dydaktyki, pracy na rzecz kultury w mieście. Jednocześnie zobowiązuje do dalszych działań w każdej z tych dziedzin; zamierzam nadal robić to, co do tej pory, na ile starczy sił, i na ile będę potrzebna.

Obszarem swojej działalności obejmuje Pani Częstochowę, Katowice i Wiedeń. Jak na tym tle widzi Pani Częstochowę, Pani rodzinne miasto?

Częstochowa to moje miejsce urodzenia, ale także miejsce życia z wyboru. Po dłuższym pobycie w Katowicach, gdzie studiowałam i gdzie podjęłam pierwszą pracę zawodową

(dziesięć lat w Pałacu Młodzieży), wróciłam do Częstochowy z rodziną – i tu już zostałam. Potem, w latach 90., spędziłam trzy lata w Wiedniu, pracując jako lektor języka polskiego na Uniwersytecie Wiedeńskim. Zarówno w Katowicach, jak i w Wiedniu czułam się bardzo dobrze; pracowałam naukowo, poznawałam geografię i kulturę miasta, miałam przyjaciół, z którymi wciąż utrzymuję żywe kontakty, ale Częstochowa to moje korzenie: dom (pierwszy to ten, który zbudował mój Ojciec i w którym spędziłam niemal całe życie), kilka pokoleń rodziny, krajobrazy (łąki na Aniołowie), bliscy ludzie. Mogę wykonywać tutaj pracę, jaką lubię, rozwijać swoje pasje, interesuje mnie to, co się tutaj dzieje, żyję w środowisku, z którym czuję się mocno związana.

W swojej pracy naukowej zajmuje się Pani przede wszystkim piszącymi kobietami. Jak Pani zdaniem płeć wpływa na postrzeganie świata?

Daleka jestem od wysnuwania wniosków uogólniających na temat roli płci w postrzeganiu świata – mierzy się z tym problemem wielu badaczy – ale mogę powołać się na twórczość poetek, którymi się bliżej zajmowałam. Należy do nich przede wszystkim Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, która znakomicie pogodziła w swojej poezji kobiecy wdzięk, epatowanie kobiecością z wytrawnym warsztatem literackim i światopoglądem poetyckim opartym na kulcie miłości oraz na podziwie wobec świata natury. Te wartości się w jej poezji równoważą. Pisała o miłosnej tęsknocie, o zawodzie w miłości, o poczuciu przemijania, zatem o doznaniach będących udziałem każdej niemal kobiety, ale potrafiła uchronić swoje wiersze przed sentymentalizmem, o który nietrudno przy podejmowaniu tematu miłości. Również poezja Haliny Poświatowskiej, skoncentrowana na miłości,

na zmysłowym jej przeżywaniu, na podejmowaniu odwiecznych tematów (miłość i śmierć, człowiek i natura), powstawała w oparciu o świetny warsztat artystyczny. Ludmiła Marjańska ubrała w poetyckie słowo miłość ludzi starszych, poddaną upływowi czasu oraz egzaminowi, jakim jest choroba bliskiego człowieka; ukazała także starość z kobiecej perspektywy. Wymienione autorki rozszerzyły obszary obserwacji na przeżycia, fizjologię i kondycję (psychiczną, społeczną, kulturową) kobiet, objawiały wyostrzoną wrażliwość, a jednocześnie poszukiwały odpowiedniej formy; ich twórczość dowodzi, że to kunszt artystyczny decyduje o wartości utworu.

Czy nie kusi Pani, by zająć się własną twórczością literacką?

Kusi. Już jako młoda dziewczyna próbowałam pisać wiersze (a kto nie próbował? – ☺), podjęłam te próby po latach i opublikowałam kilka wierszy pod pseudonimem. Myśl o pisaniu powraca, zwłaszcza, że otrzymałam od jednego z pism propozycję publikacji, ale brakuje mi obecnie czasu i skupienia potrzebnego, by się tym zająć. Może w przyszłym roku...

Jak ocenia Pani kondycję młodego pokolenia, studentów, których w swojej pracy dydaktycznej obserwuje Pani od wielu lat?

Pracuję ze studentami od połowy lat 80., poznałam więc kilka pokoleń. Kiedy rozpoczynałam pracę jeszcze w Wyższej Szkole Pedagogicznej (obecnej Akademii im. Jana Długosza), było bardzo wielu studentów, co utrudniało czasem zajęcia dydaktyczne, ale jednocześnie dzięki temu istniało silne środowisko studenckie i życie grupowe. Studenci spędzali z sobą więcej czasu, wspólnie urządzaliśmy różne spotkania, jeździliśmy do teatru do Warszawy i Zakopanego, na wycieczki do Wrocławia i Krakowa. Bardzo dobrze wspominam grupy, które łączyła

solidarność, wzajemna pomoc w trudnych sprawach (także osobistych), wspieranie się (nie tylko podczas sesji egzaminacyjnej). To wartości, bez których nie może istnieć żadna społeczność. Dzisiaj formy życia zbiorowego zmieniły się, bo zmieniło się życie wokół; czas inaczej się chyba mierzy, brakuje go na studiowanie w najbardziej podstawowym tego słowa znaczeniu, na czytanie lektur, na refleksję, tak potrzebną na tym etapie życia, a także na wspólne przedsięwzięcia. Każdemu rocznikowi studentów powtarzam, że najważniejsze jest myślenie; to jedyna wartość, której posiadanie zależy wyłącznie od nas samych. Na szczęście w każdym pokoleniu spotyka się studentów-pasjonatów, dla których nauka i studiowanie, wspólne działania na różnych obszarach są ważne. Podtrzymują oni moją wiarę w sens dydaktyki.

W dobie braku autorytetów o Pani można z całą pewnością powiedzieć, iż jest Pani w Częstochowie uznanym autorytetem (proszę wybaczyć ograniczenie do Częstochowy, ale inne realia nie są mi tak dobrze znane). Jak się na taki autorytet pracuje, Pani Profesor?

Czuję się zakłopotana tym pytaniem. Sądzę, że używając terminu „autorytet”, ma się na myśli czyjeś znaczenie w określonej dziedzinie wiedzy: autorytet w dziedzinie medycyny, historii czy prawa. Proszę wybaczyć, że mogę tylko odpowiedzieć: Jestem w pół drogi...

Nad czym Pani obecnie pracuje i jakie ma Pani plany na przyszłość?

Obecnie kończę książkę, która ma się ukazać na wiosnę przyszłego roku. Nie chcę zdradzać szczegółów, ponieważ wymaga ona jeszcze sporo pracy. Potem zamierzam zająć się projektem naukowym, temat muszę jeszcze przemyśleć.

Leszek Kołakowski powiedział w jednym z wywiadów, że są trzy warunki szczęścia: dobre zdrowie, bliscy ludzie i sensowne zajęcie. Co Pani o tym sądzi? Co jest Pani zdaniem ważne w życiu?

Zgadzam się, że zdrowie, bliscy oraz praca dająca zadowolenie decydują o poczuciu szczęścia. Nie o szczęściu, ale o możliwości jego odczuwania. Wszak doznajemy go w rzadkich chwilach, a przynajmniej rzadko w sposób świadomy je przeżywamy. Ale gdy przychodzi taka chwila – to dech zapiera w piersiach. Według mnie ważne jest to, by intensywnie przeżywać każdą dobrą chwilę, by ją docenić za to – że trwa. Może odpowiem tu jeszcze na pytanie zadane wcześniej, bo wiąże się ono z tymi wartościami – o moje plany na przyszłość. Otóż pragnę przeżyć jak najlepiej ten czas, jaki mam przed sobą. Razem z moimi bliskimi.

To piękna puenta naszej rozmowy! Bardzo Pani dziękuję za udzielenie wywiadu w imieniu czytelników „Galerii” i własnym. Życzę Pani spełnienia wszystkich planów i zamierzeń oraz szczęścia osobistego.

Rozmowę przeprowadziła: Barbara Strzelbicka

ŻANETA WOJTALA

Urodzona w 1984 roku w Żyrardowie. W 2005 roku ukończyła Studium Projektowania i Reklamy w Gliwicach.

W 2013 absolwentka Wydziału Sztuki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie – dyplom magisterski z wyróżnieniem w Pracowni Grafiki Użytkowej u prof. Agnieszki Półroli.

W roku 2012 i 2014 stypendystka Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie sztuk plastycznych.

Od 2013 roku asystentka w Katedrze Grafiki na Wydziale Sztuki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Zajmuje się grafiką użytkową, grafiką cyfrową oraz multimediami.

Uczestniczka wystaw krajowych i międzynarodowych - między innymi: International Cycling Film Festival (2011), Biennale Plakatu Polskiego (2011), Międzynarodowe Biennale Grafiki Studenckiej AGRAFA (2012), Biennale Grafiki Studenckiej (2013), International Student Poster Biennale (2013), Międzynarodowe Biennale Miniatury (2014), Międzynarodowe Biennale Grafiki Cyfrowej (2014)

Cykl prac *Dehumanizacja* prezentowany był na wystawie w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie (8.11.2014 – 04.01.2015). Grafiki powstały dzięki stypendium artystycznemu Prezydenta Miasta Częstochowy.

Dehumanizacja to fragmenty znalezionych obrazów, części wspomnień z inspirujących miejsc. Choć każda z grafik zbudowana jest z konkretnego istniejącego obiektu lub jego wycinka, finalnie nie stanowią one odbicia tych rzeczy. Realny obraz jest jedynie inspiracją do poszukiwania odpowiedniej formy. Przedmioty umieszczone na czarnym tle są wyabstrahowanymi z otoczenia bogatymi strukturalnie fragmentami rzeczywistości.

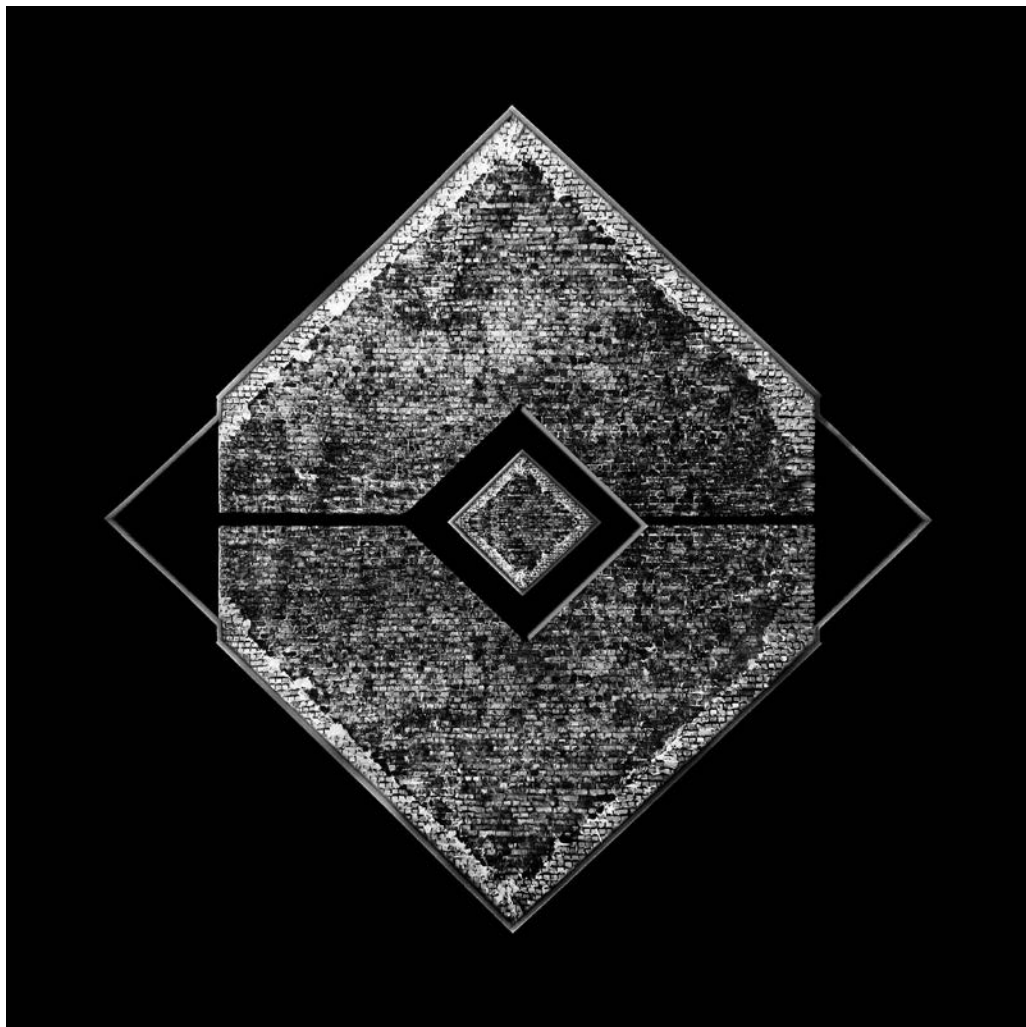
Punktem wyjściowym są fotografie zniszczonych, pustych i najczęściej niewykorzystywanych już przestrzeni postindustrialnych,

betonowych bloków, pustostanów. Ich wspólną cechą jest zapis procesu lub skutku, jaki towarzyszy utracie spójności. Fotograficzna rejestracja elementów w procesie dekompozycji jest inspiracją do nadania im nowego znaczenia poprzez ponowne nadanie im funkcjonalności. Poszukiwanie wartości estetycznych w rzeczach teoretycznie brzydkich skłania do wybiórczego traktowania obrazu.

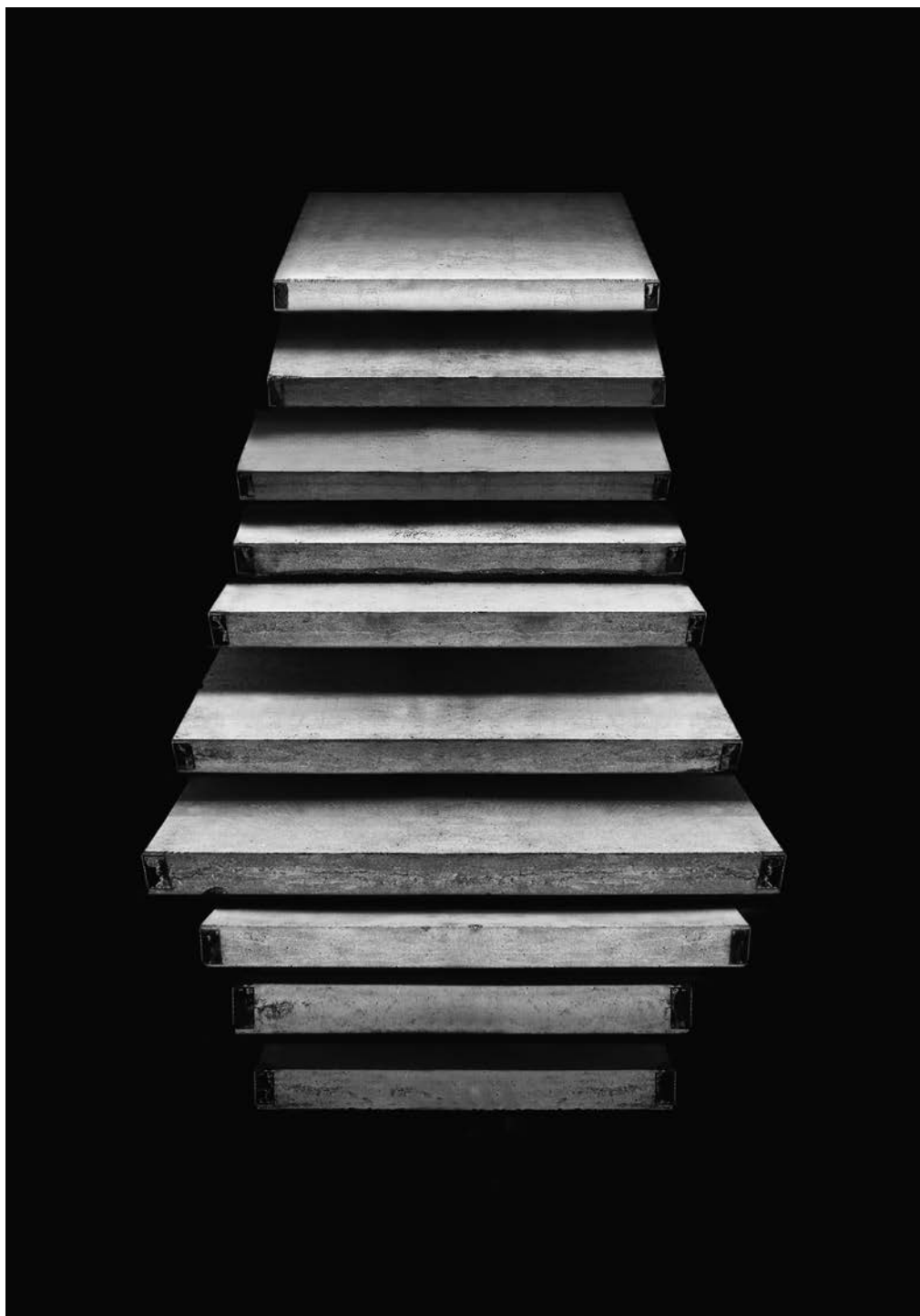
Termin dehumanizacja rozumiany jest jako odczłowieczenie – pozbawianie cech ludzkich. Człowiek stara się panować nad naturą, nadaje porządek rzeczom, kształtom i przestrzeniom, które wokół siebie kreuje. Gdy brak jest ludzkiej uwagi, natura sama wyznacza drogę. Dąży do ciągłego obiegu w przyrodzie związków i pierwiastków chemicznych, unicestwienia jednego, by przeobrazić je w drugie. Człowiek często stara się ten proces zatrzymać: odbudować burzący się dom, wyremontować zniszczony obiekt przemysłowy. Ja staram się zatrzymać to, co zostało pozbawione ludzkiej uwagi – nadając temu nową formę, zanim ktoś ponownie sobie o tym przypomni.

Jak twierdzi dr hab. Agnieszka Półroli, w przypadku grafik *Pani Żanety do czynienia mamy z niezwykle głęboką dekonstrukcją i odległą od źródła inspiracji reminiscencją, bowiem przed naszymi oczami ukazuje różnorodność niezwykle finezyjnych, abstrakcyjnych form. Ze świata materialnego artystka przenosi nas w przestrzeń racjonalnej myśli. I w tym widzę głęboko pojęty humanizm.*

[opr. red. na podstawie folderu z wystawy, która odbyła się w dniach 8 XI 2014 – 4 I 2015 w Galerii Promocji Młodych „Antresola” w Częstochowie.]



Żaneta Wojtala, Dehumanizacja V [Dehumanization V], 50x50 cm



Żaneta Wojtala, Dehumanizacja XXV [Dehumanization XXV], 100x70 cm

Janusz Orlikowski

ESEJ O MIŁOŚCI SZCZĘŚLIWEJ

1. Sprawiedliwość i miłość

„Albowiem królestwo niebieskie podobne jest do gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swej winnicy. Umówił się z robotnikami o denara za dzień i posłał ich do winnicy. Gdy wyszedł znów około godziny trzeciej, zobaczył innych, stojących na rynku bezczynnie, i rzekł do nich: <Idźcie i wy do mojej winnicy, a co będzie słuszne, dam wam>. Oni poszli. Wyszedszy ponownie około godziny szóstej i dziewiątej, tak samo uczynił. Gdy wyszedł około godziny jedenastej, spotkał innych stojących i zapytał ich: <Czemu tu stoicie cały dzień bezczynnie?> Odpowiedzieli mu: <Bo nas nikt nie najął> (...). A gdy nadszedł wieczór, rzekł pan winnicy do swego rządcy: <Zwołaj robotników i wypłać im należność poczynsz od ostatnich, aż do pierwszych>. Przyszli najęci około jedenastej godziny i otrzymali po denarze. Gdy więc przyszli pierwsi, myśleli, że więcej dostaną; lecz i oni wzięwszy go, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: <Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmi znosili ciężar dnia i spiekoty>. Na to odrzekł jednemu z nich: <Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czy nie o denara umówiłeś się ze mną? (...) czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?>. Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi”.

Ta przypowieść z ewangelii św. Mateusza mówi o sprawiedliwości, ale w jaki sposób by miała mówić o miłości? Jeszcze interpretuje się ją w kontekście Sądu Ostatecznego, kiedy to: „Gdy Syn człowieczy przyjdzie w swej chwale i wszyscy aniołowie z Nim, wtedy zasiądzie na swoim tronie pełnym chwały. I zgromadzą się przed nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych (ludzi) od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swojej lewej stronie. Wtedy odezwie się Król do tych po prawej stronie: <Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata!

*Bo byłem głodny, a daliście mi jeść;
byłem spragniony, a daliście mi pić;
byłem przybyszem, a przyjęliście mnie;
byłem nagi, a przyodzialiście mnie;
byłem chory, a odwiedziliście mnie;
byłem w więzieniu, a przysłisiliście do mnie>*

(...)

Wtedy odezwie się do tych po lewej stronie: <Idźcie precz ode mnie, przekleńci, w ogień wieczny, przygotowany diabłom i jego aniołom!

*Bo byłem głodny, a nie daliście mi jeść;
byłem spragniony, a nie daliście mi pić;
(...)*

Wówczas zapytają i ci: <Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym, albo spragnionym, albo przybyszem, albo nagim, kiedy chorym albo w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie?> Wtedy odpowie im: <Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, tegoście i mnie nie uczynili>. I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego.” Wtedy to ta pierwsza przypowieść (o robotnikach w winnicy) stwierdza, że różnica między dobrem a złem w ludzkim ujęciu jest dla Boga bez znaczenia, natomiast druga na to znaczenie wskazuje.

Śmierć, po niej, według religii chrześcijańskiej, Niebo, Piekło lub Czyściec. Ale za nim to nastąpi jest czas życia na ziemi, kiedy to miłość winna jawić się jako przewodniczka. Słowa zatem zarówno pierwszej jak i drugiej przypowieści jej muszą dotyczyć. I to we wszystkich jej przejawach, a zatem i tej pomiędzy kobietą a mężczyzną. Chodzi tylko o to, że same te alegorie stanowią z pozoru sprzeczne treści umiejscowione jakby na końcowym brzegu życia, a przecież jasno rzutują wstecz, od czasu narodzin, a dla nas, gdy zjawia się miłość po-

między osobami płci przeciwnej. Sprawiedliwość i miłość, te dwa pojęcia się stąd tu łączą. Tylko, jak je w tym kontekście odczytać?

Wisława Szymborska wiersz *Miłość szczęśliwa* pointuje słowami:

*Niech ludzie nie znający miłości szczęśliwej
twierdzą, że nigdzie nie ma miłości szczęśliwej.*

Z tą wiarą lżej im będzie i żyć, i umierać.

W przypowieści o robotnikach w winnicy gospodarz wypłacił jednakowo, po jednym denarze, zarówno tym, którzy w pocie czoła pracowali od świtu do nocy, jak i tym pracującym mniej, bądź niewiele, ale byli to wszyscy ci, których napotkał. Ze swojego punktu widzenia postąpił sprawiedliwie, bowiem umówił się tak z pierwszymi, których spotkał. Spowodowało to jednak u tych pierwszych oburzenie, gdyż pomyśleli – jak to[?]: oni poświęcali swój czas i siły przez dzień cały i otrzymali tyle samo co ci, których czas pracy był krótki, a nawet bardzo krótki? Na to gospodarz, gdy jeden z nich się z pretensją odezwał, odpowiedział: „Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czy nie o denara umówiłeś się ze mną? (...) czy mi nie wolno uczynić ze swoim co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?”. Czy słowa te przekonały robotnika?

Gospodarz w tej opowieści to personifikacja Boga, którego poczucie sprawiedliwości jest, delikatnie ujmując, odmienne od tego, jakie nam przychodzi na myśl. Trzepoce nami zazdrość, gdy inni mają, jak uważamy, lepiej. Zazdrość, ta nieodłączna, wyrodna siostra miłości, która nie pozwala nam zaznać miłości szczęśliwej. A przecież, zwróćmy uwagę, nie wszyscy znaleźli się w winnicy, a tylko ci, których gospodarz – Bóg napotkał. Wróć do tego za chwilę. Szczęśliwością dla nas jest to, że w ogóle, by tak powiedzieć, możemy podjąć pracę na rzecz miłości. Zostaliśmy do niej wybrani, albo lepiej: Wszechmocny nas spotkał jako tych, którzy według niego do niej są zdolni. Jak to? Powie ten czy ów – przecież każdy jest godzinien miłości? Skoro tak, to dlaczego

nie każdy jej zaznaje? Albo jest poza winnicą lub też obrażone jest jego poczucie sprawiedliwości, z którym uporać się nie może. Wciąż dzieje się u niego to pytanie robotnika, który zdecydował się nadać wyraz słowny swym pretensjom. Wciąż nie rozumie, że ludzka sprawiedliwość w miłości, jeżeli ma jej służyć, musi przypominać o prawach panujących w winnicy. Winnica, czyli wino; wino, czyli kobieta i mężczyzna – rodzą mi się skojarzenia. Ogród miłości, ale nie ten pojęty jako Raj, lecz ten z cytowanej przypowieści. Tam do głosu dochodzi nie miejsce i czas wieczny, ta wiecznie trwająca aktualność, ale miejsce tu na ziemi i czas, w którym uzewnętrznione są obydwa, czyli oprócz wymienionego, czas ziemski. To on, do niego nasze przywiązanie, jest motorem, który pobudza nasze ego, dając wyraz poczucia niesprawiedliwości. „*Niech ludzie nie znający miłości szczęśliwej/ twierdzą, że nigdzie nie ma miłości szczęśliwej*”, niech zatem wychylą się tam, poza własne „ja”, a wtedy okaże się, że wszyscy robotnicy w winnicy zostali obdarowani jednakowo. Jeżeli tego nie dostrzegą, to znaczy, że zrobili zgodnie z własną wolą krok w tył i znaleźli się poza winnicą. Albo lepiej: nie czekali na spotkanie z gospodarzem.

W przypowieści zwraca uwagę jeszcze jedno. By tak rzec, czas ziemski rozpisany na poszczególnych robotników. Jedni bowiem pracują od świtu, drudzy od godziny trzeciej, następni od szóstej, a jeszcze kolejni dopiero od dziewiątej, aż do tych, których praca była najkrótsza. Co to oznacza? Przecież opowieść by miała takie samo przesłanie i swój wyraz symboliczny gdyby podzielić na tych, którzy zatrudnieni są od wschodu dnia i tych o zmierzchu. Ba, być może dramaturgia byłaby o wiele bardziej wyrazista, ostra, dająca wyraz niesprawiedliwości w ludzkim odczuciu. Zatem musi tu chodzić o coś jeszcze. O co?

Denar wypłaty dla każdego z pracujących jest wyrazem dobroci gospodarza, Boga. Inaczej on jednak smakuje temu, który pracował dzień cały, inaczej tego czasu połowę, jeszcze inaczej, gdy mniej, ale tylko wtedy, gdy widzą

oni go w kontekście czasowym i wykonanej w nim pracy, nie natomiast jako wyraz zaspokojenia swych potrzeb. Gdyby tak było, nie pojawiłoby się poczucie niesprawiedliwości. To odniesienie do innych zburzyło sprawiedliwość, a tym samym smak zarobionego denara. Bo czymże jest ów symboliczny denar? To zaspokojona potrzeba miłości i to zarówno tej duchowej, jak i cielesnej w naszej tu interpretacji. Patrzymy na innych, którzy wydają się nam być szczęśliwsi niż my. Nie, nie będę uspokajał, że nie są, tym samym powodując relację, która ułagodzi nasze poczucie sprawiedliwości. W ogóle takiego widzenia i takich porównań nie można dokonywać, jak w cytowanym wierszu Szymborskiej: *„Spójrzcie na tych szczęśliwych:/ gdyby się chociaż maskowali trochę,/ udawali zgnębienie krzepiąc tym przyjaciół!”* To początek drogi donikąd, której zaczątek nie dzieje się w winnicy Stworzyciela i jego ustanowionymi tam prawami z czasem wiecznym na czele. Wprawdzie wiemy o tym, lecz jakże trudno nam się do tego przyznać. Dopiero pełna świadomość tego i akceptacja stwarza warunki ku temu, aby miłość wędrowała po właściwej drodze, ku szczęśliwej. Dla jednych będzie to czas dłuższy, dla innych krótszy, bądź jeszcze krótszy; natomiast są i tacy, którym to zajmie zupełnie niewiele – to ci, którzy zatrudnili się w winnicy jako ostatni. Stąd przypowieść kończą słowa: *„Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi”*. Dla jednych wciąż jako obraz prawdy będą brzmieć słowa z *Miłości szczęśliwej*: *„Wywyższeni ku sobie bez żadnej zastugi,/ pierwsi lepsi z miliona, ale przekonani/ że tak stać się musiało – w nagrodę za co? za nic;”* zanim dostrzegą, że *„światło pada znikąd -”*, inni z kolei pytają: *„dlaczego właśnie na tych, a nie innych?”*, co ma zazwyczaj znaczenie – dlaczego nie na mnie, nim przyjdzie im do głowy, co to właściwie znaczy, *„światło pada znikąd -”* i że stwierdzenie *„Czy to obraża sprawiedliwość? Tak./ Czy narusza troskliwie piętrzone zasady/ strąca ze szczytu moral? Narusza i strąca.”* jest pozbawione jakiegokolwiek sensu w znaczeniu dochodzenia do szczęśliwej miłości i jej szkodzi.

Dla tych z kolei, którzy w konsekwencji do niej dochodzenia formułują słowa: *„Na co liczyć by mogły religie, poezje,/ o czym by pamiętać, a czego zaniechano,/ kto by chciał zostać w kręgu.”* pojawia się już sposobność tego wychylenia na zewnątrz, tego że *„miłość to znaczy popatrzeć na siebie,/ tak jak się patrzy na obce nam rzeczy”* jak w wierszu Miłosza. Ta głęboka ironia zawarta w tych słowach Szymborskiej mimochodem mówi jednocześnie o skazie grzechu. I chociaż jest w niej więcej buntu niż pokory, to o tej drugiej już tu możemy mówić. A możliwy w wierszu jej akt zawiera właściwie odczytana pointa: *„Niech ludzie nie znający miłości szczęśliwej/ twierdzą...”*, którą w całości cytowałem wcześniej.

Z przypowieścią o robotnikach w winnicy związałem na wstępie tę o Sądzie Ostatecznym według ewangelii św. Mateusza. Do czego ona może nam się tu przydać oprócz poczynionego tam stwierdzenia, że choć chwili śmierci, to miłości dotyczy?

Tu poruszamy się niejako li tylko, inaczej niż w tej pierwszej, w obrębie czasu ziemskiego. Jej istotą jest sprawozdanie z każdej chwili uczynków poczynionych na ziemi. Mówi ona o potrzebach i pragnieniach, ale nie naszych, lecz tych, u których one występują. I tu rachunek jest prosty: *„Bo byłem głodny, a daliście mi jeść; byłem spragniony, a daliście mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście mnie; byłem nagi, a przyodzialiście mnie; byłem chory, a odwiedziliście mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie”* i tegoż przeciwieństwo: *„Bo byłem głodny, a nie daliście mi jeść; byłem...(...)”*. Ale jak to odnieść do miłości szczęśliwej z jej aspektami zarówno duchowymi, jak i cielesnymi? Czy to oznacza, że zarówno kobieta, jak i mężczyzna zawsze winni zaspakajając względem siebie swe potrzeby cielesne? Już nasze ego mówi, że coś tu jest nie tak. Odczuwamy niedogodność tak postawionej sprawy. Przecież człowiek może nie mieć na coś ochoty. A może taka interpretacja Sądu Ostatecznego jest niewłaściwa? Może nie dotyczy cielesnej miłości? Jezus przecież nie był żonaty. Mnogość tych pytań prowadzi nas w nierozwiązalność.

Nie jestem przecież jakąś dziwką, nie jestem żigolakiem. Otóż to, nie jesteśmy. Nie jesteśmy maszynami do zaspokajania pożądań. Pożądanie, nawet tak zaspokojone, jest zawsze źródłem cierpienia. Przecież religia jest sprawą ducha i mówi o miłości duszy, rodzą się dalsze dla swego postępowania uzasadnienia. Jezus nie był żonaty, powtarzamy. Ale od razu też przychodzą, jeśli przychodzą, takie odpowiedzi: „<Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym, albo spragnionym, albo przybysem, albo nagim, kiedy chorym, albo w więzieniu> Wtedy odpowie im: < Wszystko czego nie uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, te goście i mnie nie uczynili >”. Bóg stał się ciałem i po to, byśmy swą cielesność pojęli. Opiera się kuszeniu, pożądaniu, lecz, by tak żartobliwie w pewnym sensie powiedzieć, nie narzuca celibatu. I jeszcze dalej sobie pożartuję, z pomocą wiersza *Miłość szczęśliwa*, dla ujawnienia sensu: „*Wspaniałe dziatki rodzą się bez jej pomocy./ Przenigdy nie zdołałaby zaludnić ziemi,/ zdarza się przecież rzadko.*”, co mówi o czystym pożądaniu i jest to żart gorzki. Tętno miłości szczęśliwej drzemie w ludzkiej duszy, ale i w ciele. Nie da się ich oddzielić. Kto tego nie rozumie, zawsze będzie co najwyżej powtarzał: „*Miłość szczęśliwa. Czy to jest normalne,/ czy to poważne, czy to pożyteczne -*” przecząc tym samym podstawowemu prawu życia i podejrzewam, że również Boga, bo życie od Niego jako Stworzyciela pochodzi. „*Bo byłem głodny, a nie daliście mi jeść/ byłem spragniony, a nie daliście mi pić/ (...)*” przemawia ludzkie ciało nie jako wyraz swych pożądań, które zawsze są wyznacznikiem „ja”, ale jako nieodłączna część całości, w którą to oczywiście owo „ja” jest wpisane, lecz w miłości możliwe do świadomego zauważenia. Pożądanie to cierpienie i to zarówno jeżeli nie zostaje zaspokojone, jak i gdy się je poprzez osobę płci przeciwnej zaspokoi. Dopiero miłość pozwala „*teb urwać hydrze*” i stąd jest ona zawsze radością. Wcześniej wspomniane dylematy, nie jestem przecież dziwką, nie jestem żigolakiem, nie wchodzi więc tu zupełnie w rachubę. Natomiast „*Bo byłem głodny, a nie daliście mi jeść*” tak.

2. Nad pieśniami

Początkowo sądziłem, że autorem tego szkicu jest mężczyzna i to być może przyszedł ksiądz, bowiem pod tytułem, który przedstawię za chwilę, znajduje się dopisek: „*Publikuję poniżej moją pracę zaliczeniową z seminarium*”. Uśmiechnąłem się do siebie po pierwszym czytaniu, gdyż tak odważnie stawianych tez dotyczących współżycia seksualnego w małżeństwie chrześcijańskim nie zdarzyło mi się dotychczas czytać. Radość moja nieco jednak ostygła, gdyż czytany w Internecie tekst *Seks – Boży dar, czy diabelskie opium?* okazał się nie być pióra przyszelego duchownego; nie jest też on napisany przez mężczyznę. To z kolei moją radość nieco ponownie pobudziło. Autorką jest trzydziestodwuletnia kobieta, której imię i nazwisko jest mi nieznane, bowiem na swym blogu *Jak kwiat... czyli blog o chrześcijańskim życiu* go nie podaje. Nie zdecydowałem się też na podany tam kontakt – „iwka_jak kwiat”, by się tego dowiedzieć, uznając jej prawo do prywatności. A zatem kobieta posiadająca wspaniałego męża i trzech synów, jak pisze. Studiuje teologię, w kręgu jej zainteresowań jest historia kościoła i tematy pokrewne; uwielbia czytać książki, szczególnie powieści chrześcijańskie. Jest protestantką z charyzmatycznego, czyli zielonoświątkowego nurtu chrześcijaństwa – i tu już mi się wszystko wyjaśniło. Ważne wobec Boga jest to, co w księgach Starego i Nowego Testamentu.

Dlaczego właśnie sprawę treści jej tekstu wybrałem, które się będą tu przewijać, jako wstęp do tej części *Eseju o miłości szczęśliwej?* Czyżbym chciał sobie rzecz ułatwić, pisząc o niej? Nie to i wcale może nie być łatwiej. Sprawił to czysty przypadek, lub może lepiej – konieczność, która zaistniała z uwagi na mojego daimoniona. Tak się zdarzyło, że przeglądając w wolnej chwili strony, natrafiłem na „iwki_jak kwiat” tekst. Zainteresowały mnie słowa: „*Gdy Pan przyprowadził kobietę do Adama, ten pełen zachwyty nad Bożym darem, przyjął ją jako kość ze swych kości i ciało ze swego ciała, i nazwał ją mężatką. Tak rozpoczął się pierwszy w historii ludzkości związek mię-*

dzy mężczyzną a kobietą. Związek aprobowany, ba, wręcz zainicjowany przez Boga – pierwsze małżeństwo. W Bożym planie dla tego związku była nie tylko więź emocjonalna, ale też fizyczna. I dalej: „A zatem to nie więź emocjonalna, tak ważna dla prawidłowego funkcjonowania małżeństwa, (...) ale to właśnie fizyczne zjednoczenie miało powodować, że mężczyzna i kobieta stawali się <jednym ciałem>. Dlatego też współżycie seksualne męża i żony jest nieodzowną częścią małżeństwa – częścią, którą Bóg już od początku ustanowił i pobłogosławił. Warto bowiem podkreślić, że Boża aprobata na pożycie męża i żony miała miejsce jeszcze przed upadkiem człowieka.”, co pisze, argumentując słowami ze Starego Testamentu: „Dlatego opuści mąż ojca swego i matkę swoją i złączy się z żoną swoją, i staną się jednym ciałem”. Słowa Mojżeszowe cytuję oczywiście autorka na podstawie Biblii Warszawskiej, potocznie zwanej „Brytyjką” będącą współczesnym, protestanckim tłumaczeniem na podstawie języków oryginalnych, wydaną w całości w roku 1975. Nie różnią się one jednak od tych słów z Biblii Tysiąclecia, jej wydania drugiego z roku 1971 (pierwsze z 1965 roku zawierało błędy i niekonsekwencje). I jeszcze dalej w swym szkicu *Seks – Boży dar, czy diabelskie opium?* „iwka_jak kwiat” pisze: „Może niektórzy z was pomyślą, że w tym momencie przesadziłam (to jedyny zwrot, który świadczy, że autorką jest kobieta – wspominam o tym w kontekście wstępu do tej części eseju, że autorem jest przyszły ksiądz; przy pierwszym czytaniu musiało mi to umknąć), ale to prawda – Biblia zachęca małżonków do seksu!”. Tu na świadka prawdziwości swych słów autorka przywołuje Księgę Kaznodziei Salomona: „Używaj życia ze swoją ukochaną żoną po wszystkie dni twójego marnego bytowania, jakie ci dał pod słońcem, bo to jest twój udział w życiu i trudzie, jaki znosisz pod słońcem.” i jeszcze bardziej dobitnie kwituje cytatem z Księgi Przypowieści: „Pij wodę z własnej cysterny i wodę świeżą z własnej studni! Czy twoje źródła mają wylewać się na zewnątrz, a twoje strumienie na place? Do ciebie samego mają należeć, a nie do obcych równocześnie z tobą! Niech będzie bło-

gosławiony źródło twój, a raduj się z żony twojej młodości! Milej jak łania, powabnej jak gazela! Niech jej piersi zawsze ci sprawiają rozkosz, upajaj się ustawicznie jej miłością!”. I pisze wtedy, że słowa te są biblijna zachęta do współżycia i to nie tylko w celach prokreacyjnych, ale również i przede wszystkim po to, aby wzajemnie sprawiać sobie rozkosz, bowiem seks ma być dla małżonków źródłem przyjemności i radości, co jest zgodne z planem Bożym. Nic dodać, nic ująć tym interpretacjom, tym niemniej skupmy się na chwilę na Księdze Kaznodziei Salomona, gdzie po cytowanych za „iwką_jak kwiat” wersetach, dokładnie po nich czytamy: „Na co natkniesz się twoja ręka, abyś to zrobił, to zrób to według swojej możliwości, bo w krainie umarłych, do której idziesz, nie ma ani działania, ani zmysłów, ani poznania, ani mądrości.”. To przypomnienie o czasie ziemskim, który jest stąd-dotąd i zachęta do działania, i to w sprawach, o których była mowa wcześniej. Nie myśl, nie ulegaj swojemu „ja”, które na tysiąc sposobów będzie roztrząsać „za i przeciw”, skupiając się w konsekwencji na tym drugim, bowiem „myśli są zawsze aniołami śmierci” (cytat z mojego wiersza). Miłość cielesna jest działaniem, jest właśnie takim natykaniem się kobiety i mężczyzny na swoje nagie ciała, gdzie wszystko inne nie ma żadnego znaczenia. Tam śpią myśli, nie ma przeszłości i przyszłości, jest teraz. Czas w znaczeniu wiecznym, bo taką jest miłość szczęśliwa, Bóg, ta wiecznie trwająca aktualność. Czy chodzi więc tu o zwykłą spontaniczność i to wystarczy? Już czujemy, że coś tu nie tak. Warto więc przywołać tu następne wersety z Księgi Kaznodziei Salomona, które staną się paralełą do omawianej w części pierwsze przypowieści o robotnikach w winnicy. „I ponownie stwierdziłem pod słońcem, że nie najszybszym przypada nagroda i nie najdzielniejszym zwycięstwo, również nie najmędrsi zdobywają chleb, a najroztropniejsi bogactwo, ani najuczeńsi uznanie, lecz że odpowiedni czas i przypadek stanowią o powodzeniu ich wszystkich.”. Gdzie tu analogia? Przypomnijmy, przypowieść o robotnikach podjęliśmy w kontekście zazdrości i miłości z jednej strony oraz

pojęcia czasu ziemskiego i wiecznego z drugiej. Tylko postrzeganie czasu jako wieczności, a dokładniej jako wiecznie trwającej aktualności pozwala na wyzbycie się zazdrości. Nie doraźność i szybkość reakcji na zastaną sytuację pozwala na właściwą jej ocenę, wtedy bowiem emocjami kieruje nasze ego i ku ucieście diabła prowadzi nas na drogę destrukcji. Pokora natomiast pozwala dostrzec nie tyle dobre strony owej sytuacji (bo to też doraźność), ile zauważyć, że jeden denar za wykonaną pracę jest jednakowo dostępny wszystkim pracującym w winnicy. Miłość szczęśliwa, w tym ta cielesna jednakowo dana jest przez Stworzyciela. Jeżeli nie od razu (ci co pracowali najkrócej), to może około trzeciej, szóstej lub dziewiątej. To zależne jest tylko, albo aż od tego, w jakim miejscu znajduje się nasza świadomość i współpartnera. Stąd też „(...) *nie najszybszym przypada nagroda i nie najdzielniejszym zwycięstwo* (...)”. Dlaczego nie najdzielniejszym? – można zapytać. Skoro już to rozumiem i dzielnie pracuję nad sobą to... I tu właśnie tworzy się pułapka pychy. Nasze „ja” jest zawsze czujne i cierpliwie, inaczej niż my, czeka. Zatem „(...) *nie najmdirsi zdobywają chleb* (...)”, a „(...) *odpowiedni czas i przypadek stanowią o powodzeniu* (...)”. Kwestię *odpowiedniego czasu* przed chwilą ponownie, po wyartykułowaniu go przy analizie przypowieści o robotnikach w winnicy w części pierwszej eseju, omówiłem. Co to znaczy – przypadek? Przecież w planie Bożym nie ma przypadków. I to jest chrześcijańska prawda. Zwróćmy natomiast uwagę na to, że Kaznodzieja Salomon pisze; „*I ponownie stwierdziłem pod słońcem* (...)”, czyli pisze z perspektywy czasu ziemskiego jako konsekwencję wiecznie trwającej aktualności. Przypadek tu na ziemi w jego ujęciu nie jest równy temu, jaki temu pojęciu nadaje racjonalista. Ten drugi właśnie będzie nazywał tym słowem wszystko to, co nie podlega w jego rozumieniu relacji przyczynowo-skutkowej. To płytki racjonalizm, budowany na bazie własnego ego. Racjonalizm mówi: najszybszym przypada nagroda, najdzielniejszym zwycięstwo, najmdirzejsi zdobywają chleb, najbardziej uczeni uznanie.

Czy to oznacza, że mam tylko w pokorze czekać na ów jeden denar miłości szczęśliwej? Tylko czekanie prowadzi do obojętności, tak jak oczekiwanie do destrukcji. „*Na co natknie się twoja ręka, abyś to zrobił, zrób to według swojej możliwości* (...)” pisze przecież wcześniej Kaznodzieja Salomon. „*Abys pod koniec życia nie narzekał, gdy zwiędnie twoje ciało i twoja skóra*” – czytamy w Przypowieści Salomona. Wprawdzie te wersy dotyczą tam konsekwencji seksu pozamałżeńskiego, lecz jednakowo możemy je w tym miejscu zacytować. Chodzi bowiem o to, że czysty seks, a więc ten rządzony tylko przez pożądanie jest w rezultacie cierpieniem, tak jak i cierpieniem jest jego brak powodowany przez czekanie czy oczekiwanie.

„(...) *gdy zwiędnie twoje ciało i twoja skóra*”, a zatem, kiedy w późnej starości miłość cielesna będzie już tylko wspomnieniem. Podobna mi się, co na ten temat pisze „iłka jak kwiat”: „(...) *z seksu możemy się cieszyć nie tylko jako młodzi małżonkowie, ale również w późnej starości*.”, argumentując to słowami z św. Pawła „*Nie strońcie od współżycia z sobą, chyba że za wspólną zgodą do pewnego czasu, aby oddać się modlitwie, a potem znów podejmujcie współżycie* (...)”, i jeszcze mocniej akcentując słowami Kaznodziei Salomona „*po wszystkie dni twego bytowania*”, dochodząc do konkluzji: „*A zatem w Bożym planie seks ma dawać radość małżonkom w każdym wieku*.”. W wierszu *Życzenie* napisałem:

*mając dziewięćdziesiąt lat umrzeć młodo
obok nagiej kobiety nad ranem*

Niech to będzie odpowiedź na więdnące ciało i skórę. Nie, nie jest to próba zakusów na nieśmiertelność. To tylko „*po wszystkie dni twego bytowania*”.

Przed słowami cytowanymi przez „iłkę jak kwiat” i tu powtórzonymi św. Pawła są następujące: „*Mąż niechaj oddaje żonie, co jej się należy, podobnie i żona mężowi. Nie żona rozporządza własnym ciałem, lecz mąż; podobnie nie mąż rozporządza własnym ciałem, lecz żona*”. To najkrótszy, a zarazem najbardziej

treściwy i jednoznaczny „podręcznik” miłości seksualnej, jaki zdarzyło mi się czytać. Mamy w zasadzie tu wszystko, czym winien kierować się człowiek, aby będąc przed Sądem Ostatecznym (tu nawiązując do pierwszej części eseju), nie usłyszeć słów: *„byłem głodny, a nie daliście mi jeść/ byłem spragniony, a nie daliście mi pić/ (...)”*. Pierwsze zdanie nawołuje do miłości cielesnej, drugie natomiast sygnalizuje, pisząc najkrócej, w jaki sposób powinno realizować się to w działaniu. I to właśnie to drugie zdanie, a właściwie jego nieznamość, jest jak świat światem powodem destrukcyjnych rezultatów pojmowania miłości szczęśliwej. Zwróćmy uwagę, że słowa *„Nie żona rozporządza własnym ciałem, lecz mąż; podobnie nie mąż rozporządza własnym ciałem, lecz żona”* całkowicie wykluczają obecność ego jej i jego. W ich załączku kryje się wzajemna pokora wobec siebie, wobec partnera i partnerki ciała, a jednocześnie wynikający stąd nakaz rozporządzania. Rozporządzać to znaczy działać i powodować działanie, które temu rozporządzeniu jest przynależne. Działać bez udziału własnego „ja”, które z uwagi na zapatrzenie w siebie częstokroć potrafi powiedzieć – nie – tym, czy innym sposobom realizacji miłości cielesnej, bowiem nie jest to zgodne z tym, co ego pomyślało w tym aspekcie. Obraz wymarzony, wymyślony przez „ja” jest niezgodny z tym, który daje partner, czy partnerka; tak jakbyśmy to my byli panami swych ciał, gdy w grę wchodzi seks między kobietą i mężczyzną. Twoje ciało nie jest twoim ciałem, bowiem – jak pisze św. Paweł – jest we władaniu żony i twoje ciało nie jest twoim, gdyż rozporządza nim mąż. Ależ to zamach na naszą wolność! – krzyknie on czy ona – to ja decyduję o moim ciecie, takie jest moje prawo. Dziś zbyt często szafuje się słowem „wolność” i to we wszystkich przejawach życia, wraz z tym intymnym. A tu właśnie, paradoksalnie, jest ono jak najbardziej na miejscu. Bo cóż tu ono oznacza? Dobrowolny związek między kobietą i mężczyzną spowodowany miłością, a ta przede wszystkim wymaga pokory i ujarzmięcia własnego „ja”. Kto tego nie rozumie, nigdy nie zazna miłości szczęśliwej. „Ja” oprócz tego,

że chce władać nami, stara się również zawładnąć osobą partnera czy partnerki, a władza to siła, która dzieje się w sprzeczności z miłością i koło się zamyka. Dążenia ego nigdy nie przyniosą satysfakcjonujących rezultatów, gdyż na siłę poprzez pożądanie budowane w rezultacie poprowadzą w prostej linii do cierpienia i to zarówno i jednakowo dla obojga. Oprawca staje się ofiarą i odwrotnie. Pozorna ofiara jest oprawcą. Tylko wychylenie na zewnątrz, popatrzenie na siebie, parafrazując wers Miłosza z wiersza *Miłość*, jak na obce nam rzeczy, pozwala na wydobycie z siebie takich pokładów pokory, które pozwolą powiedzieć *„Nie żona rozporządza własnym ciałem, lecz mąż; podobnie nie mąż rozporządza własnym ciałem, lecz żona”*. I wtedy nie jest to wyraz zniewolenia, gdyż wzajemna pokora je znosi. Pokora, która powoduje że *„Na co natknie się twoja ręka, abyś to zrobił, to zrób to według swej możliwości (...)”*, jak napisał Kaznodzieja Salomon. A dlaczego? Bo oprócz tego, że będzie to obrazem miłości szczęśliwej, dającej wzajemną przyjemność i radość, to również *„(...) bo w krainie umarłych, do której idziesz, nie ma ani działania, ani zmysłów, ani poznania, ani mądrości”*. I ona to wobec siebie nawzajem pozwala, aby na skutek „ja” nie zwiędła miłość cielesna do późnej starości.

„Choć Pieśń nad Pieśniami była w ciągu wieków najczęściej odczytywana w sposób alegoryczny, jako opis miłości Jahwe do Izraela, bądź Chrystusa do Kościoła, to współcześni egzegeci są zdania, że o wiele trafniejszym jest odczytywanie jej w sposób dosłowny, jako zbioru pieśni miłosnych, opiewających miłość między kobietą i mężczyzną – jedno z dóbr, jakimi Stwórca obdarował człowieka” pisze „iwka_jak kwiat” uzasadniając, że seks to Boży dar, którym człowiek powinien się cieszyć. A zatem erotyk w łonie kanonu Pisma Świętego. Tym niemniej należy o tym słów kilka. Do dziś nie wiadomo i pewnie wiadomym nie będzie, dlaczego on się tam znalazł. Jedno jest pewne: zrodził swą obecnością wiele kontrowersji, a tym samym i interpretacji. Bo jakże to rzecz o miłości cielesnej w świętych księgach i to jeszcze ani raz

nie jest tam wymienione imię Boga. W kontekście tego, co powiedzieliśmy wcześniej, wydaje się być ów problem wtórnym. Lecz warto spojrzeć na zagadnienie, by zauważyć do czego zdolna jest myśl ludzka. We wstępie do utworu w *Biblii Tysiąclecia* (wydanie trzecie, poprawione, 1980 r.) czytamy: „Przedmiotem *Pieśni nad pieśniami* nie jest ludzkie małżeństwo ani historyczne, ani idealne. Suponuje ona jednak rdzenną czystość miłości oblubieniczej i małżeńskiej, bo inaczej nie mogłaby ona być symbolem wzajemnej miłości Chrystusa i Kościoła. Oblubieniec z Pnp, jako symbol Boga, nie wykazuje niedoskonałości ani rozwoju, w przeciwieństwie do Oblubienicy, która nie jest bez pewnych słabości i która dojrzewa. W porównaniu z teologią nawrócenia podawaną przez proroków, w Pnp silniej zaznaczony jest czynnik osobistego wysiłku człowieka i współpracy woli z łaską.” W *Pieśni czwartej* oblubienica tak opisuje oblubienca:

*Miły mój śnieżnobiały i rumiany,
znakomity spośród tysięcy.
Głowa jego – najczystsze złoto,
kędziory jego włosów jak gałązki palm,
czarne jak kruk*

Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób się to dzieje, że symbol Boga może być przedstawiany jako „znakomity spośród tysięcy”. Przecież według religii chrześcijańskiej Bóg jest jeden. Już sam opis postaci, jego głowy i włosów może, od biedy, być wizją oblubienicy, chociaż i jest, to rodzi niedowierzanie. Podobnie oblubieniec w *Pieśni piątej* zwraca się do ukochanej:

*Tak! Piersi twe niech (mi) będą jako grona
winne,
a tchnienie twe jak zapach jabłek.
Usta twoje jak wino wyborne,
które spływa mi po podniebieniu,
zwilżając wargi i zęby.*

Zmysłowość tego opisu wskazuje na czysty erotyzm. Oczywiście, skoro miłość cielesna jest Bożym darem, to i On musi znać jej smak. Nie

to zatem powinno powodować opór, a wers „a tchnienie twe jak zapach jabłek”. Skoro Bóg jest stwórcą wszystkiego, tchnął życie we wszystko, co istnieje, to jak to możliwe, że zachwyca się tchnieniem wydobywanym przez Oblubienicę? To by wskazywało na czynienie zachwyty nad własnym stworzeniem, a w rezultacie na nic innego tylko – pychę. Niezbadane są wyroki boskie, można by pokusić się o żart, ale tu on mi przypomina zachwyt autora nad własnym wierszem. Mój przyjaciel, krytyk literacki rzekł kiedyś na jednym ze spotkań literackich: „tylko grafomani umierają szczęśliwi”. Jest w tym duża doza racji. Takich przykładów w *Pieśni nad pieśniami* można by przytoczyć wiele. Jedno natomiast wydaje mi się z przytoczonego fragmentu *Wstępu* być istotne, chociaż chyba nie do końca zamierzone. To zwrócenie uwagi na niedoskonałą miłość Oblubienicy w słowach: „(...), która nie jest bez pewnych słabości i która dojrzewa.” Przy czym trudno się zgodzić z tym, że jest ich pozbawiony Oblubieniec. Nie jest prawdą, że on „(...) nie wykazuje niedoskonałości, ani rozwoju (...)”. Gdyby tak było, nie spotkaliby się ponownie. Chodzi tu o scenę z *Pieśni czwartej*:

*Ja śpię, lecz serce me czuwa:
Cicho! Oto miły mój puka!
„Otwórz mi, siostró moja, przyjaciółko moja,
gałąbko moja, ty moja nieskalana,
bo pełna rosy ma głowa
i kędziory me – kropli nocy”
„Suknię z siebie zdjęłam,
mam więc znów ją wkładać?
Stopy umyłam,
mam więc znów je brudzić?”
Ukochany mój przez otwór włożył rękę swą,
a serce me zadrżało z jego powodu.
Wstałam, aby otworzyć miłemu memu,
(...)
- na uchwyt zasuw.
Otworzyłam ukochanemu memu,
lecz ukochany mój już odszedł i znikł;*

A w rezultacie jest tak, jak czytamy w zakończeniu *Pieśni piątej*:

*na cóż budzić ze snu, na cóż rozbudzać
umiłowaną
póki nie zechce sama?*

co jasno wskazuje na rozwój, że się tak wyrażę, osobowości miłości cielesnej oblubieńca. Ten zwrot w podobnych słowach pojawia się jeszcze wcześniej, w zakończeniu pieśni drugiej i pierwszej. I to istotne: „*póki nie zechce sama*”. Czas ziemski mija i nie dochodzi do zbliżenia między nimi takiego, które jest wyrazem miłości szczęśliwej. Przypomina to w dużym sensie moją interpretację przypowieści o robotnikach w winnicy, gdzie ci, którzy pracowali od trzeciej, szóstej, albo jeszcze krócej, otrzymali taką samą zapłatę od gospodarza w postaci jednego denara miłości szczęśliwej, jak ci pracujący najdłużej. Denar ten pojawia się w pieśni ostatniej, szóstej.

Bo wszystko do niej dzieje się w atmosferze snu „*nie budźcie ze snu, nie rozbudzajcie ukochanej, / póki nie zechce sama*”, a więc rzeczywistości nie rzeczywistej. Trzeba dopowiedzieć, wiecznej. Tę nadbudowę tworzą również zapisy osób wypowiadających poszczególne kwestie. Ten dłuższy, cytowany fragment mówi przeciw Oblubienica, a poza nią jako osoby występują również Oblubieniec, Chór pierwszy i Chór drugi. To wskazuje, że alegoryczna interpretacja ma znaczenie w tym sensie, iż dzieje się to wszystko, że się tak brzydko wyrażę, w teatrze Boga. W tym sensie ma rację Czesław Miłosz, znakomity tłumacz z oryginału, który wskazał, że *Pieśń nad pieśniami* należy czytać warstwowo. Janusz Pasierb, poeta i ksiądz katolicki, napisał z kolei, że „*Bóg jest zakochanym poetą, układa o każdym z nas niepojętą dla reszty Pieśń nad pieśniami*”. Do tych słów nic dodać, nic ująć. Natomiast postrzeganie czysto alegoryczne, które przedstawia *Wstęp* do tej Księgi zawarty w Biblii Tysiąclecia, nie wydaje mi się być trafny. A zadział się z uwagi na to, iż wcześniej nastąpiła jej kanonizacja, a dopiero później przystąpiono do prac nad jej odczyty-

waniem.

W *Pieśni szóstej*, czyli tej, gdy do głosu dochodzi już denar miłości szczęśliwej, bowiem Oblubieniec mówi: „*Pod jabłonią obudziłem cię; / tam poczęła cię matka twoja, / tam poczęła cię ta, co cię zrodziła*”, Oblubienica natomiast:

*Położ mię jak pieczęć na twoim sercu,
jak pieczęć na twoim ramieniu,
bo jak śmierć potężna jest miłość,
a zazdrość jej nieprzejeđnana jak Szeol*

Otóż należy tu zwrócić uwagę na równoczesność zbudzenia ze snu ze słowami mówiącymi o potędze miłości, ale w kontekście zazdrości, która jest „*(...) nieprzejeđnana jak Szeol*”. Szeol to w Starym Testamencie kraina wszystkich zmarłych, bez rozróżnienia czy doznają szczęścia, czy kary. To właśnie narodzona świadomość, że uczucie miłowania łączy się nieodzownie z zazdrością, jest powodem, dla którego możemy tu mówić o autentycznym przebudzeniu się miłości szczęśliwej. Dopóki zazdrość, która jest motorem poczucia niesprawiedliwości, co wykazałem w pierwszej części eseju interpretując przypowieść o robotnikach w winnicy, nie będzie stłumiona, lepiej – nie nastąpi jej dezintegracja w takim stopniu, by nie zagrażała uczuciu miłości, dopóty denar szczęścia nie stanie się powodem przyjemności i radości. Zauważmy bowiem, pomimo że cała *Pieśń nad pieśniami* jest jednym wielkim poematem opiewającym cielesność i duchowość uczucia między dwojgiem, nigdzie wcześniej o zazdrości nie ma mowy. To znaczy ona występuje, lecz nie jest przez nich uświadomiona i to w takim stopniu, aby jasno powiedzieć o niej, że jest „*(...) nieprzejeđnana jak Szeol*”. W teatrze Boga pojawia się w *Pieśni szóstej*, ostatniej, gdzie następuje przebudzenie.

Przy tym akcie przebudzenia należy, sądzę, zwrócić uwagę na to, że dzieje się to pod jabłonią, a więc jednym z drzew Raju, a także na wersy, które z pozoru wydają się powtórzeniem: „*tam poczęła cię matka twoja, / tam poczęła cię ta, co cię zrodziła*”. Bliskość jabłoni jasno wskazuje na pokusę Grzechu Pierworodnego.

Czesław Miłosz, starając się dociec jego istoty, wskazał właśnie: po pierwsze na świadomość, po drugie na zazdrość. Ta pokusa jest wciąż obecna i od naszej woli w połączeniu z łaską (tu ma rację autor *Wstępu do Biblii Tysiąclecia*, którego fragment wcześniej cytowałem), zależy, czy dręczyć nas będzie poczucie niesprawiedliwości, czy Szeol okaże się nieprzejdny. Co do powtórzenia: każdy z wersów mówi w istocie o czym innym. Pierwszy przypomina, że zazdrość jest wieczna (również pod jabłonią urodziła się oblubienica, tam rodzi się każdy człowiek), drugi natomiast stwierdza o poczęciu przez miłość w sensie przebudzenia, które ową zazdrość ma na uwadze jako śmiertelne dla tegoż uczucia zagrożenie. Powtórzę: zazdrość, która daje poczucie niesprawiedliwości, a tym samym własne „ja” rekompensuje sobie to w postaci zanurzania się w czasowość ziemską, tam gdzie jest czas przeszły i przyszły. Myśli, te anioły śmierci, kierują się ku nim, gdyż teraz okazuje się być w naszym mniemaniu nie godne uwagi, ponieważ niesprawiedliwe.

3. Dopisek

*myśli o Tobie nie kojarzą marzeń
wspomnieniom umykam w zacisze ramion
mam wrażenie że nie dotyka mnie czas*

*moje ciało pachnie Twoim ciałem
przez pomyłkę ubrałem stringi
rozbawiłem tym wszystkie dobre anioły*

*nasza sypialnia jest ogrodem
skóra z węża zawisła na ścianie
przypomina że tu tylko teraz*

*pożądanie nie doskwiera głowie
jabłko toczy się i toczy
w nieobecny cel
rozkosz duszy i ciała
cichy słownik mało znanych słów
tantryczny smak zapach i dotyk*

To *Zdania o miłości szczęśliwej* dedykowane żonie, że pozwolę sobie na odrobinę

prywaty. Niepokój, w świetle wcześniejszych ustaleń, może tu budzić ostatni wers, a dokładniej jedno słówko „tantryczny” wywodzące się z hinduizmu; tantryzm – tradycja duchowego rozwoju oparta na filozofii monistycznej, uznającej, że wszystko co istnieje, stanowi manifestację jednego bytu. W buddyzmie jest systemem praktyk umożliwiających bezpośrednie doświadczenie natury rzeczywistości. Panteizm jako jedna z odmian monizmu mówi o tym, że natura wszelkiego bytu jest jednorodna, duchowo-materialna. Mówi o absolicie, uniwersum, co zdaje się być w jawnej sprzeczności z nauką chrześcijańską, katolicką, gdzie Bóg jest też Stworzycielem wszystkich rzeczy i nie ma możliwości za życia ziemskiego jego całkowitego doznania. Przeszkadza nam w tym nasze ego, z którym do końca naszych dni będziemy się borykać. To zmusza nas do pokory i skruchy. Stąd też z dużą dozą niedowierzania, czy wręcz niezgody przyjmie prawdziwy chrześcijanin i wers „*skóra z węża zawisła na ścianie*”. Wiersz jest mojego autorstwa, zatem czym prędzej spieszę donieść, że podyktował mi go mój daimonion. W tym sensie nie miałem na niego wpływu. Czy tym sposobem jest on pomiotem diabła? Tego nie wiem, jak i ty, chrześcijaninie, nie możesz powiedzieć o całkowitej jego dyskredytacji. Ze słówkiem „tantryczny”, w kontekście tegoż eseju i wiersza, nieodłącznie kojarzy się słowo – seks. Seks tantryczny? Nie. Przyznam, że nieco śmieszają mnie wszystkie te podręczniki, poradniki, które opisują sposoby i pozycje, w jakich to ponoć uzyskuje się wielogodzinne współżycie seksualne doprowadzające nie tylko do cielesnego, ale i duchowego zespolenia z partnerem czy partnerką. Punkt po punkcie powiedziane, co i jak należy robić. Po prostu nie mogę dać temu wiary. Skąd zatem te wtrącenia? A gdybym napisał zamiast „*skóra z węża zawisła na ścianie*” na przykład tak: „*wąż wiję się pod łóżem*”, to wers następny „*przypomina że tu tylko teraz*” nie miałby żadnego sensu, gdyż on boi się naszego teraz, przypomina

mu bowiem wiecznie trwającą aktualność, czyli Boga. Dlaczego więc nie napisać: wąż czmychnął? Ależ on nigdzie się nie wybiera, a wspomniany wers na jego obecność wskazuje jako pamięć o tym, ale nie myśl. Co do słówka „tantryczny” jeszcze. Mam tu na uwadze jedność duszy i ciała, która jest możliwa jeżeli mamy mówić o miłości szczęśliwej. Kto do łóżka z partnerem czy partnerką wybiera się z myślami, nawet tymi, by zdawało się pozytywnymi, z góry narażony jest na tychże myśli figle. Miłość bowiem nie zaprzecza myśli, lecz myśl potrafi zaprzeczyć. Zatem warto tu raz jeszcze powtórzyć słowa Kaznodziei Salomona: „*Na co natknie się twoja ręka, abyś to zrobić, to zrób to według swej możliwości (...)*”. Nie oznacza to jednak, by oddać się spontaniczności, gdyż ta opleciona nicią pożądania ponownie wprowadzi nas w krainę naszego ego, a w rezultacie do cierpienia. Chodzi o uzyskanie pewnego stanu umysłu, który nie wiedzie do kontemplacji, a wręcz przeciwnie jest motorem do takiego właśnie natykania się naszej ręki na działanie. To słuchanie tchnienia, które pozwala aby smak, zapach i dotyk były z winnicy Pana. To wtedy dusza nie śpi i ciało nie jest spragnione, i głodne. Przypomnijmy raz jeszcze słowa z Sądu Ostatecznego: „*Bo byłem głodny, a nie daliście mi jeść;/ byłem spragniony, a nie daliście mi pić (...)*” Co było tego powodem? Nasze „ja”, brak pokory wobec tego co zewnętrzne, zapomnienie lub nieświadomość tego, że nasze ciało nie jest naszym ciałem, że „*Nie żona rozporządza własnym ciałem, lecz mąż;/ podobnie nie mąż rozporządza własnym ciałem, lecz żona*”, jak pisał św. Paweł. Jeżeli tego nie rozumiemy, to znaczy, że uwikłani jesteśmy w złym czasie. Tam, gdzie przyszłość i przeszłość wiodą prym, tak jakby od nas były zależne. Zapominając, że jesteśmy tylko istotami stworzonymi.

Janusz Orlikowski

Janusz Orlikowski – urodził się 6 maja 1960 roku w Częstochowie. Poeta, eseista, zajmuje się również krytyką literacką. Nauczyciel matematyki, pracuje w Publicznym Gimnazjum im. Jana Pawła II w Dobrodzieniu. Ukończył studia na Politechnice Częstochowskiej z zakresu mechaniki. Nagrody: Dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Częstochowie (1989 r.), I miejsce za spektakl *Postanie do Nadwrażliwych* w Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów i Kabaretów w Iławie (1989), RSTK *Artur* za krytykę literacką (1991), *Srebrna Róża Dobrodzińska* nadana przez Radę Miejską w Dobrodzieniu (2004), Nagroda Marszałka Województwa Opolskiego (2004), Nagroda Starosty Oleskiego *Róża Powiatu* (2007). Założyciel (1993 r.) i redaktor naczelny pisma samorządu i mieszkańców *Echo Dobrodzienia i Okolic*. Stale współpracuje z ogólnopolskim miesięcznikiem literackim *Akant* oraz miesięcznikiem *Gazeta Kulturalna*. Wiersze, eseje i recenzje publikował poza tym m. in. w: *Twórczości, Życiu Literackim, Radoskiej, Obrzeżach, Integracjach, Poezji Dzisiaj, Głosie Nauczycielskim, Aleje 3, Lektura, Własnym Głosem, Okolicy Poetów, Nad Wartą, Siódmej Prowincji, Zielonym Sztandarze, Śladzie, Horyzontach, Forum Myśli Wolnej, Roczniku Krakowskiego Oddziału ZLP „Proza, proza, proza..”, Literacie Krakowskim, Nihil Novi, Magdalence Literackiej, Koniec wieku, Świadectwie, Znaj, Prowincji*.

Publikacje książkowe (wiersze): *Monolog niepokorny* (arkusz poetycki), (Częstochowa, 1988); *Srebrzysty żal* (piosenki poetyckie), (Częstochowa, 1990); *Suknia rzucona w potok krwi* (wiersze), (Częstochowa, 1992); *Nierozumny diament* (wiersze), (Częstochowa, 1993); *Geometria światła* (wiersze), (Kraków, 1994); *Uśmiech za słowo* (wiersze), (Kraków, 1996); *Martwa natura z pętelką* (wiersze), (Kraków, 2000); *Wiersze wybrane* (Bydgoszcz, 2003); *Nasz siwulek świat*, (wiersze), (Bydgoszcz, 2005); *Piękno, droga i czas*, (wiersze), (Bydgoszcz, 2010);

Publikacje książkowe (eseje i szkice): *Radość i dyskoteka*, (Kraków, 1998); *Status poety*, (Bydgoszcz, 2008); *Gwałt na prawdzie*, (Bydgoszcz, 2014).

Członek Związku Literatów Polskich od 1993 r. Autor prawie trzystu esejów i recenzji opublikowanych w pismach literackich na terenie kraju. Jego wiersze tłumaczone były na język serbski.

Barbara Strzelbicka

ISTOTNA PRZEZROCZYSTOŚĆ. O KONDYCJI CZŁOWIEKA POCZĄTKU TRZECIEGO TYSIĄCLECIA



Foto: B. Strzelbicka

Hamlet jest klasyczną pozycją dramatyczną, dlatego często zapominamy, iż jest to znakomity tekst, opowiadający o ludzkich namiętnościach, a przedstawione zdarzenia stanowią jedynie tło dla ukazania postaw bohaterów. Geniusz Szekspira polegał nie tylko na potędze słowa, ale także na umiejętności konstruowania sytuacji, w których namiętności mogą się ujawnić, a postawy zyskać uzasadnienie. Motywacje Szekspirowskich bohaterów są czytelne i zrozumiałe nawet po upływie ponad 400 lat od powstania sztuki. Szekspir przedstawia ludzi pełnowymiarowych, ich charakterystyka sięga istoty człowieczeństwa – dlatego dzieła nie tracą na aktualności i teatry ciągle do nich sięgają, a rangę aktora często ocenia się na podstawie tego, że zagrał *Hamleta*.

André Hübner-Ochodlo zrezygnował z wystawienia całego dramatu, wydobywając z niego wątki najbardziej dla swojej wizji istotne, tworząc mimo to spójny spektakl. Reżyser

zdecydował się na tłumaczenie Jerzego S. Sity, jedno ze współczesnych, choć nie najnowsze. W naszej kulturze najsilniej zakorzenione są cytaty z tłumaczenia Józefa Paszkowskiego, których nieobecność, podobnie jak inne zabiegi reżyserskie, pozbawiły przedstawienie koturnowości, odjęły mu rangę obowiązkowej pozycji lekturowej, często szkodzącej tekstom. Przyznanie bowiem, że *Hamlet* albo *Pan Tadeusz* są świetnymi książkami, budzi zwykle zdziwienie i niedowierzanie słuchaczy. Z czego to wynika? Może z tego, co wyśmiewał Gombrowicz: z systemu edukacji, wpajającego, że *Słowacki wielkim poetą był!*, a może ze zwyczajnej przekory albo z łatwości ulegania schematom myślowym.

Hamlet to dramat o ludzkich namiętnościach, które pomimo upływu lat nie zmieniają się: o miłości i o władzy. Ukazanie tego w przedstawieniu nie jest niczym odkrywczym, podobnie jak sięgnięcie do żelaznej pozycji repertuarowej – chyba że ma

się pomysł na jej świeże odczytanie. André Hübner-Ochodlo ten pomysł miał. Nowatorstwo jego adaptacji polega między innymi na wydobyciu pewnego wątku, który jest tak oczywisty, że aż niedostrzegalny: to wątek przemocy, która ściśle związana jest z władzą – nie tylko polityczną, bo ten jej wymiar został w adaptacji wyraźnie osłabiony na korzyść władzy, wynikającej z zależności emocjonalnej. Dramat ukazuje, że przemoc jest szaleństwem, doprowadza ludzi do cierpienia, do obłądę, a w końcu do unicestwienia wszystkich, wciągniętych w jej maszynę, bez względu na to, czy są katami, czy ofiarami. Szekspir nie docieka źródeł przemocy, uznając zapewne, iż jest ona składnikiem ludzkiej natury, skupia się natomiast na jej skutkach i poddaje je widzom pod rozwagę. W tym dramacie nawet miłość nie chroni przed przemocą, a wręcz przeciwnie: ten, kto kocha, jako odsłonięty i bezbronny, jest najbardziej narażony na przemoc.

Kluczową postacią stał się w spektaklu Klaudiusz, grany przez Adama Hutyrę, zaś punktem kulminacyjnym przedstawienia jest jego wstrząsający monolog – monolog człowieka, który z zawiści wobec brata odebrał mu życie, by przejąć jego władzę i kobietę. Czytelnym staje się, że to czyny Klaudiusza są przyczyną akcji i nadal pobudzają innych, w tym zwłaszcza Hamleta, do działania. Jest to nie tylko zasługa tekstu, ale przede wszystkim dojrzałego kunsztu aktorskiego Adama Hutry, któremu znakomicie partneruje Teresa Dzielska, wspaniała w scenie z Hamletem, kiedy dociera do niej wiedza o złu, na które dała przyzwolenie. Martyna Kowalik jako Ofelia jest prawdziwa – ona nie gra, lecz jest Ofelią, cała oddaje się postaci, jest jak ona wzruszająca i bezbronna. Michał Kula Grabarza zagrał wręcz koncertowo, może dlatego, że grał za Grabarza dwóch... Pomysł, by rolę Ducha powierzyć aktorowi grającemu rolę jego brata, zabójcy i następcy, nasuwa skojarzenia psychoanalityczne, która to interpretacja nie jest niedorzeczna w przypadku tego przedstawienia. Dramaty namiętności rozgrywają się wszak

nie we wnętrzach domów, lecz w ludzkich głowach, ale to materiał na osobną analizę.

Wzbogacenie postaci Hamleta o cechy artysty nie wydaje się być nadużyciem wobec oryginalnego tekstu, Królewicz Duński bowiem zdradza objawy nieprzystosowania do rzeczywistości i, chciałoby się żartobliwie dodać, skłonność do wygłaszania monologów, co nadaje mu rysy artysty romantycznego. Maciej Półtorak stworzył postać niejednoznaczną, neurotyczną, znacznie odbiegającą od szkolnych charakterystyk. Czy nie można zgodzić się z taką kreacją, zważywszy, iż Hamlet, owładnięty pragnieniem zemsty, zupełnie nie liczy się z uczuciami innych ludzi, w tym zwłaszcza Ofelii, doprowadzając ją najpierw do obłądę, a potem do śmierci?

Muzyczna aranżacja monologów ma na celu przybliżenie postaci tytułowego bohatera i jego dylematów współczesnym widzom, zwłaszcza młodym. Tekst zyskuje walor nowocześnieści, zwłaszcza że aktor jest sprawny wokalnie. Dodatkowym zabiegiem jest umieszczenie występów Hamleta na dobudowanym do proscenium podium, dającym się oddzielić światłem od sceny, co z arii czyni rodzaj kontrpunktu dla dziejących się wydarzeń. Na pewno jest to pomysł ciekawy, zwłaszcza że monologu są dobrze znane i wykonywane były po wielokroć przez najznakomitszych aktorów, zatem trudno byłoby odnaleźć w nich coś nowego i porywającego... Poza tym muzyka angażuje dwie półkule mózgowe, a sam tekst tylko jedną.

Interesująca jest scenografia spektaklu. Tło stanowi lśniąca ściana, zmieniająca kolory wraz z rozwojem wydarzeń. Na początku jest czarna jak węgiel, potem przez chwilę zielona, by na koniec rozżarzyć się czerwienią. W ścianie są dwa okna – jak dwoje oczu, ściana jest też ekranem dla projekcji obrazów, filmowanych przez kamerę, której operatorem jest Horacy, przyjaciel Hamleta, postać tyle ważna, co nieookręślona w dramacie, co z powodzeniem wykorzystał reżyser. Hamlet przed śmiercią wypowiada bowiem te oto

słowa (przekł. M. Słomczyńskiego): *Horatio, zmarłem, lecz ty, żyjąc nadal, /Przekaż rzecz o mnie i o mojej sprawie / Uczciwie wszystkim, którzy nie pojmują*. Reżyser słowa te potraktował dosłownie i Horacego uczynił świadkiem wydarzeń oraz kronikarzem – nowoczesnym, bo wyposażonym w kamerę.

Centralne miejsce sceny zajmuje konstrukcja z pleksiglasu i metalu. Pełni ona wiele funkcji: zastępuje wyposażenie wnętrz, rekwizyty, elementy plenerowe, pozwala na uzyskiwanie efektów dźwiękowych, wizualnych, pozwala uwypuklić ruchy, gesty, mimikę i kadrować obrazy. Konstrukcja pozwala na zilustrowanie i podkreślenie relacji między postaciami dramatu, ukazując je w układzie przestrzennym, co jest czytelne zwłaszcza w odniesieniu do dominacji i podporządkowania. Ten element scenografii jest dosłownie i w przenośni przezroczysty, a jednocześnie nad wyraz istotny i wieloznaczny. Przezroczystość bowiem nie oznacza nieistnienia, co wydają się podkreślać szklane płaszczyzny. Niewidoczne konstrukcje okazują się być nad wyraz przydatne i skuteczne – podobnie jak skuteczne bywają niewidoczne, zawoalowane, podstępne ludzkie działania. Konstrukcja wywołuje także skojarzenia z labiryntem jako metaforą psychicznego uwikłania. Próbowanie znalezienia wyjścia towarzyszą silne uczucia: złość, strach, bezsilność, rozpacz. To istotny *labirynt namiętności!*

Scenografię można zatem zinterpretować metaforycznie jako niewidzialne uwarunkowania międzyludzkich relacji. Podobnie *przezroczyste* i w niewielkim stopniu charakteryzujące postaci są kostiumy, w większości białe, wyróżniające czernią Hamleta, czasem grające kolorem. Ze scenografią i kostiumami współgra ruch sceniczny, schematyczny w scenach, kiedy istotny nie jest, a rozbudowany i zróżnicowany w momentach istotnych. Ascetyczna scenografia sprawia, że uwagę widza zajmuje mistrzowskie słowo Szekspira i gra aktorów. Tym większa staje się odpowiedzialność aktorów, zdanych jedynie na własny

talent i umiejętności.

Teatr w teatrze, czyli przedstawienie grane przez wędrownych aktorów, reżyser ograniczył w zasadzie do pokazania jego recepcji przez postaci dramatu, każąc im zająć miejsca na widowni, gdzie tymczasem trwał trzeci spektakl. Niedzielny wieczór to dla wielu osób dobry czas na wizytę w teatrze. Widownia była pełna, wniesiono nawet dostawki. Dużo było ludzi młodych, co napawa optymizmem. Nie wszystkie telefony komórkowe zostały wyłączone, niektóre wyciszone tylko, słychać było vibracje i widać światełka ekranów, a w czasie przerwy nerwowe sprawdzanie wiadomości. Spektakl teatralny najwyraźniej nie jest powodem, dla którego warto wyłączyć telefon. Nie jest też dla wielu osób powodem, by ubrać się wyjątkowo. Szkoda! Wkrótce zapewne znikną w mroku przeszłości wieczorowe stroje, skoro nie znajdują zastosowania, zniknie więc ważny sposób okazywania szacunku egzystencji. Co zostanie? Współczesnemu człowiekowi coraz trudniej przychodzi skupienie, być może dlatego, że wielu nie docenia jego wartości i nie potrzebuje go. Cisza na widowni, ciemność i czerń dobrze służą skupieniu, można wtedy uważnie śledzić i analizować to, co jest spektaklem. Widownia powinna być *przezroczysta*.

Przedstawienie jest bardzo dobre, zrealizowane solidnie, z widoczną dbałością o szczegóły, spójne artystycznie. Jego nowatorstwo służy wydobyciu z tekstu treści uniwersalnych, a nie epatowaniu odbiorców. Śmiałość sceny erotycznej nie są chwytem dla przyciągnięcia widzów, podobnie jak nagość Ofelii – te i inne zabiegi są artystycznie uzasadnione. Włączenie do spektaklu muzyki, której kompozytorem jest Adam Źuchowski, pełniej angażuje nie tylko aktorów, ale także widzów. Dramat dotyka widza głęboko i istotnie, ukazuje człowieka jako istotę złożoną – każdy z nas odnajdzie w sobie zarówno porywczego Hamleta, jak i delikatną Ofelię, żadnego władzy i sukcesów Klaudiusza oraz Gertrudę, której imponuje siła kochanka. Mamy zadatki na bohaterów i na zdrajców, na ofiary i na katów – to pozostaje niezmiennie.

Istotą człowieczeństwa jest to, że jesteśmy emocjonalni i rozumni jednocześnie i od nas zależy, która strona naszej natury dojdzie do głosu i zyska nad nami władzę. André Hübner-Ochodlo próbuje wskazać sposób rozwiązania emocjonalnego zapętlenia, w którym znaleźli

się bohaterowie Szekspirowskiego dramatu. Żeby ocenić, na ile reżyserowi się to udało – trzeba wybrać się do teatru – naprawdę warto!

HAMLET – spektakl zrealizowany w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie



Foto: B. Strzelbicka

Premiera – 13 września 2014 r.
reż. André Hübner-Ochodlo

Obsada:

Hamlet – Maciej Półtorak,
Klaudiusz, król Danii i Duch Ojca Hamleta – Adam Hutyra,
Gertruda, królowa – Teresa Dzielska,
Poloniusz – Piotr Machalica,
Ofelia – Martyna Kowalik (gościnnie),
Laertes – Daniel Misiewicz (gościnnie),
Ozyryk, Rozenkrantz – Waldemar Cudzik,
Guildenstern, Duchowny – Bartosz Kopeć,
Horacy – Adam Machalica (gościnnie),
Grabarz – Michał Kula

Asystent reżysera – Waldemar Cudzik

Muzyka – Adam Żuchowski

Kostiumy – Aleksandra Sosnowska-Krywult

Współpraca scenograficzna – Stanisław Kulczyk

Przygotowanie wokalne pieśni Ofelii – Marzena Lamch-Łoniewska

Barbara Strzelbicka

Agnieszka Złota

NIEDOCZYNY I GORZKIE OBRACHUNKI W „LUSTRACH” HENRYKA BARDIJEWSKIEGO – KILKA UWAG O KULTURZE KRYZYSU

Świat przedstawiony w zbiorze opowiadań „Lustra” Henryka Bardijewskiego to świat absurdu. Autor bowiem prezentuje rzeczywistość, która stale zmienia swój status, jest nieuchwytna i niedostępna poznaniu. Perspektywa ta wywołuje lęk przed koniecznością oswojenia świata, na którą jesteśmy skazani jako jego bywalcy. Można zaryzykować stwierdzenie, że konieczność ciągłego oswojania świata, staje się niemalże imperatywem kategoriycznym przenicowującym niewidzialnym spoiwem kanwę opowiadań. Świat trzeba oswajać, choć jest to prawie niemożliwe w realnej rzeczywistości – kreacja daje takie możliwości.

W jednym z opowiadań pada dość nieoczekiwana konstatacja: „(...) w sam środek świata zstępujesz” (*Teraz Ty*), co oznacza, idąc dalej tym tropem, że „świat nie jest taki śmieszny, przynajmniej nie cały i nie wszędzie” (*Lustra*), jak mogłoby się nam wydawać. Poddając uważnej lekturze ten zbiór opowiadań, doświadczamy pewnego zapętlenia czasoprzestrzeni, które naznacza ludzkie losy stygmatem determinizmu i od którego nie sposób się uwolnić. Odczucie owej czasoprzestrzeni najdobitniej przekazuje fragment: „(...) zamknąłeś się, Jota, coś z tego, że z resztą świata, ale się przecież zamknąłeś” (*Baszta*). Jest to jeden z ciekawszych przykładów obrazowania przestrzeni w tym zbiorze.

Bardijewski dokonuje w swoich opowiadaniach swoistych „rozrachunków inteligentnych” z rzeczywistością zastaną, przez co kluczowe stają się tzw. „niedoczyny” i „gorzkie obrachunki”. Poza tym piętnuje bezwolność, głupotę i inne przywary społeczne, ma odwagę mówić o nich wprost. Tendencje demaskatorskie obecne są choćby w rozpoznawaniu tandety, rozszyfrowywaniu matactw, które pisarz jako bystry obserwator społeczny z uporem maniaka rejestruje. Bardijewski jest niezmordowany w tropieniu, śledzeniu, pod-

glądaniu tzw. „gęby współczesności”. Na ową gębę składa się jednak kilka swoistych rysów, które uważny czytelnik odsłania niejako przy okazji autorskiej ich prezentacji. I tak na przykład: „Rynek mamy chłonny. Wszystko kupią – byle było zagraniczne” (*Moja menażeria*). Wiek XX poddany został dotkliwej i totalnej krytyce: „Pustka [...] najnowsza. Jesteśmy w XX wieku. To wiek ogromnych możliwości, od razu widać” (*Kraj bez daty urodzenia*). Chyba, że przyjmiemy, iż brak możliwości jest paradoksalnie możliwością najpełniejszą, bo jedynie możliwą. Zasługą pisarza jest aforystyczność i niebywała błyskotliwość formułowanych sądów, trafność diagnoz sytuacyjnych i mistrzostwo w posługiwaniu się ironią.

Znamienne słowa odnajdujemy w cytacie: „Dobrego czasu nie ma, pragnął chociaż dobre miejsce znaleźć, żeby złożyć poemat i rzucić światu w twarz. Niestety, świat nie jest w formie, miękki się zrobił jak kluska i przyjmuje wszystko bez oporu i bez zdziwienia, a w dodatku nie wiadomo, gdzie ma twarz. Co rzucisz, to wpadnie i śladu nie zrobi” (*Próba poematu*). Z rozważaniami tymi dość dobrze koresponduje stwierdzenie Ladislava Klimy: „świat widzialny jest jedynie łachmanem ducha (...)”¹, albo innego autora: „za dużo jest ropiejącego człowieczeństwa, by człowiek mógł rozkwitnąć. Nadbudowa jest kłamstwem, a baza opiera się na potężnym, przyprawiającym o drżenie strachu”². Świat zagubił swoją tożsamość, rozpuścił się i grzęźnie we własnym zakłamaniu, ludzie stali się nijacy i pozbawieni woli, niemal urzeczowieni jak w filmie Larsa von Triera „Melancholia”.

W świecie *pour nonsensu* przestają nas dziwić sytuacje przewrotne, takie jak choćby opis scenki, której stajemy się świadkami: „Więść

¹ L. Klima, *Jak będzie po śmierci i inne opowiadania*, tłum. Leszek Engelking, Gdańsk 2004, s. 71.

² H. Miller, *Zwrotnik Raka*, tłum. Lesław Ludwиг, 2005, s. 253.

o naszym niewidzialnym rozeszła się szeroko i wkrótce z innych miast zaczęli ludzie przyjeżdżać, żeby go nie widzieć (...) a on bezczelnieł z każdym dniem, a my z każdym dniem wstydziliśmy się coraz bardziej naszej głupiej słabości” (*Niewidzialny*). Przy czym mam wrażenie, że podlega ona – owa słabość – u Bardijewskiego zwielokrotnieniu, urasta do rangi „gęby społecznej”. Autor jednak podkreśla, że nam trzeba innej gęby – „(...) gęby społecznej, co by za nas wszystkich ryknęła” (*Opowieść o niewyparzonej gębie*). Trzeba, aby ktoś wyzwolił ludzi z niemocy i inercji intelektualnej, z głupoty i zaślepienia, przywrócił im słuch i wrażliwość na innego człowieka i zarazem na nową rzeczywistość, która stale domaga się uwagi i aktywnego zaangażowania. Przytoczona w opowiadaniu *Niewidzialny* wypowiedź świadczy o tym, że pojedynczy obywatel nie jest w stanie zostać dostrzeżonym społecznie, nawet ze swoją najdotkliwszą skargą, gdyż jest zaledwie jednostkowym, cichym głosem, który nie ma znaczenia. Żyjemy bowiem w cywilizacji krzyku, gdzie działa jedynie (a i to niepewne), argument siły, przemoc (nie tylko symboliczna), zatem przysłowiowa gęba musi być adekwatna do „ducha czasów”, aby zdołała cokolwiek wyrazić. W przeciwnym wypadku grozi jej wieczne zamilknięcie, tożsame ze zgodą na rzeczywistość zastaną. „Gęba”, o której pisze Bardijewski, jest potrzebna, a nawet konieczna, gdyż: „Prawdy do wyrąbania w oczy nzebierała się masa” (*Opowieść o niewyparzonej gębie*). Narrator zdaje się wątpić, czy kiedykolwiek znajdzie się takowa gęba, a jeśli tak, to „(...) czy będą jeszcze ludzie, którzy jej zechcą słuchać!” (*Opowieść o niewyparzonej gębie*). Bardijewski podjął tutaj niezmiernie ważny problem zmiennej amplitudy wartości w świecie XX wieku. Piętnuje on w tym krótkim fragmencie przede wszystkim głupotę ludzką i goniwę za taną sensacją, nasilającą się agresję, potęgującą się arogancję, argument siły i wstyd wynikający z braku odwagi do stanowczego sprzeciwienia się złu i wszelkim czynnikom destrukcyjnym i degradującym człowieka zagubionego w „ponowoczesności”.

Istotnym komponentem świata przedstawionego opowiadań staje się również obecność przedmiotów, które wiodą swoiste „ży-

cie osobne”. Uaktywniają się w sytuacjach najmniej oczekiwanych, przypominając swą milczącą obecność: „(...) co dzień znajdowałem świeże, młode supły” (*Sznur*), albo dalej: „Groziło nam kompletne zasznurowanie” (tamże). Zadaniem bohatera cyklu opowiadań jest przeciwdziałanie sytuacji zagrożenia i postawa aktywna, toteż nie dziwi czytelnika fakt, że powie on o sobie: „przystąpiłem do całkowitego rozsznurowania pokoju i domu” (*Sznur*). Wszelkiemu złu należy się przeciwstawić z odwagą, choćby to było zagrożenie absurdem. Trzeba zachować czujność myślową, gdyż rzeczy obdarzone są niepewnym statusem ontologicznym, stąd stała obawa przed ich niedostrzegalną ingerencją w rzeczywistość. Innym znów razem autor konstatuje: „Pograżony w beznamietnym świecie rzeczy, oszukiwałem upalne godziny tygodnia, póki nie przyszedł wieczór i ulga” (*Lato wśród natury*). Stwierdzenie na pozór mogłoby sugerować, że świat przedmiotów potrafi być naturalny, nic bardziej mylnego, bowiem może on równie dobrze uzależniać, a to również odmiana ingerencji, choć nieco mniej dostrzegalna, gdyż przebiegająca procesualnie i niemalże podskórnie. Dlatego też bohater stwierdza: „(...) potem już codziennie chodziłem do muzeum i siedziałem wśród obrazów. Dziś mogę powiedzieć, że lato spędziłem wśród natury. Co prawda martwej, ale zawsze” (*Lato wśród natury*). Dość nieoczekiwana konstatacja świadczy o odwróceniu perspektywy poznawczej, zmianie optyki i zastosowaniu żartu, przysłowiowego „mrugnięcia okiem” w stronę czytelnika. Zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja w innym opowiadaniu: „(...) naprzeciw posagu kobiety stał posąg rzeźbiarza. Stało się. Przekroczył granicę, której nie przekroczył jeszcze żaden rzeźbiarz: przeszedł na stronę kamienia” (*Rzeźbiarz*). Pojawia się tutaj polemika z mitem o *Pigmalionie i Galatei*, z tym, że to Galatea (niczym biblijna Ewa Adama) przeciąga na swoją stronę poznania. Choć po drugiej stronie doświadczamy „rzeczywistości kamienia”, piękne jest, że znów są szczęśliwi (?). Przedmioty zawłaszczają ludzi, emanują energią, która udziela się rzeczywistości przedstawionej w postaci uchwytnych „odblasków sprawczości”. Ponadto żywioł sztuczności, którym obdarzone

są rzeczy, ma większą siłę sprawczą niż ludzie, którzy stali się bezwolni i nijacy. W prozie Bardijewskiego dochodzi do wymiennej atrybucji cech pomiędzy ludźmi a przedmiotami, która wyraża się w tym, że ludzie są bezwolni i na ogół statyczni, przedmioty natomiast intensyfikują swe możliwości często zmieniając położenie, dynamicznie wkraczają w sfery dotąd im niedostępne. Proporcjonalnie ludzie zostają niejako na własne życzenie wypędzeni z obszarów zawłaszczonych przez ekspansję rzeczy.

Interesujący staje się kierunek (wektor) dokonujących się niepostrzeżenie zmian, o którym bohater opowiadań wspomina jakby mimochodem. Wyraża się on najpełniej w stwierdzeniu: „ze snu do rzeczywistości” (*Baszta*). Tylko bowiem wówczas, mając świadomość zarysowanej perspektywy można właściwie, trafnie odczytać intencje poznawczo-dydaktyczne autora zbioru. Rzeczywistość *pour nonsensu* wpisana w dziedzinę snu staje się łatwiejsza „do przełknięcia”, niemniej powinniśmy stale mieć się na baczności, pielegnować w sobie sceptycyzm i nieufność wobec świata, gdyż: „(...) wątplenie obowiązuje i niewierność. W siłę się wierzy i w sprawczość” (*Nasz człowiek na miotle*). Przedmioty potrafią być również przysłowiową „zmorą”, stąd obecność złowrogiego widma (*Seans*), które zagraża bohaterowi, który osaczony podejmuje z nim nierówną walkę.

Istotnym punktem odniesienia dla opowiadań z tego zbioru jest motyw słowa.: „Od tej chwili każde moje słowo zaczynało się liczyć, a waga jego rosła wraz z moim strachem” (*Autograf*). Odpowiedzialność za słowo, poczucie wypaczenia matrycy słownej stają się przyczyną lęku bohatera przed nieautentycznością, samozaprzeczeniem a nawet utratą tożsamości. Idea, która przyświeca Bardijewskiemu, wyraża się najpełniej w stwierdzeniu, „(...) aż słowa dadzą iskrę [...] a płazy starczy na długi poemat” (*Próba poematu*). Zarówno zastosowana strategia jak i namysł nad słowem przypominają stwierdzenie Haliny Poświatowskiej o drzazdze wyobraźni, która czasami zapala się od słowa. Ciekawe realizacje tego motywu pojawiają się w cytatach: „I żal mu się zrobiło słów zlekceważonych, słów nie przeczytanych, skreślonych, puszczo-

nych mimo uszu” (*Próba poematu*) jak również we fragmencie: „Pusty transparent. Idąc skandowali równo, potężnie – ABC! DEF! Później śpiewali nawet pieśni, co prawda bez słów i co prawda bez melodii” (*Tabula rasa*). Szczególnie ostatnia myśl dobitnie wyraża diagnozę współczesności, jakże rozpaczliwą w swej naoczności. Okazuje się, że żyjemy w rzeczywistości krzyku i agresji, automatyzmu i trywializacji, gdzie nic innego się nie liczy. Krzyk, choć jest wyrazem siły, również stał się bezwłaściwościowy, bo jak tu krzyczeć efektywnie bez słów, kryje się za nim brak treści i pustka współczesności. Nawet melodia przestała być potrzebna, gdyż ludzie nie potrafili i nie chcą słuchać siebie nawzajem, wolą bezmyślnie krzyczeć i zdobywać siłą to, na czym im zależy.

Rzeczywistość przedstawiona w opowiadaniach Bardijewskiego to Bachtinowski „świat na opak”. Pozbawiony logiki teatr *ad absurdum*. Mam wrażenie, że autor chciałby ocalić go w podobny sposób, jak Gombrowicz czyni to w *Transatlantyku* – stratawać go śmiechem, wykpić po to, aby przywrócić właściwe proporcje. Ciekawą strategią obrazowania zjawisk jest zmiana perspektywy, która dokonuje się poprzez chwilowe odwrócenie uwagi czytelnika od rzeczy istotnych na detale. Strategia ta ma za zadanie wzmocnić odczucie absurdalności sytuacji, w których ujawnia się nam jako czytelnikom bohater opowiadań. Każdorazowo jednak narrator obnaża dewaluację wzorca (zachowań, postaw społecznych), który wyczerpał swe potencje i stał się spetryfikowanym, społecznie przewidywalnym szablone.

Proza Bardijewskiego jest ciekawie ustrukturuowana, niemal utkana paradoksami, niedomówieniami, absurdami, które, skłaniając do myślenia, przewartościowa, zacięwiają co rusz czytelnika, który oczekuje stałej uwagi autora, aby właściwie odszyfrować jego dydaktyczne intencje. Autor przyjmuje wobec czytelnika rolę duchowego przewodnika, mimowolnego mentora, który przechadza się razem z nim po świecie „odwróconych proporcji”.

W opowiadaniach, każdy czytelnik znajdzie coś dla siebie, są różnorodne i nieprzewidywalne w przebiegu fabularnym. Można

w nich odnaleźć marzenie o wyzwoleniu się ze zniewolenia (*Sznur*) i nadzieję na dostrzeżenie piękna świata w jego urokliwej tajemniczości, jak również obawę przed fałszywym złudzeniem bogactwa (*W mieście W.*), strach przed niewidocznymi zagrożeniami (*Napisy*), dojmujące poczucie nieautentyczności (*Maska*), rozczarowanie trudami egzystencji: „Bo już nie iść nie można, tak życie dokuczyło i świat” (*Pielgrzymka*).

Proza ta „podszyta” jest nieoczywistością, niepewnością, obawą przed wzmogoną, a nawet zwielokrotnioną fałsyfikacją, stąd pojawia się motyw sobowtóra jako znaku dla idei tzw. nieautentyczności. Zupełnie jak u Ladislava Klimy „I nagle wychodzi z niego – on. Stał mi na drodze”³. Bardijewskiemu, towarzyszy stałe przekonanie o tym, że prawda i autentyzm tak człowieka, jak i świata, w ogóle nie istnieją, a jeśli nawet istnieją, to nie mamy do nich dostępu, stąd wzmogone i desperackie niekiedy próby przyłapywania egzystencji, czyhania na „byt”, który stał się bezwłaściwościowy. Bohater opowiadań domaga się stałej restytucji świata przedstawionego, jego dynamicznej przemiany, ocalającej wartościowy rdzeń rzeczywistości przed nieuchronnym rozkładem. Próbom tym i poszukiwaniom towarzyszy uczucie pustki i bezcelowości. Niemniej trud poznawczy i epistemologiczny należy podejmować, gdyż jesteśmy nośnikami, a właściwie nosicielami słów, które nie mogą pozostać bez opieki. „...trzeba podjąć rozstrzygającą próbę rozsnurowania zmagmatowanej rzeczywistości, zdemaskować jej nieautentyczność, pozwolić, aby zanegowała swą sztuczność i wyzwoliła się od fałsyfikacji. Gdy proces ów się dopełni, staniemy się świadkami tego, jak słowa z wiersza rozsypują się i wracają do języka. Ludziom z kolei potrzeba powrotu do źródeł, do tego co autentyczne i prawdziwe zarazem” (*Próba poematu*). Bardijewski ukazuje naszym oczom próbę przezwyciężenia impasu cywilizacyjnego, tworzy bowiem alternatywne światy, jednym z nich staje się konstruowany na naszych oczach model rzeczywistości, który moglibyśmy określić swoistą „kulturą kryzysu”. Stanowi ów model zapowiedź nowego, lepszego świata. Wypełnia

lukę, zastępuje a nawet odrzuca przekonanie zawarte w światoodczuciu, jakim jest wzmagający się kryzys kultury. Miejmy nadzieję, że uczyni to skutecznie za sprawą słów, które na powrót zaczarują odczarowaną „peerelowską” rzeczywistość.

Zastosowane w opowiadaniach zabiegi demaskatorskie pozwalają autorowi przezwyciężyć impas i ujawnić się temu, co w naszej kulturze autentyczne. Oczywistym jest, że zmienia się ona razem z nami, ważne jest, abyśmy mieli świadomość, że proces ten przebiega dynamicznie, dzieje się na naszych oczach. Słowem kultura przeobraża się, czy tego chcemy, czy nie. Intencją pisarza jest jednak zwrócenie uwagi na to, abyśmy nie dopuścili do odczłowieczenia kultury i wypaczenia jej cennych wytworów. Odkrycie tej prostej prawdy i odnalezienie wartości, za sprawą których stanie się to możliwe, staje się istotnym kluczem interpretacyjnym w tej prozie. Stąd tak mocne akcentowanie znaczenia słów, które konstruują rzeczywistość, powołują inne byty do istnienia za sprawą ich nazywania, tożsamesgo z wyłanianiem z niebytu możliwości. Słowom należy przywrócić właściwą rangę, podobnie jak czynom, które moralnie sankcjonują „obecność” słów. Iście Różewiczowskie przywracania słowom ich znaczeń staje się w tym ujęciu przyczynkiem do naprawy moralnej świata, który zdegradował się, powodowany ludzką małostkowością i znieczulicą społeczną. Sens owej zmiany kulturowej i świadomościowej – w moim przekonaniu – wyraża się najpełniej w odwróceniu proporcji, polegającym na uczynieniu z „kryzysu kultury”, o której była mowa – „kultury kryzysu” i nie chodzi tutaj bynajmniej wyłącznie o nieskomplikowany kalambur czy zabawę słowem, lecz kierunek zmian ku „lepszemu” i „bardziej prawdziwemu”, która staje się możliwa i wciąż czeka na praktyczną realizację, domagając się czynu...

Agnieszka Żłota

Henryk Bardijewski, *Lustra*, wyd. Iskry, seria: Biblioteka Stańczyka, Warszawa 1971, ss. 111.

³ L. Klima, s. 16.

„TAKIM JAK NIEGDYŚ, NIGDY NIE BĘDZIE” - O PRZEMIJANIU W TOMIKU MAŁGORZATY FRANC PT. „ROZMYŚLANIA O ZMIERZCHU”.

W 2014 roku ukazał się najnowszy tomik Małgorzaty Franc, poetki urodzonej w 1968 roku w Częstochowie. Zbiór wierszy nosi tytuł *Rozmyślania o zmierzchu* i jest czwartym z kolei. Pierwszy to *Barwy uczuć* (2006), drugi *Ja, Margott* (2007), trzeci *Las westchnień* (2010).

Andrzej Kalinin o tomiku *Rozmyślania o zmierzchu* napisał, że jest najbardziej dojrzałym spośród dotychczasowych wydanych przez autorkę, który dotyczy nas wszystkich. Dotyka on tematyki przemijania. W przeszłość odchodzi nie tylko człowiek, ale i rzeczy. Nie bez przyczyny więc tomik opatrzony został tytułem *Rozmyślania o zmierzchu*. Zmierzch to pora dnia od zachodu słońca do nastania ciemności, to też koniec, kres czegoś. Wiersze są rozmyślaniami o tym, co przemija. Taki stan jest jak najbardziej naturalny. Dzień „odchodzi”, tak jak człowiek i to, co z nim związane.

Wiersze Małgorzaty Franc zostały ujęte w dziesięciu zestawach. Tom otwiera cykl pt. *Anioły*. Anioły w wierszach poetki są upersonifikowane – cierpią, płaczą nad tym, co przeminęło. Ich smutek obrazuje „kamienne oblicze” ukazane przez autorkę. Wydają się być pogodzone z brakiem, nie spoglądają na przeszłość. *Dobry Anioł* pozwala nam zauważyć anioła w człowieku: „Anioł/ma zatroskaną twarz/ człowieka” (s. 12). Cechy takie jak empatia, codzienna uprzejmość wyrażona pozdrowieniem, spojrzeniem czy gestem pozwala nam rozpoznać w jednostce „dobrego anioła”. Drobne uczynki – okrycie kocem, zapach przygotowanej herbaty, kompotu, czynią z nas aniołów.

Kolejny cykl zatytułowany *Blask wspomnień* jest dedykowany Kazimierzowi Ko-

walczykowi. W tym zbiorze wiersze również obejmują tematykę przemijania: las jest inny, niż ten z lat dziecięcych, mimo tego: „jeszcze można w nim usłyszeć [...] tamtą ciszę” (*Leśne echo*, s. 17). Choć zmieniony, to zawiera w sobie część przeszłości – wspomnienie o dawnym lesie pozostaje. Franc tworzy w utworze malownicze obrazy, ze wschodem słońca, śpiewem ptaków o brzasku oraz wprowadza do utworu postać fantastyczną – krasnalą, który „kłania się niziuteńko”.

W innym utworze poetki najlepsze marzenie, to z dawnych lat, nie spełniło się jeszcze, a młodość przeminęła. Upływ czasu obrazuje metafora: „skroń się bieli szronem”. Mimo, że człowiek nie jest tak sprawny jak dawniej, to wciąż pragnie żyć, o czym świadczą słowa: „to nie ten dzień gdy już stracone/ jeszcze nie teraz/ Jeszcze nie...” (*Jeszcze nie...!*, s. 18.)

Z wiersza pt. *Cierpienie* wyłania się obraz przedstawiający człowieka w bólu, w sali szpitalnej. Słyszy on jęki innych chorych z oddali... . Choć na twarzy cierpiącej osoby pojawia się uśmiech, nie jest on naturalny, lecz sztuczny, wywołany dla niepoznaki.

W cyklu *Listy do nieba* wspominana zostaje Róża (*Róża*), której w przeszłości śpiew był radosny, ciało gibkie, lekkie i zwinne, przypominające ruch motyla. Oczy bohaterki wiersza są niebieskie, a czasem szare – gdy wyrażają smutek. W utworze odnaleźć można charakterystyczne dla poetki budowanie przeciwności: z jednej strony dziewczęca figlarność, taniec, śpiew, gibkość, a z drugiej cień, szara barwa oczu.

Michael to następna postać wspominana przez autorkę w *Wśród obłoków*. Franc wyraża nadzieję, że mężczyzna, o którym mowa

w utworze, osiągnął życie wieczne: „A może wśród obłoków jest gdzieś/ nie w zimnej łożowanej trumnie” (s.26). Kolejny wiersz pt. *Ostatni* poetka poświęciła pamięci Marka Edelmana, ostatniego z przywódców powstania w getcie warszawskim, lekarza kardiologa. W wierszu pt. *Nazajutrz* również mamy do czynienia z przeciwstawieniem, charakterystycznym dla częstochowskiej autorki. Błękit nieba i słońce zestawione są z czymś, co stało się wczoraj, co wprawdzie przeminęło, ale nadal wywołuje „deszcz łez” (s. 30).

Kolejny cykl opatrzony jest tytułem *Na brzegu samotności*. Franc w jednym z utworów przedstawia kobietę, która znajduje się w ogrodzie nieopodal domu i zdaje sobie sprawę z upływającego czasu oraz wspomina miłość. Ta znów ożywa, dzięki pięknemu miejscu: „[...] jedna miłość/ co się wraz z końcem/ nie skończyła bo/ w tym ogrodzie/ znowu żyła” (s. 35). O samotności, płaczu, rozpacz mówi wiersz pt. *Pustka*: „Dotknęła ją dotknęła/ wielka zimna pustka/ czas się nie ulitował/ nie przybył z pomocą” (s.38).

Płacz w kaplicy to tytuł następnego cyklu wierszy. W *Bez odpowiedzi* autorka pisze o śmierci i podkreśla bezradność, niedowierzanie, które nieodłącznie towarzyszy bliskim po śmierci: „Myśleliśmy, że zawsze będziesz!” (s. 41). Teraz, na pożegnanie znajomi piszą wiersz, dodając: „Myśleliśmy,/ będziesz jak granit/ Który trwa długo/ zanim wrośnie/ w ziemię!” (s. 40). Autorka pokazuje w utworze ulotność życia ludzkiego i niepewność jutra. O mijającym życiu jest mowa także w *Łzach Matki* i *Jeszcze nie czas...*

Rozważania o śmierci kontynuuje Małgorzata Franc w wierszu *Droga bez powrotu* zawartym w cyklu pt. *Przez dolinę cienia*. Zdaniem autorki nigdy nie jesteśmy przygotowani na śmierć, nie ma też pory odpowiedniej na odejście: „Pora nigdy/ nie jest dobra/ czasu zawsze / jest za mało/ nikt z nas nigdy/ nie jest gotów/ do tej drogi/ bez powrotu” (s. 52) W *Odmianie losu* poetka zwraca uwagę na los człowieka, który jest niepew-

ny i zmienny: „Nasz los jest jak wulkan/ nieprzewidywalny wybucha/ z nagłą lawą przeciwności” (s. 57).

Trzeci dzień jesieni zawiera utwory przepełnione malarskimi opisami jesieni: ogród „tonie w złotej żółci”, „jabłko (...) jeszcze się rumieni”, a krajobrazy „mienią się barwami” (s. 65). Kolejny utwór pt. *Na wieszakach* zawarty w cyklu *Biała sukienka albo pożegnanie z szafą*, opisuje „los” starych ubrań. Zostały one spakowane do worków i pudeł, zupełnie tak jak przeszłość. Choć rzeczy te przywoływały różne wspomnienia, to ich „koniec był już ostateczny” (s. 77). Również dla białej sukienki, opisanej w kolejnym wierszu „wszystko się skończyło”, a przed laty skrywała ona w sobie „jasne światło marzeń”, mimo to odeszła w przeszłość.

W utworach Małgorzaty Franc wszystko przemija, choć jak podkreśla autorka, trudno się pogodzić z jakimkolwiek odejściem. Częstochowska poetka w wierszu *Bez miejsca na żal* napisała: „zmieniło się wszystko/ co było od zawsze/ co było tak blisko” (s. 82). Słowa te, należy potraktować jako główną sentencję, która wypływa z tomiku *Rozmyślenia o zmierzchu* i uczy, że przemijanie jest nieodłączną częścią naszego życia.

Anna Wesotowska

Małgorzata Franc, *Rozmyślenia o zmierzchu*,
Częstochowa 2014, ss.98.

Anna Janek

PO KAPUŚCIŃSKIM. SZKICE O REPORTAŻU

Na rynku wydawniczym znajdziemy dziesiątki pozycji z Kapuścińskim w tytule, ewentualnie z okładką opatrzoną cytatem z jego dzieł – tak jakby wspomnienie reportera miało stać się gwarancją sukcesu. Najczęściej jednak taki zabieg okazuje się tylko i wyłącznie chwytem reklamowym, na który niestety daje się skusić miłośnik literatury faktu. Dlatego z pewną rezerwą sięgnęłam po nową książkę Urszuli Glensk *Po Kapuścińskim. Szkice o reportażu*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Universitas. Formuła tytułu – jak podaje autorka – jest konstrukcją kontynuowaną, wcześniej ukazały się książki m.in. *Po Wojaczku*, *Po Miłoszu*, w których autorzy starali się ukazać wpływ tych pisarzy na literaturę. Podobny cel przyświeca Urszuli Glensk, która okiem literaturoznawcy i krytyka literackiego śledzi pojawiające się na polskim i światowym rynku wydawniczym reportaże, a także opracowania związane z recepcją Ryszarda Kapuścińskiego, aby w sposób wnikliwy przyjrzeć się korespondencji sztuki dokumentu ze sztuką fikcji. Prezentowana książka jest poniekąd owocem pracy zawodowej autorki, dlatego większość z zamieszczonych tekstów była już wcześniej publikowana w „Nowych Książkach”.

Zbiór szkiców został podzielony na siedem części, zatytułowanych kolejno: *Kapuściński i inni*, *Po Afryce*, *Wojna i niepokój*, *Światło Innego*, *Po Polsce*, *Ludzie i litery*, *Literackość dokumentalizmu*.

Krytyczną refleksję na temat prozy dokumentalnej otwiera esej *Siedem grzechów Domosławskiego*, który stał się ważnym głosem w debacie dot. książki *Kapuściński non-fiction*. Biografia napisana przez Artura Domosławskiego wzbudziła szereg kontrowersji, stała się pretekstem do dyskusji na temat użycia fikcji w reportażu czy też roli biografa i jego praw do wykorzystywania faktów z życia opisywanych

postaci. O ile jednak debata prowadzona na łamach opiniotwórczej prasy, dzięki wielości głosów¹, mogła stać się ciekawą próbą rozliczenia biografa z jego twórczości, o tyle nieuzasadnione wydaje się wykorzystanie tekstu *Siedem grzechów Domosławskiego* w zbiorze poświęconym *stricte* sztuce reportażu. Urszula Glensk bezlitośnie wytyka błędy, które popełnił Domosławski – biograf, nie reporter. W nawiązaniu do tytułu książki Krzysztof Mroziewicz – autor postłowa komentuje: „Po Kapuścińskim przejechał się czołgiem Artur Domosławski. Po Domosławskim przeszła jak huragan Urszula Glensk”².

Żałuję, że Urszula Glensk całą uwagę skupiła na podważaniu wartości książki Domosławskiego. Historia wokół biografii Kapuścińskiego otwiera przecież szereg problemów, nad którymi warto się było pochylić. Szczególnie ciekawa wydaje się relacja między reporterem a jego dziełem. Zdaje się, że nie sposób uciec przed pytaniem o to, kim powinien być dobry reporter? Czy jego życie prywatne ma wpływ na to, co opisuje?

Wydawać by się mogło, że po książce Roland Barthes’a *Śmierć autora* nikt już o to nie zapyta. A jednak... W świetle reportażu to, kim jest autor, okazuje się być pytaniem fundamentalnym – o czym przekonamy się podczas lektury o afrykańskiej podróży Kazimierza Nowaka. Niestety, z pierwszego eseju zamiast wizji reportera wyłania się obraz kiepskiego biografa.

W dalszej części książki jest już znacznie lepiej, autorka sięga po album *Kapuściński. Ze świata*, starając się zrozumieć specyfikę spoj-

¹ Swoje stanowisko przedstawili m.in. Martin Pollack, Krzysztof Toeplitz, Wojciech Orliński, Izabela Wojciechowska (opiekunka archiwum fotograficznego R. Kapuścińskiego).

² K. Mroziewicz, *Po*, w: U. Glensk, *Po Kapuścińskim. Szkice o reportażu*, Kraków 2012, s. 253.

żenia reportera na różne zakątki świata i spotkanych tam ludzi.

Fotografie Kapuścińskiego charakteryzuje pewna poprawność, pod którą kryje się szacunek reportera dla innych. Kapuściński poprzez zdjęcia nie opowiada nam o dramacie wojny, nie epatuje cierpieniem, brzydotą czy biedą. Stara się raczej przedstawić obraz konkretnego człowieka. Dlatego – tak jak podkreśla Urszula Glensk – Kapuściński znacznie częściej sięga po technikę fotografii portretowej niż reporterskiej³, jego zdjęcia to przede wszystkim zdjęcia twarzy. Co ciekawe, twarzy uśmiechniętych, przyjaźnie nastawionych do fotografa. We wstępie do albumu Johna Updike’a przeczytamy nawet, że zdjęcia te „zaskakują atmosferą szczęścia”⁴.

Roland Barthes w książce *Światło obrazu. Uwagi o fotografii* – do której odwołuje się autorka – zwraca uwagę, że świadomość bycia fotografowanym wszystko zmienia. Obiektyw sprawia, że człowiek przybiera pozę, stwarza sobie nowe ciało, gra⁵. Urszula Glensk, podkreślając szacunek fotografa do podmiotu fotografowanego, naiwnie pisze, że: „kontakt z fotografem nie odrywa ich [fotografowanych osób – A.J.] od codziennych obowiązków, wykonują zwykłe czynności”⁶. Po lekturze F. Soulagesa, *Estetyka fotografii. Strata i zysk*, takie zdanie wydaje się być co najmniej podejrzanе. Każde zdjęcie ma charakter teatralizacji, ze strony fotografa pojawia się zamiysł inscenizacji, a przed obiektywem podmiot przybiera pozę. „Oglądający zdjęcie sądzi, że jest ono dowodem rzeczywistości, podczas gdy stanowi ono wyłącznie oznakę gry. Każde zdjęcie nas okłamuje”⁷. Autorka zdaje się nie dostrzegać iluzji przedstawienia, z której

doskonale zdawał sobie sprawę Ryszard Kapuściński. O czym może świadczyć fakt, że nigdy nie łączył reportażu z fotografią. Gdy brał do ręki pióro, odkładał aparat i odwrotnie. Dlatego jego zdjęcia pretendują do miana sztuki, nie dając się sprowadzić do roli „świadka” rzeczywistości. Ponownie odwołam się tutaj do F. Soulages’a: „fotografia nie udostępnia rzeczywistości.”⁸, „(...) zdjęcie już w chwili powstania traci znaczenie, związane z przedstawianą aktualnością, i wypełnia się znaczeniami intencjonalnymi, to znaczy: ustanowionymi poprzez sposób jego upowszechnienia”⁹.

Co w takim razie z reportażem? Jaki jest związek między fotografią reportażową a rzeczywistością? Czy możliwe jest pochwycenie podmiotu do sfotografowania czy, przeciwnie, ujawnia się niemożność przedstawienia? Na te pytania czytelnik sam musi znaleźć odpowiedź.

W książce *Po Kapuścińskim...*, znalazło się również miejsce dla jego poprzednika – Kazimierza Nowaka, który w roku 1931 wyruszył do Afryki. Autorka prezentuje postać tego niezwykłego człowieka, któremu udało się przeźmierzyć rowerem i pieszo Czarny Łąd. Urszula Glensk przybliży historię jego podróży, zwraca uwagę na konteksty społeczne i polityczne ówczesnych czasów, omawia dylematy towarzyszące każdemu reporterowi, starając się zrozumieć motywy tej szaleńczej wyprawy.

W tekście *Pubblicista Polacco...* uwytklony zostaje paradoks polskiej literatury i zawilość ludzkich losów. Relacje Nowaka z Afryki jeszcze do niedawna były zupełnie nieznanе, Ryszard Kapuściński przeczytał je – jak podaje autorka – dopiero w 2006 roku¹⁰. Dzieło Nowaka nie znalazło się nigdy w kanonie polskiego reportażu podróżniczego. Urszula Glensk wyjaśnia, dlaczego tak się stało, ale nie pozostaje na ten fakt obojętna. Wielokrotnie podkreśla pionierskość dokonań reportera, ważność jego odkryć, bogactwo

³ Zob. U. Glensk, dz. cyt., s. 34.

⁴ J. Updike, *Wstęp*, przeł. M. Zielińska, w: *Kapuściński. Ze świata*, red. A. Wiśniewski, K. Ziębowicz-Tobolewska, Kraków 2008, s.8.

⁵ Zob. R. Barthes, *Światło obrazu. Uwagi o fotografii*, przeł. J. Trznadel, Warszawa 1996, s. 19.

⁶ U. Glensk, dz. cyt., s. 34.

⁷ F. Soulages, *Estetyka fotografii. Strata i zysk*, przeł. B. Mytych-Forajter, W. Forajter, Kraków 2007, s. 81.

⁸ Ibidem, s. 83.

⁹ Ibidem, s.29.

¹⁰ Również w 2006 r. Ryszard Kapuściński odsłonił pamiątkową tablicę na poznańskim dworcu.

zebranego materiału przy tak niewielkim nakładzie finansowym, o który musiał się sam zatroszczyć. Postawa Nowaka budzi szacunek i podziw: gotowy do poświęceń, unikał wszelkich wygód; otwarty na przygodę, nie odczuwał strachu. Nie dziwi więc, że proza Nowaka została w tekście Glensk umiejscowiona wśród najlepszych dokonań literatury podróżniczej.

„Zdany na siebie Kazimierz Nowak dopiął celu, pamiętał, iż aby szczęśliwie powrócić do domu, nie można zmarnować żadnego dnia na lęk, gniew lub żal. I nie zmarnował. Im więcej trudności piętrzyło się na jego drodze, tym więcej znajdował w sobie odwagi i siły”¹¹. Tej odwagi zapewne nie brakuje korespondentom wojennym, którym Glensk poświęca kolejną część książki.

Na przykładzie Slavenki Drakulić pisarka dowodzi, że reporter uwikłany w wojnę, która bezpośrednio dotyka jego życia, może pozwolić sobie na osobistą refleksję, autobiograficzną szczerść bez szkody dla reportażu. Drakulić dokonuje analizy historii Jugosławii z perspektywy osobistej, ale nie pozbawionej obiektywizmu. „Siła reportażu Drakulić polega na konfrontacji życiowych doświadczeń pisarki z historią ludzi, którzy tę wojnę rozpętali”¹². I tak np. wspomnienie zapachu munduru ojca z dzieciństwa pomaga jej zrozumieć wojskową mentalność i żołnierski rygor. W eseju pojawia się także stwierdzenie o niemożności przewidzenia wojny. Być tam, gdzie za chwilę wydarzy się coś ważnego, to ogromne szczęście dla reportera. Nawet Drakulić nie udało się przewidzieć wybuchu wojny na Bałkanach. Analizując motywacje swoich bohaterów, chorwacka intelektualistka dochodzi do wniosku, że zbrodniarze wojenni nie byli potworami, tylko zwykłymi ludźmi.

Tezę o banalności zła potwierdza również Jean Hatzfeld – korespondent wojenny, który wkracza w rzeczywistość Rwandy¹³. Zbie-

ra świadectwa ocalonych, oddaje głos katom. Tak powstają trzy książki *Nagość życia. Opowieść z bagien Rwandy*, *Sezon maczet* oraz *Strategia antylop*.

Urszula Glensk swój szkic poświęca ostatniej z wymienionych pozycji, która została uhonorowana w 2010 r. nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego. Kilkanaście lat po ludobójstwie Jean Hatzfel ponownie wyrusza do Rwandy, w której Hutu objęci amnestią, opuszczają więzienia. Państwo włącza zbrodniarzy z powrotem do normalnego życia, ponieważ są oni potrzebni do pracy. Hutu i Tutsi – kaci i ofiary muszą nauczyć się żyć obok siebie, w najbliższym sąsiedztwie. To doświadczenie graniczne, po ludzku niewyobrażalne, zostanie opisane przez reportera. Wspomnienie zbrodni jest otwartą raną, która nie może się zabiścić. Jedyne, co pozostaje reporterowi, to słuchać i dać światu świadectwo. Bo prawda płynąca z tego reportażu, choć niezwykle bolesna, niesienie nadzieję, o której szczerze mogą powiedzieć tylko sami bohaterowie.

Urszula Glensk zauważa, że Hatzfeld jest reporterem, który zapisuje, a nie opisuje to, co wydarzyło się w Rwandzie. Na pierwszym miejscu stawia zadanie dokumentalisty, unika metafor i upiększeń, dzięki czemu jego relacje są autentyczne. Jak ogromnie pod tym względem różni się pisarstwo Wojciecha Tochmana, który uprawia tzw. psychologizujący reportaż obyczajowy. Urszula Glensk okiem krytyka zwraca uwagę na pewien rodzaj emocjonalnej sieci, jaką zastawia pisarz na czytelnika. „Autor uprawia coś, co w typologii reportażu Hanna Małgowska nazwała „postawą świadomego ideologa” Tochman gromadzi dokumentację

pokładzie znajdował się prezydenta Rwandy i prezydent Burundi, został zestrzelony przez nieznaną sprawców. Politycy Hutu, którzy rządili w obu krajach, o zamach oskarżyli Tutsich. Tak rozpoczęła się masakra, która trwała pięć tygodni. Hutu codziennie od godziny dziewiętej do siedemnastej przez siedem dni w tygodniu wyżynali maczetami Tutsich, którzy nierzadko byli ich sąsiadami, znajomymi, a nawet przyjaciółmi. W wyniku masakry zginęło ok. 50 tys. Tutsich, a żniwo gwałtów – HIV, do dziś zbiera swój plon. Świat nie reagował.

¹¹ Ł. Wierzbicki, Wprowadzenie, w: K. Nowak, *Rowerem i pieszo przez Czarny Łąk*, Poznań 2008, s. 14.

¹² U. Glensk, dz. cyt., s. 95.

¹³ Przypomnę: 6 kwietnia 1994 r. samolot, na którego

w taki sposób, aby potwierdzała afirmowane poglądy, żeby zmuszała czytelnika do przyjęcia określonej postawy, prowadziła do wniosków z góry założonych (...)”¹⁴. Autorka docenia taki sposób pisania, argumentując swoje upodobania faktem, że w sensie ideologicznym całkowicie zgadza się z Tochmanem, przyznaje: „Też zastanawia mnie dyktat polskiej obyczajowości religijnej. Też mam zrozumienie dla pułapki życiowej, w jakiej znalazł się ksiądz, aktywny homoseksualista”¹⁵. Pewnie dlatego autorka może ze spokojem komentować książkę *Bóg zapłać*, w której pisarz bardzo swobodnie potraktował wyznaczniki reportażu. Choć Urszula Glensk doskonale zdaje sobie sprawę, że – jakby nie było – w zbiorze reportaży Tochman umieszcza tekst *Wściekły pies*, którego nie można w żaden sposób zweryfikować. Wiemy jedynie, że główny bohater jest katolickim księdzem. Reszta pozostaje nieokreślona: imię księdza, miejsce parafii, czas akcji itp. Opowieść księdza została ujęta w domniemaną homilię, w której wyznaje wiernym, że jest homoseksualistą.

Urszula Glensk jasno przyznaje, że ten tekst powinien być traktowany jako opowiadanie, a nie reportaż. Jednak ku mojemu zaskoczeniu, puentuje, że w przeciwieństwie do Artura Domosławskiego, Tochman jest wiarygodny. I tu pada stwierdzenie: „Niektórym pisarzom można ufać. Innym lepiej nie”¹⁶, które krytykowi zamyka pole argumentacji. Zebrany materiał został podsumowany w ostatnim rozdziale dotyczącym estetyzacji reportażu. Autorka stara się w nim wyciągnąć wnioski z przeprowadzonych analiz i krytycznych ocen, które pozwolą jej na nowo zdefiniować reportaż jako gatunek literacki. Przygląda się pracy reportera uwikłanego w podwójną rolę – pisarza i dziennikarza. Zwraca uwagę na konsekwencje płynące z tej zależności. Wreszcie, próbuje przyjrzeć się drodze, jaką pokonał reportaż od gazety do wydawnictwa, wskazując przy tym na znaczenie rynku oraz

ograniczenia finansowe redakcji prasowych, które w znacznym stopniu wpływają na formę reportażu.

Jak sugeruje autorka: „po Ryszardzie Kapuścińskim, Ksawerym Pruszyńskim i Melchiorze Wańkowiczu łączenie szybkości depešowca z namysłem właściwym pracy pisarza przestało być możliwe”¹⁷. Dokumentaliści mogą teraz jedynie przemienne korzystać z różnych konwencji reporterskich, zmieniając formy swojej aktywności zawodowej. A to z kolei wpływa na bogactwo i różnorodność współczesnych reportaży, o czym świadczy zbiór szkiców Urszuli Glensk.

Ilość dzieł omówionych przez autorkę budzi podziw. Wydaje się, że nie ma reportażu, którego by autorka nie przeczytała. Książkę można więc śmiało potraktować jako przewodnik po literaturze dokumentalnej. Lektura tekstów zmusza do refleksji, porządkuje wiedzę i otwiera nowe konteksty interpretacyjne. Dlatego przyznam szczerze, że moje obawy dotyczące kolejnej książki „z Kapuścińskim w tle” okazały się nieuzasadnione.

Anna Janek

U. Glensk, *Po Kapuścińskim, Szkice o reportażu*, wyd. Universitas, Kraków 2012, ss. 296.

Bibliografia podmiotowa:

Glensk U., *Po Kapuścińskim, Szkice o reportażu*, Kraków 2012.

Bibliografia przedmiotowa:

Barthes R., *Śmierć autora*, przeł. M.P. Markowski, w: „Teksty Drugie”, 1999, nr 1/2.

Barthes R., *Światło obrazu. Uwagi o fotografii*, przeł. J. Trznadel, Warszawa 1996.

Domosławski A., *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010.

Hatzfeld J., *Strategia antylopy*, przeł. J. Giszczak, Wołowiec 2009.

Kapuściński. Ze świata, red. A. Wiśniewski, K. Ziębowicz-Tobolewska, Kraków 2008.

Nowak K., *Rowerem i pieszo przez Czarny Łąk*, Poznań 2008.

Soulages F., *Estetyka fotografii. Strata i zysk*, przeł.

B. Mytych-Forajter, W. Forajter, Kraków 2007.

Tochman W., *Bóg zapłać*, Wołowiec 2010.

¹⁴ Ibidem, s. 171.

¹⁵ Ibidem, s. 171.

¹⁶ Ibidem, s. 172.

¹⁷ Ibidem, s. 249.

Martyna Lenart

„DOŚĆ POWIEŚCI HEDONISTYCZNYCH, PRZEŻUTYCH, PEŁNYCH PSYCHOLOGIZOWANIA”. O LITERATURZE LAT SZEŚĆDZIESIĄTYCH: ODKRYWANIE PIĘKNA W CODZIENNOŚCI I W STRZĘPACH CYWILIZACJI

*„Wszystko jest pismem, wszystko fabułą. Do czegoż nam więc służy prawda,
która prawowitemu posiadaczowi daje uspokojenie?*

*Jedyną dostępną nam prawdą musi być zmyślenie, czyli pismo,
czyli literatura, pintura, skultura, agrikultura, aplikultura, wszystkie tury świata.*

Wartości – tury, świętość – tura, społeczeństwo – tura, miłość także tylko tura, piękność – tura nad turami.”

Julio Cortázar, *Gra w klasy*

Lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku to czas w historii, który z pewnością odznacza się na tle innych dziesięcioleci. Okres ten to czas społecznych transformacji, początek ruchów emancypacyjnych, młodzieżowej rebelii, czas tworzenia się subkultur, złoty okres hipisów – dzieci kwiatów, rewolucja seksualna, rozwój popkultury i beatlemania, rozpowszechnienie się narkotyków, wreszcie czas, w którym wykonano pierwsze połączenie internetowe. Wszystko to pozostaje nie bez znaczenia dla literatury. Świat zmienił się na dobre. Jak w tym wszystkim odnalazł się człowiek, a co za tym idzie literatura – literatura, która jest swoistym sejsmografem rejestrującym każdy wstrząs?

Jednym ze zdarzeń, do którego chciałybyśmy się odnieść, a które moim zdaniem wiąże się z literaturą (choć być może nie w sposób oczywisty), jest narodzenie się kontrkultury hipisowskiej. Była to rewolucja proklamująca bunt młodych przeciwko światu dorosłych i jego instytucjom: rodzinie, Kościołowi, szkole, zakładowi pracy, szefom, rywalizacji, pieniądzwowi, wojsku, wojnie, normom, przymusom, zakazom, domniemanej hipokryzji, konwencji ubioru, własności prywatnej. Li-

teratura lat sześćdziesiątych, moim zdaniem, odnotowała ten wstrząs dość znacząco. Kiedy wydawało się, że powieść już wyczerpała swoje możliwości, pojawili się właśnie hipisi, pokazujący bunt wobec systemu i formy. Objawiły się nowe literackie drogi i możliwości. I choć wysunięcie wniosku, iż literatura eksperymentalna narodziła się dzięki hipisom jest daleko idące, to należy zwrócić uwagę na wspólne cechy tychże dziedzin. Każdy utwór literacki jest zjawiskiem o charakterze społecznym. Dzieło literackie jest bowiem tworem językowym, a język zaś jest narzędziem porozumiewania się. Dzieło literackie pozostaje również w dwojakim stosunku względem rzeczywistości. Z jednej strony jest ono tworem ukształtowanym w obrębie określonej sytuacji społecznej, przez tę sytuację ukształtowanym. Z drugiej zaś stwarza ono jakiś „obraz” świata. Jest swoistym odbiciem rzeczywistości. Zwierciadłem. Utwór to także skutek pewnego historycznie określonego splotu okoliczności społecznych. Każdy utwór zawiera jakiś obraz realnego świata i działań ludzkich. Równocześnie każde dzieło jest wyrazem ideowo artystycznej świadomości twórcy. Twórca zaś obraz w dziele przedstawionym

kształtuje. Wniosek z tego więc taki, iż nie ma dzieła literackiego, które nie odnosiłoby się do elementów realnego świata. Literatura nowej rzeczywistości, rzeczywistości buntu, rebelii, wyzwolenia, musiała sprostać nowym wyzwaniom i potrzebom czytelniczym. Walka z formą oraz opiewanie codzienności stało się celem nadrzędnym nowej powieści. Ponadto szybki rozwój cywilizacji, widmo czasów przeszłych – dwóch wojen światowych, napięte stosunki społeczno-polityczne, wszystko to z pewnością rodziło niepokój, co widać szczególnie w narracji i jej poszarpanym toku. Literatura lat sześćdziesiątych, podobnie jak hipisi, zaczęła wyłamywać się ze stereotypów, opierać wszelkim zasadom. Tak więc wszystkie zjawiska, które miały miejsce w latach sześćdziesiątych, nie pozostają bez znaczenia dla literatury tego okresu. Odzwierciedlają się bowiem w świadomości odbiorców, a przede wszystkim w świadomości twórcy, który obraz literacki tworzy.

Wyrazem nowych tendencji w literaturze jest powstanie powieści eksperymentalnej. Ogromną rolę w tej dziedzinie odegrała hispanoamerykańska literatura Ameryki Łacińskiej. W ciągu zaledwie kilku dekad hispanoamerykańska proza, jak dotąd pozostająca w cieniu piśmiennictwa Europy czy Ameryki Północnej, wybiła się, wyznaczając tym samym nowatorskie kierunki. Nastąpił przełom, który już na zawsze zmienił oblicze literatury światowej. By do owego przełomu mogło dojść, twórcy Ameryki Łacińskiej musieli odrzucić tradycyjne schematy realistycznej prozy. Tak narodziła się literatura, która stanęła przed zadaniem poszukiwania nowych form artystycznego wyrazu. Od teraz powieść to nie tylko „zwierciadło przechadzające się po gościńcu”. Zwierciadło bowiem mechanicznie odbija rzeczywistość, nie ukazuje niczego poza nim. Powieść eksperymentalna oparta na realizmie magicznym zawiera aspekty ludzkiej egzystencji, takie jak myśl, emocje, marzenia, kulturowe mitologię czy wyobraźnię – czyli wszystko to, czego w lustrze nie widać.

Nowa proza została nasyciona pierwiastkiem fantastyczności. Takie połączenie sprawia, że opisywana ludzka rzeczywistość wydaje się być dokładniejsza, ujęta w wielu wymiarach. Opis bogactwa doznań zmysłowych, obszerne użycie symboli i metaforyki, zniekształcenie czasu, który zatacza koło a nawet zanika – te i inne elementy sprawiają, że świat w owych utworach wykreowany wydaje się być bliższy rzeczywistości, choć jej postrzeganie może różnić się od siebie. Dla osoby „wtajemniczonej” pewien magiczno-realistyczny tekst może być relatywnie dokładnym odbiciem rzeczywistości, ale dla kogoś innego, kogoś „z zewnątrz” ten sam tekst może wydawać się nierealny.

Jednym z takich utworów jest *Gra w klasy* Julio Cortáзара. Powieść ta, klasyfikowana jako powieść eksperymentalna, nie ma jednoznacznego końca. *Na swój sposób książka ta zawiera w sobie wiele książek, przede wszystkim zaś dwie książki. Grę w klasy można bowiem czytać według porządku, który dyktowany jest przez numerację stron. Druga możliwość to czytanie według klucza, który wyznacza zagadkową kolejność rozdziałów. Tym samym powieść ta pozostawia możliwość wielu odczytań. Jest swoistym modelem do składania. Odłożenie książki nie oznacza zakończenia fabuły. Za każdym razem można odkryć ją na nowo. Ponadto słowa samego autora świadczą o swobodzie, jaką powieść daje czytelnikowi. Mówi bowiem, iż rozdział 56, wyznaczający „koniec”, jest zakończeniem jednej z książek, w konsekwencji czego czytelnik bez wyrzutów sumienia może zrezygnować z dalszego ciągu. Słowa, które dają czytelniczą swobodę, są jednocześnie swoistą zachętą. Fascynuje, bo tak naprawdę ciągle się nam wymyka, nigdy nie jest przeczytana. Czyż nie jest to odwzorowanie naszego życia? Ciągłego poszukiwania, błędzenia, wyobrażeń?*

Jak już wspominałam lata sześćdziesiąte to czas szczególny w dziejach. Owe kajdany cywilizacji, które zacieśniają się coraz mocniej, mogły zrodzić niepokój. Literatura, która jest swoistym sejsmografem, rejestruje wszystkie

wstrząsy, niepokoje, zmiany. *Gra w klasy* wprowadza czytelnika właśnie w taki nastrój. Wynikać on może z poszarpanego toku narracji, który według Zofii Chądzyńskiej jest sygnałem, że istnieje inny wymiar, drugie dno. Cortázar pokazuje to wszystko, co kiedyś było ukryte. Łamie codzienność, przerywa ciągłość, niszczy wszelkie prawa logiki, przeskakuje pewne etapy. *To, co jest z założenia sprzeczne, jest samą prawdą*. Cortázar ukazuje nieprzewidywalność ludzkich losów, niejednoznaczność naszego bytu. Jego wyjątkowość polega na tym, iż potrafi dotknąć dna rzeczywistości, dotrzeć do głębi oraz dąży do wykraczania poza kulturowe struktury. Literaturę, jak sam mówił wielokrotnie, postrzega jako osobiste poszukiwania.

Najważniejsza wydaje się być u Cortázara psychologia. Wykorzystanie jej na polu utworu literackiego wiąże się z konwencją, jaką pisarz przyjął. *Gra w klasy*, podobnie zresztą jak inne jego utwory, zbudowana jest na zasadzie płynnej granicy między snem a jawą. Dzieło to jest zbudowane na kształt stanów psychicznych, które towarzyszą każdemu człowiekowi. Uzyskanie takiego efektu jest możliwe właśnie dzięki temu, iż *Gra w klasy* jest swoistym modelem do składania oraz dzięki poszarpanemu tokowi narracji. Uwagę zwraca również odbieganie od formy, co na myśl od razu przywołuje *Ferdydurke* Gombrowicz. Tutaj jednak ma to inny wymiar.

Celem nadrzędnym literatury lat sześćdziesiątych stało się ukazanie piękna codzienności. Według twórców tego okresu fantastyczność bowiem nie powinna mieć charakteru czegoś sztucznie narzuconego. Dlatego też utwory literackie opisują codzienność, stosując przy tym konwencję oniryzmu. W *Grze w klasy* uderza nadzwyczajna ostrość widzenia – szczegółowość opisu. Każda najmniejsza rzecz jest tu opisana z największą dokładnością. Dzięki temu czytelnik jest jakby w środku wszystkich wydarzeń. Jak gdyby sam widział wszystkie zdarzenia. Język jest prosty, potoczny, bo przecież ma opisywać codzien-

ność. Mimo tego, iż dominuje prosty język, da się zauważyć magię słowa oraz neobarokowy styl wypowiedzi, przez nagromadzenie dużej ilości detali, metafor itp. Ważny jest również naiwny sposób patrzenia na rzeczywistości, prosty, niczym nie skażony, a dziecięcia postawa narratora gwarantuje świeżość.

Cortázar to pisarz wyjątkowy, ale również i wpisujący się w założenia twórcze swoich czasów. Trzeba powiedzieć wyraźnie, że wzajemne stosunki fantastyki i realizmu w poszczególnych prądach literackich, przewaga jednego albo drugiego, pozostają w związkach z zadaniami podejmowanymi przez literaturę w danej epoce historycznej. Skłonności realistyczne pojawiają się wówczas, gdy twórca w otaczającej go rzeczywistości widzi byt dla swoich ideałów. Dominowanie fantastyki występuje zaś wówczas, gdy ideały pisarza formułowane są wbrew powszedniemu życiu. Wówczas, gdy rzeczywistości nie może ich potwierdzić i uzasadnić. *Gra w klasy*, podobnie jak każdy inny utwór, prezentuje rzeczywistość w jakimś określonym przekroju historycznym.

Gra w klasy jest przykładem na to, jak nowe potrzeby literatury są realizowane. Tak jak już wcześniej wspomniałam, gdy wydawało się, iż powieść wyczerpuje swoje możliwości, pojawili się twórcy hispanoamerykańscy, otwierając nowe drzwi, pełne nowych możliwości realizowania założeń prozatorskich.

Martyna Lenart

**Małgorzata
Nowakowska-Karczewska**

BRUNO JASIEŃSKI
/1901 – 1938/



Foto: <http://www.polskatimes.pl/artukul/993210,75-lat-temu-rozstrzelano-bruno-jasienskigo-poete-i-wspoltworce-polskiego-futuryzmu,id,t.html?cookie=1>

Miłośnik (w latach młodości bunt) nieco ekscentrycznej mody (jaskrawe koszule i krawaty, hebanowa laseczka ze srebrną gałką, złoty łańcuszek na przegubie, monokl w oku), znawca atrybutów kobiecej urody („.../ smukłe, cudowne nogi /.../ nieomylny talizman kobiet rasowych”), smakosz mocnych trunków, stały bywalec nocnych lokali, w których zazwyczaj szokował swoim zachowaniem („.../ wchodził do Esplanady z okrzykiem «ba -ba», czasem ze szczoteczka do zębów w butonierce /.../”), był duchem mocno niespokojnym („.../ Bo mnie niesie coś wiecznie, motorycznie i przed /.../”).

„Ekstatyczny tancerz na trapezach miast” wołał, miast tkwić wśród spraw i ludzi pospolitych, gdzie czuł się obco, przebywać

w świecie swej nader osobliwej wyobraźni.

„Biała nuda usiadła w kucki na czarnym
dywanie /.../
A ze ściany vis-a-vis łysy i wyuzdany
zegar uśmiecha się do mnie z wyrazem
najdwuznaczniejszych propozycji”.

A i dowcip miał równie osobliwy, celował mianowicie w rzadkim typie humoru nekrofilskiego. Z lubością pomieścił w cyklu wierszy „Cmentarzyk polski” satyryczne nekrologi „żyjących niestety” (niemal wszyscy z tak uśmierconych przeżyli go wiele lat), polityków (nawet Marszałka), i pisarzy, choćby Hemara.

„Chętnie zawsze zaglądał w to, co inni
czynią,
Choć tematy do satyr dawał samym sobą;
Wydał książkę, co zwała się «Dzięk
i świnią»,
Ale nie wiem, pod czyją myślą się
osobą/.../”.

Obdarzony wyrobionym smakiem literackim, wierzył w siłę swego talentu, pragnął uznania, miast tego jego wiersze, pełne nietypowych wynurzeń:

„Pani palce są chłodne i pachną jak opium,
Takie małe półtrupki anemiczne i blond/.../”

oburzały, sprawiały, że nazywano go apostołem zboczeń, kabotynem dekadentem, snobem o wyglądzie pederasty. Dotknięty do żywego (wrażliwy na krytykę Rak), odpowiadał złośliwie, dolewając tym samym oliwy do ognia. „Siedzę właśnie – oznajmiał jednemu z felietonistów – w pewnym ustronnym miejscu i mam przed sobą pańską recenzję. Za chwilę będę ją miał za sobą”.

Ogromna wrażliwość sprawiała, że choć wierzył w swą szczęśliwą gwiazdę, to jednak już od wczesnej młodości, w przeblaskach jasnovidzenia, miał przeczucie tragicznej

śmierci.

„/.../trup mój
krwawy
stratowany,
czerwony,
jak łachman/.../”.

Wysoki, raczej samotnik z usposobienia (Rak), czarujący melancholijnym spojrzeniem nieco asymetrycznych oczu, (takim uwiecznili go przyjaciele malarze – Witkacy i Czyżewski), całkiem niezły pianista, w swym krótkim życiu zdążył zmienić nazwisko, imię, wiarę, język i ojczyznę.

Wiktor Zysman (późniejszy Bruno Jasiński) przyszedł na świat w Klimontowie („Urodziłem się w maleńkim miasteczku /.../”). Był najmłodszym dzieckiem Jakuba (syna Hersza i Łai) Zysmana, klimontowskiego lekarza (uważanego z racji swoich społecznikowskich pomysłów za sympatycznego dziwaka) i Eufemii Marii z Modzelewskich, niezłej pono malarki, której zamążpójście i wychowywanie trójki dzieci (pierworodnego Jerzego, Ireny i Wiktora), uniemożliwiło staranniejse pielęgnowanie talentu. Zmiana nazwiska i urzędowe „usynowienie” przez bliżej nieznanego Iwana i Anielę Jasińskich całej trójki Zysmanów miała miejsce w Kownie w roku 1908. Doktorostwo Zysmanowie (dzieci pozostały przy rodzicach), najprawdopodobniej chcieli zatrzeć żydowskie pochodzenie swej progenitury.

Pierwsze próby poetyckie Wiktora (imieniem Bruno podpisywać zaczął się dopiero od połowy roku 1920), pojawiły się w szkolnych gazetkach, które (podziwiany przez kolegów, przekonanych, że jego tłumaczenie „Rękawiczki” Schillera było doskonalsze niż to dokonane przez Mickiewicza), redagował w gimnazjum im. Reja w Warszawie, dokąd wysłano go na naukę. Maturę jednak zdał (znakomicie, ze srebrnym medalem), w polskiej szkole męskiej w Moskwie, bowiem po wybuchu I wojny Ja-

kub Zysman został zmobilizowany i wraz z rodziną ewakuowany do Rosji.

W Moskwie wszystko fascynowało Wiktora, i rewolucyjne wrzenie, i ogrom miasta, i wieczory poetyckie, w czasie których słuchał Majakowskiego i zauroczył się Buczyńską, aktorką polskiego pochodzenia, która swoje recytacje łączyła z muzyką i tańcem. Pełen młodzieńczego entuzjazmu obserwował, słuchał, marzył, pisał (szukał własnego stylu – i wówczas, i potem nade wszystko chciał być oryginalny), krył się w świecie swoich fantazji. Na wieczorze maturalnym czytał własny wiersz.

„Niebieskie ptaki w powietrzu białym
Na tło obłoków rzucone kreską...
Ja jeden tylko ich myśl słyszałem,
Ich myśl słyszałem bladoniebieską /.../
Rękoma duszy mej łowić będę
Niebieskie ptaki w powietrzu białym”.

Koniec wojny pozwolił Zysmanom i trojgu ich dzieciom wrócić do Klimontowa. Ojciec przystąpił do odbudowania życia rodzinnego i pracy. Jerzy kontynuował w Krakowie rozpoczęte w Rosji studia medyczne (z czasem zrobił karierę naukową, specjalizował się w patofizjologii chorób nerek), Irena (Renia) doskonaliła w Warszawie grę na fortepianie, zapowiadała się na świetną pianistkę. Wiktora, z racji jego humanistycznych zainteresowań, ojciec chciał widzieć na wydziale prawa, ale syn wybrał polonistykę (miłośnik samotnych górskich wędrówek chciał z czasem napisać pracę o klechdach tatrzańskich).

W Krakowie Wiktor zamieszkał prywatnie, pod opieką brata. Poznawał kawiarnie, bulwary, ale i mroczne strony miasta (Jerzy zabrał go do morgi [kostnicy] – „/.../ 25 lat... Prostytutka... sublimatem...”), wszystko, co stanowić miało scenerię jego wierszy. Krakowianie coraz częściej widywali malowniczą postać Jasińskiego, gdy ekscentrycznie ubrany („/.../ surdut ciemny /.../ z jakie-

gość aksamitu czy sztruksu, czarna, atlasowa muszka albo czerwona wstążka zawiązana w kołnierzyku/.../, laseczka w rękę”, „/.../ niekiedy nawet monokl w oku/.../”, bardziej dla fasonu niż z powodu wady wzroku”), przechadzał się po Plantach, zawsze w licznej asyście dziewcząt („Panienczki złotogłówni zmysł owieją...”).

Przerwy wakacyjne spędzał w Klimontowie. Nerwowy, buńczuczny (artysta!), nudził się w sennej atmosferze prowincjonalnego miasteczka. Zorganizował amatorski teatr. Udało mu się wciągnąć do przedsięwzięcia (poza ojcem, który coraz częściej z niepokojem przyglądał się poczynaniom młodzieńca) resztę rodziny. Matka namalowała piękną pono kurtynę (na niebieskim tle górski pejzaż), Renia i Jerzy byli aktorami. Grano w stylowych wnętrzach dawnego klasztoru, a repertuar był wcale ambitny, choćby „Wesele”, w którym sobie przydzielił Wiktor rolę Poety.

W Krakowie zajął się przeszczepianiem na grunt polski idei futuryzmu – „Będziemy zwozić taczkami z placów, skwerów i ulic nieświeże mumie mickiewiczów i słowackich”. W kawiarni Esplanada na rogu Krupniczej i Podwała spotykał się na długie dyskusje z literatami, malarzami. Założył klub „Pod Katarynką”, trzyosobowy wprawdzie (poza dziewiętnastoletnim pomysłodawcą znaleźli się w nim lat parę starszy kolega z uniwersytetu Stanisław Młodożeniec i czterdziestoletni Tytus Czyżewski), ale wkrótce głośny, nie tylko w Krakowie, z racji „poezowieczorów”, w czasie których szokowali publiczność i treścią prezentowanych utworów, i swoim zachowaniem. „Wyfiokowany na ostatni guzik – donosiły gazety – woniejący jak drogerzysta, interesująco blade /.../ ze wspaniałym lokiem nad lewym okiem /.../ urządził cudaczne i dotąd niebywałe recitale poetyckie”. Rozsiadał się wygodnie, zapalał, „z miną znużonego Tyberiusza”, papierosa, brał w starannie wypielęgnowane dłonie „nieskończone długie wstążki zapisanego /.../ papieru” i grasejując, czytał. Bohaterkami wierszy były

często kobiety (stąd rumieńce na policzkach wielbicielki poety), i te, które podpatrywał w nocnych lokalach:

„/.../Pani jest taka taka w «tonie»... i ten
decolletage...

Jak dyskretnie odsłania wszystko, ... a nie
szyję.../.../”,

jak i takie, jak owa zmęczona prostytutka,

„/.../ której stanik
Zafarbował ogniokrwisty hemofilik /.../”.

Trwała wojna polsko-bolszewicka. Jasiński jako student UJ, jak wielu rówieśników, został powołany do odbycia przeszkolenia wojskowego w szkole podchorążych ciężkich karabinów maszynowych jako tak zwany szeregowiec z cenzusem. Kilkumiesięczne szkolenie kończyło się zdobyciem naszywek podoficerskich. Wojsko bez wątpienia nie było jego światem, „/.../ zwracał na siebie uwagę bardziej cywilnym od nas wyglądem – wspominał Młodożeniec. – Jego smukła /.../ sylwetka raczej nieporadnie układała się w /.../ płaszczu nieco przykusym i niezgrabnie pofałdowanym w uchwycie rzemiennego pasa. Błada, pociągła twarz, z lekka przymrużone i jakby zrezygnowane oczy, osadzone nad sporym, ładnie przygarbionym nosem, wyraźnie zaznaczały dystans między rubasznym, wojackim tłumem a udelikaconą (jego) naturą”.

W wojnie wykazać się nie miał okazji, ale w szkole wywołał niezły skandal. Zorganizował wieczór poetycki (wśród widzów nie tylko koledzy, ale i oficerowie z żonami, duchowni), na którym recytował (spoglądając w dodatku na jedną z bliżej siedzących pań):

„/.../ Pani dzisiaj, doprawdy, jest
klasycznie... niedbała...

Pani, która tak zimno gra sercami w cerceau,
Taka sztywna i dumna... tak cudownie umiała,

Nawet puścić się z szykiem po 3 szklach
curacao/.../”.

Kosztowało go to dwa miesiące karceru (wedle niektórych źródeł pocieszał go tam, podrzucając smaczne jedzenie, kolega Stefan Wyszyński, późniejszy prymas), i nigdy niezabliźnioną ranę w psychice. Jasieński uwielbiał prowokacje, ale nade wszystko zależało mu na uznaniu. Wysłał kilka wierszy do redakcji Skamandra. Odpowiedź (drobnym drukiem) znalazła się na jednej z ostatnich stron gazety. Redakcja nie była zainteresowana „popłuczynami po Siewierianinie”. Zabolalo dotkliwie. Zawsze chciał być odrębny i imputowanie mu cudzych wpływów niezwykle go drażniło. Na pociechę mógł sobie mówić (komuś się przecież podobał):

„Czytały mnie białe panienki
Z podkrążonymi oczyma
I podkreślały ołówkiem pornograficzne
stroniczki/.../”,

ale dla jego ambicji to było zbyt mało. Własnym sumptem wydał tomik wierszy (Renia, jedyna w rodzinie admiratorka jego poezji, wyjednała fundusze u ojca) i przekornie zadedykował go samemu sobie – „Brunonowi (wówczas tak się już podpisywał) Jasieńskiemu, genialnemu twórcy «Buta w butonierce» tę książkę zielonych możliwości – poświęcam”. Zachwytu nie wywołał. Przeciwnie, niechętnie uwagi krytyków celnie ujmował satyryczny wierszyk Tuwima:

„Przekrakuł siewierezję,
Wypoeził się jak z nut
I spambanił swą poezję /.../”.

Nie rezygnował, nadal wierzył, że stworzy sztukę, która „Będzie mocna jak wódka i dobra jak piernik /.../”. Wieczory poetyckie (organizowane wspólnie z futurystami warszawskimi, Sternem i Watem), gromadziły wprawdzie tłumy publiczności, bar-

dziej jednak żadnej skandalu niż obcowania z literaturą. „Ludzie tłoczyli się w przejściach – opisywał Bruno jeden z wieczorów w Warszawie – otaczali estradę. Ktoś z publiczności przyniósł węża, jakaś kobieta przysłała z małpą”. Było zabawnie, stałe coś się działo, Bruno był w swoim żywiole. Przewrotny los („/.../ Takie głupie bywa życie/.../”), nie chciał obdarzyć młodego poety szczęściem, przeciwnie, doświadczył ogromną tragedią. Niespodziewanie umarła (prawdopodobnie z powodu zapalenia wyrostka) ukochana siostra Renia.

„/.../ Ubierali ją po cichu, zatrzymali zegar,
Dwóch wkładało pantofelki, jeden znosił
kwiatki /.../”.

Rozpaczal Jakub Zysman (jego wiedza medyczna nie okazała się być wystarczająca, by uratować własne dziecko), rozpaczal Bruno.

„/.../ Moja mała będzie spała,
Nie wpuszczę tu żadnych ludzi,
Jeszcze mi ją kto obudzi /.../”.

Siostrze („Tobie Malutka”) dedykował wszystkie utwory. Bolesne wspomnienia przywoływały samotne spacerunki po Powązkach, gdzie pochowano Renię.

„/.../ na zielonym cmentarzu teraz skomlą
drzewa
i jest tak bezlitośnie przejmująco zimno
/.../”.

Walczył o swoją sztukę, eksperymentował. Kolejne jednodniówki, choćby „Nuż w bżuhu” („Najpiękniejsza – wedle Brunona – publikacja brukowa futuryzmu europejskiego”), szokowały. Oburzały i słowa „Hcemy szczać we wszystkich kolorach”, i ortografia. Gromił Żeromski, Irzykowski („/.../ z krytyków moich najzjadliwszy te tryk /.../”). A i publiczność nie chciała zbyt szybko się futuryzować. Wielkim skandalem

zakończył się wieczór zorganizowany w sali „Morskiego Oka” w Zakopanem. Słuchacze obrzucili poetów jajkami, w ruch poszły pięści, w końcu awantura przeniosła się na Krupówki, posypały się kamienie, interweniować musiała policja. Incydent Bruno nader dobrze zapamiętał. Przywołał go w przedmowie do powiastki „Nogi Izoldy Morgan” i choć usiłował rzecz przedstawić z humorem, doskonale widać, jak bardzo się poczuł skrzywdzony – „/.../ myślałem o tym, że opinia elity publiczności /.../ wyrażona doraźnie po tym wieczorze, była dla mnie na ogół... zbyt pochlebna. Ukamienowanie /.../ nie wchodziło bynajmniej w zakres moich ambicji”.

Przyszedł czas ogłosić koniec polskiego futuryzmu. Bruno, by zapłacić pustkę (a i pewnie nadal epatować swoim postępowaniem), związał się z lewicą. Wreszcie znalazł życzliwych słuchaczy, którzy umieli docenić wagę jego słów.

„/.../wykrztuś się z twych piwnic,
wywał się na wierzch,
jak krew buchnij przez okna
i wszystko zalej
tłumie chamów, co niebo głowami dziurawisz!
jakie ogromne morze wyobrażeń!
jakie cudowne dale! /.../”.

Wspólnie z Anatolem Sternem wydał tomik (okładkę i układ graficzny zapewnił Mieczysław Szczuka) „Ziemia na lewo”. („Nienawidzimy burżuazji – głosili we wstępie – jego widzenie świata i każdą rzecz, która jego jest”). Bruno, pełen nowych nadziei (młodzieńczy entuzjazm wszak jeszcze nie opadł), reklamował tomik zgrabnym wierszykiem. Oto w witrynie jakiejś księgarni:

„/.../ w mechanistycznej okładce moderne
przesłaniała swą tuszą próżnych tomów
mlewo
/.../ «Ziemia na lewo».
Z każdej strony jednak obejrzeć ją warto,

wydana pięknie in quarto,
z portretami poetów
przystojnych, jak rzadko/.../”.

Pojawiła się i miłość. Bruno wziął ślub (wprawdzie, buntownik jak zwykle, wbrew woli rodziny, bo to i zbyt młody, i bez zawodu, i pochodzenie panny entuzjazmu nie wzbudziło), z piękną, sarnioką Klarą (Karą) Arem, córką zamożnego kupca lwowskiego. Zamieszkał kątem przy rodzinie żony, publikował, najczęściej błahostki, w pismach lwowskich, a Parnas był nadal odległy. Marzył przeto, by wyrwać się w świat, doskonalić się. Przeczucie podpowiadało: „Wojażowanie jest chorobą, która zawsze trawiła mnie /.../ i od której z pewnością umrę /.../”, wybrał się jednak z żoną do Paryża. Nie planował wyjazdu na stałe (wrócić zresztą powinien, miał odroczoną służbę wojskową), ale wyjeżdżał w poczuciu krzywdy. „Publikować nie miałem gdzie, na środki do życia nie zanosilo się – jedyna taka możliwość, praca nauczycielska, z moją skandaliczną reputacją, była prawie wykluczona”. Zmiany w życiu Bruno na sięgnęły jeszcze głębiej. Ochrzczony w obrządku katolickim syn luteranckiego Żyda (Jakub jeszcze przed własnym ślubem zmienił wyznanie), oficjalnie odrzucił wiarę i został w wieku lat dwudziestu czterech bezwyznaniowcem. Z dawnego dandysa pozostało niewiele. „W Paryżu zadziwił mnie swym domatorskim trybem życia” – wspominał znajomy. Pracował początkowo jako korespondent lwowskich gazet, w poszukiwaniu tematów odwiedzał paryskie teatry, magazyny konfekcji (tu rodziły się pewnie pierwsze pomysły wykorzystane potem w „Balu manekinów”). Dochody miał więcej niż skromne, z biegiem czasu wiodło się Jasieńskim coraz gorzej. „Żyli w tym czasie – zauważył Gotlib, który często widywał Brunona – niewątpliwie w warunkach niedalekich od nędzy”.

Wróciło natchnienie. Bruno pisał, pisał „Słowo o Jakubie Szeli”. Stylizował życie swego bohatera, świadomie nie trzymał się

faktów. Dodający pikanterii wątek miłosny także odbiegał od zdarzeń rzeczywistych.

„/.../A czyś ty, Maryna,
miała oczy w bielmach,
że ci się spodobał
ten smarzowski stelmach?/.../”.

Była i zdrada –

„/.../po co chodzi twoja Maryś w owies
z smagłym Wickiem, co go masz do
krów?/.../”

i czas zbrodni –

„/.../Tańcowali raz po raz
chłopska kosa, pański pas /.../
Gdzie kończyli taniec –
cały dwór był na nic,
brali panów rankiem,
kładli ich pod gankiem /.../”.

Zamiłowanie Brunona do fantastyki, niezwykłości, przewijające się przez całą jego twórczość, pozwoliło wprowadzić do utworu rozmowę Szeli z Jezusem.

„Nie ceniłeś ty krwi chłopskiej,
za złamany szeląg!
Czemuż się, Panie Jezu,
tak o pańską przeląkł? /.../”.

Kazał wreszcie poeta zawisnąć swemu bohaterowi na stryczku (w rzeczywistości Szela przeżył i wiodło mu się potem całkiem dobrze):

„/.../Skończył się nam zapust,
dalej, pany, jedziem!
Zwiśnie chłop na szubienicy
popielcowym śledziem”.

Zadowolony z efektu wysłał poemat do kraju, spodziewał się rzetelnych recenzji, tych prawie nie było, a koledzy literaci nie skąpili

złośliwości. Gałczyński, robiąc niesmaczne aluzje do pochodzenia Brunona, przywołał jego obraz w swoim „Piekło polskim” („w monoklu przemknął się diaboltyń”). Tuwim, od dawna zdecydowanie nieprzychylny poecie, skwitował utwór kolejnym satyrycznym wierszykiem.

„Chodził bez butów ten chłopoman
Lecz w butonierce jeden but miał –
Jaki to teraz przyszedł oman,
że tak spowaźniał i posmutniał? /.../”.

Bruno starał się ukryć gorycz rozczarowania. W paryskich lokalach spotykał czasem znajomych z kraju. „Przesiadywałem z nim do późnej nocy w kawiarniach na Montparnassie – wspominał Brzechwa. – Przez niego poznałem Ehrenburga, a także popularną wśród cyganerii paryskiej modelkę Kiki /.../”.

Bruno postanowił odejść od poezji. „Rezultatem trzymiesięcznej pracy był pierwszy mój utwór prozaicki, powieść „Pałę Paryż”. Powieść, pełna prowokacyjnych obrazów („/.../ Trzynastolatki, towar pewny. Trzeba to tylko umieć podać w odpowiednim sosie/.../”) zainspirowana była nowelą „Pałac Moskwę” Moranda (francuskiego dyplomaty i pisarza), będącą frywolną opowieścią z kluczem o miłosnych niemożnościach Majakowskiego. Bruno zapamiętał Moskwę inaczej. Wyidealizowanym obrazom przeszłości przeciwstawił całe zło zachodniego świata, który, jak źle skonstruowana maszyna, więcej niszczy niż tworzy. Bohater powieści, młody robotnik Pierre, był właśnie ofiarą niesprawiedliwych praw owego świata. Pozbawiony pracy, miłości (dziewczyna umarła) w odruchu zemsty zniszczył Paryż, wywołując w nim epidemię dżumy. Przetrwali w nim tylko więźniowie proletariusze, którzy przystąpili do budowy nowego (lepszego oczywiście), porządku.

Drukowana w odcinkach w „L’Humaine” powieść (rekomendował ją Barbusse, słynny pisarz lewicowy), skupiła na Bruno nie uwagę władz francuskich. Niepokoiła też działalność amatorskiego teatru, który Bruno (od pewnego czasu członek Francuskiej Partii Komunistycznej), zorganizował (jakże przydały się klimontowskie doświadczenia), wśród polskich robotników-emigrantów. „Jasieński miał pracę niełatwą – wspominał Gotlib, w którego pracowni malarskiej wieczorami odbywały się próby. – Wielu spośród jego aktorów nie rozumiało słów, które mieli recytować”. Bruno (już nie ten dawny artysta o nieokiełznanym temperamentcie), tłumaczył wszystko z niezwykłą cierpliwością. Zespół wystawił (z sukcesem), „Rzecz gromadzką” (przeróbka poematu o Szeli). Bruno lekcewał nakazy dotyczące działalności teatru, został aresztowany (władze obawiały się skutków jego nazbyt radykalnych poglądów) i deportowany do Niemiec. Sprawa wywołała protesty (m.in. pisarzy francuskich), pod ich naciskiem nakaz wydalenia cofnięto, lecz jednocześnie nie wydano poecie wizy francuskiej. Przekroczył tedy nielegalnie granicę, by dokończyć swą misję wśród robotników. Aresztowany ponownie po kilku tygodniach pod konwojem odstawiony został do granicy z grupą innych uciążliwych cudzoziemców.

Przyjął (naiwny – niewątpliwie także pod wpływem wspomnień), oficjalne zaproszenie rządu radzieckiego i na niemieckim parowcu (przez Szczecin) przypłynął wraz z Karą (która spodziewała się dziecka), do Leningradu, a następnego już dnia dotarł do Moskwy. Witano go wszędzie entuzjastycznie (tłumy, transparenty, kwiaty, okrzyki), wszak była to doskonała okazja propagandowa. Gazyety w kraju doniosły – „Do Moskwy przybył wydany z granic Francji za antypaństwową działalność warszawski Żyd, Bruno Jasieński, autor skandalicznej powieści „Palę Paryż”. Wywrotowiec został manifestacyjnie przyjęty przez sowieckie koła literackie”.

Bruno był w euforii, początkowo wszystko zdawało się układać znakomicie, Kara jednak nie podzielała jego entuzjazmu, liczyła, że mąż rychło się rozczaruje i wyjadą. Bruno czuł się potrzebny, rozumiany. Pochłonęły go spotkania z dostojnikami, przyjmował go Łunaczarski, „był – jak pisał Wat – ozdobą salonów Jagody” [szefa NKWD – przyp. M.N.-K.]. Odbywał podróże, w czasie których podziwiać miał rozmach radzieckiej gospodarki (budowa kanału irygacyjnego w pustyniach Tadżykistanu), miał nawet swój szczyt w górach Pamiru. Rozstał się z żoną (plotka głosiła, że została kochanką Jagody), z synem Andrzejem utrzymywał sporadyczne kontakty. Niedawny futurysta został fanatycznym ideologiem stalinizmu. Nie bez ironii komentowała tę przemianę prasa w Polsce. „Co za skok gwałtowny od dandysa w monoklu, z czarnym lokiem, spadającym zalotnie na wysokie czoło, do ascetycznej, kościstej twarzy współczesnego Torquemady”. Pasje i poglądy Brunona podzielała druga żona, Anna Berzin, uchodząca za osobę kontrowersyjną.

Bruno dużo pisał, coraz częściej wyłącznie po rosyjsku (przyjął także radzieckie obywatelstwo). „Bał manekinów” zdążył jeszcze poprzedzić pochlebnym wstępem Łunaczarski (odsunięty na boczny tor zmarł wkrótce w tajemniczych okolicznościach). Wielkim sukcesem Brunona stała się obszerna powieść „Człowiek zmienia skórę”, efekt podróży do Tadżykistanu. Coraz częściej jednak musiał lawirować, jak tyłu innych, pomiędzy tym, co było oficjalnie uznawane za dobre, a tym, co za dobre uznawało sumienie. Uwikłany w sieć intryg snutą w otoczeniu Jagody, ogarnięty obsesją strachu, coraz bardziej niemoralny („wychwalałem teatr polskiego prowokatora Wandurskiego”), rozsiewał plotki, inicjował nagonki na innych twórców (w tym pono na Babla). W tej atmosferze pracował nad (niedokończoną, po latach ocalałe fragmenty wydała Anna Berzin) powieścią „Zmowa obojętnych”. Poprzedził ją znamienym mottem –

Jagoda wypadł z łask Stalina (zastąpił go Beria), a to dla jego akolitów, w tym dla Brunona, oznaczało tylko jedno – śmierć. „Oszczerstwa prowokatorów – pisała Anna Berzin – sprawiły, że został aresztowany”. Zniszczeniu uległa, skonfiskowana przez władze śledcze, wspaniała biblioteka, którą przez lata kompletował Jasieński. Światem Brunona stało się na wiele miesięcy ponure więzienie na Butyrkach.

Torturami zmuszany był do najbardziej nieprawdopodobnych samooskarżeń, ale zdaniem współwięźnia – „Trzymał się bardzo dobrze, duchem nie padał, wierzył, że jeszcze będzie żyć, że jeszcze napisze dobre książki”. Próbował nadal wierzyć w swą szczęśliwą gwiazdę, ale przeczuwał nadchodzącą śmierć – „/.../ W swój kamień nagrobny się zmieniam pomалу /.../”.

Wyrok wykonano skrytobójczo („.../ trup mój .../ jak łachman .../”), wedle przez długie lata oficjalnej (fałszywej) wersji

Kara rozstrzelana została kilka miesięcy wcześniej, Anna kilkanaście lat spędziła w obozie, Andrzej, ukrywany pod obcym nazwiskiem, przeżywał gehennę, po latach nauczył się polskiego, by czytać utwory ojca.

Tak się stało, choć do oficjalnej rehabilitacji minąć musiało lat kilkanaście. Anatol Stern, który doskonale czuł, że pod powłoką żarliwego komunisty, który nie zechciał nawet sobie przyznać, że się pomylił w wyborach życiowych, kryła się niezwykle wrażliwa natura, napisał –

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

Jan Łączewski

DZIESIĘĆ NAJWIĘKSZYCH ZWYCIĘSTW POLSKIEGO ORĘŻA W HISTORII

CEDYNIA (24.06.972) – pierwsza bitwa polskiego wojska. Mieszko I i jego brat Czcibor uderzeniem jazdy pokonali wojsko murgabiego saskiego Hodona. Pierwsza bitwa – pierwsze zwycięstwo.

GRUNWALD (15.07.1410) – najbardziej znane zwycięstwo polskiej i litewskiej armii nad wojskiem zakonu krzyżackiego. W XX w. nieścisłe określano tę bitwę jako zwycięstwo Polaków nad Niemcami.

ORSZA NAD DNIEPREM (08.09.1514) – książę Konstanty Ostrogski pokonał 80 tys. armię moskiewską, pomimo, iż dowodził jedynie 30 tys. wojska. Bitwa pod Orszą została przedstawiona na obrazie prawdopodobnie z kręgu szkoły Łukasza Cranacha. Obecnie znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie.

KIRCHOLM (27.09.1605) – hetman Karol Chodkiewicz rozbił wojsko szwedzkie liczące ponad 11 tys. żołnierzy, posiadając jedynie 6 tys. zaciężnych. Zginęło ponad 6 tys. Szwedów. Straty polskie to około 100 osób.

KŁUSZYN (04.07.1610) – dowódca polski, hetman Stanisław Żółkiewski (z 7 tys. żołnierzy) rozbił pod Kłuszynem armię moskiewską (30 tys.) wspomaganą przez Szwedów, co otworzyło Polakom drogę do Moskwy. Car Wasyl Szujski został wywieziony z rodziną do Warszawy. Był to jedyny w historii przypadek zwycięskiego zdobycia Moskwy.

CHOCIM (2.09-9.10.1621) – sułtan turecki Osman II z 115-tysięczną armią usiłował zdobyć Chocim, tzn. przejść przez graniczną rzekę Dniestr. 30 tysięcy polskich żołnierzy oraz 25 tysięcy Kozaków uniemożliwiło tę przeprawę. Inwazja turecka została odparta, co świat chrześcijański uznał za wyjątkowy wręcz sukces. Gratulacje przysyłali m. in. papież, dożowie Wenecji i wielu niemieckich książąt.

CHOCIM (11.11.1673) – 52 lat później następny atak turecki odparło wojsko pod dowództwem króla Jana III Sobieskiego.

ODSIECZ WIEDNIA (12.09.1683) – zagrożony przez Turków Wiedeń uratowała pomoc z Polski. Dowodził Jan III Sobieski. Armia złożona z Niemców, Austriaków i Polaków rozbiła wojsko tureckie. Zwycięstwo to było początkiem upadku potęgi osmańskiej. Bogactwa tureckie wpadły w ręce zwycięzcy, w tym kawa, nieznana dotychczas w Europie. Polak Franciszek Kulczycki – zasłużony szpieg – otrzymał zasoby kawy i założył w Wiedniu pierwszą europejską kawiarnię.

OBRONA LWOWA (1-15.11.1918) – Ukraińcy w porozumieniu z ustępującymi wojskami austro-węgierskimi otrzymali sprzęt i broń. Polacy walczyli o każdy budynek. Także 14-letni chłopcy. Zwłoki jednego z obrońców Lwowa przeniesiono do Warszawy i umieszczono w grobie nieznanego żołnierza. Skutkiem tej bitwy było utrzymanie Lwowa w granicach Polski.

WARSZAWA (13-25.08.1920) – stoczono bitwę z Armią Czerwoną, idącą na podbój Europy, by narzucić jej komunizm. Uderzenie znad Wieprza według koncepcji Józefa Piłsudskiego rozbiło wojsko najeźdźcy. Zdaniem Edgara D'Abernon była to 18. z przełomowych bitew w historii świata.

MONTE CASSINO (1-4.06.1944) – wojsko polskie pod dowództwem generała Władysława Andersa odniosło okupione śmiercią 924 żołnierzy zwycięstwo nad Niemcami. Polacy zdobyli szczyt góry, gdzie znajdował się klasztor, co przedtem nie udało się aliantom. Zaprzeczono w ten sposób stalinowskiemu pogładowi, że Polacy nie chcieli bić się z Niemcami.

Jan Łączewski

Magdalena Syguda

BITWA POD MOKRĄ

75 lat temu miała miejsce jedna z najchlubniejszych, a zarazem najważniejszych bitew polskiej kawalerii w czasie kampanii wrześniowej – Bitwa pod Mokrą. Było to również jedno z pierwszych starć II wojny światowej.

Do bitwy doszło 1 września 1939 roku na terenie wsi Mokra I, II i III, leżących w odległości 7 km od Kłobucka. Walczącym przez cały dzień Polakom udało się nie tylko opóźnić niemiecki marsz na Warszawę, ale również zadać przeciwnikowi spore straty. Obroną tego terenu zajmowała się wchodząca w skład Armii „Łódź” gen. Juliusza Rómmla, Wołyńska Brygada Kawalerii dowodzona przez płk dypl. Juliana Filipowicza. Składała się ona z: 12. Pułku Ułanów Podolskich, 19. Pułku Ułanów Wołyńskich, 21. Pułku Ułanów Nadwiślańskich, 2. Pułku Strzelców Konnych, 2. Dywizjonu Artylerii Konnej, 21. Dywizjonu Pancernego, 53. Pociągu Pancernego „Śmiały”, 11. Batalionu Strzelców Pieszych oraz IV batalionu/84. Pułku Piechoty Poleskiej. Po stronie przeciwnej znalazły się: 8. Armia gen. Blaskowitza i część 10. Armii gen. Reichenau.

Wołyńskiej Brygadzie Kawalerii przyszło walczyć z 4. Dywizją Pancerną gen. mjr Hansa Reinhardta. Polscy żołnierze wykazali się niezwykłą odwagą i umiejętnością walki z dużo lepiej uzbrojonym oddziałem niemieckim, wspieranym przez bombowce szturmowe. Jeden z Polaków, kpt. Radajewicz, w taki sposób opisywał pierwsze spotkanie i początek walk z Niemcami: „Niemcy pędzili przed czołgami ludność cywilną, w tym dzieci i kobiety oraz inwentarz żywy jak konie, krowy, świnie itd. Wszystko to biegło z wielkim wrzaskiem i krzykiem. Moja sytuacja jako d-cy była ciężka, jeżeli chodzi o wydanie rozkazu do otwarcia ognia. Ponieważ byłem oparty o lasek, Niemcy wstrzy-

mali marsz czołgów, okazali pewne wahanie i w tym czasie ludność przeszła przez nasze stanowiska, wpadła w las”.

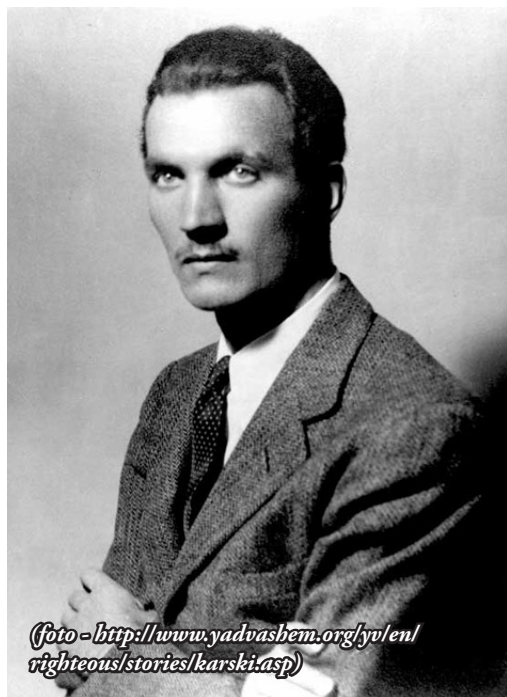
W bitwie, po stronie polskiej, brał również udział pociąg pancerny „Śmiały”. Warto w tym miejscu przedstawić relację kaprała Władysława Koniecznego, działonowego jednej z haubic: „Zgrupowanie czołgów nieprzyjaciela po obu stronach toru kolejowego. Ogień huraganowy! (...). Pierwszym pociskiem, który opuścił lufę naszego dział, został trafiony i zapalony czołg, następnym pociskiem trafiona cysterna z benzyną. Powstała lawina ognia, od którego zapalały się następne czołgi i samoloty. Wszystkie pociski były celne. Powstało straszliwe widowisko. Eksplodowały samochody z amunicją, cysterny z benzyną, w powietrzu migwały hełmy niemieckich żołnierzy, kawałki ciał ludzkich, ręce, nogi, przedmioty z rozbitych samochodów”.

Najlepszym podsumowaniem będzie relacja dowódcy kompanii czołgów niemieckiego pułku 4. Dywizji Pancernej por. Petera Derna, który tak pisał o walce z polskimi żołnierzami: „Człowiek oczom nie wierzył, patrząc, jak ci Polacy się biją! Wydawało się, że przejdziemy jak po maśle ich pozycje broniące przez śmiesznie dziecinne, przy naszej nawale broni pancernej, małe działka i gniazda karabinów maszynowych. A jednak odgryzają się zajadle, trafiają celnie nasze maszyny”.

Bibliografia:

- P. Witkowski, *Bój Wołyńskiej Brygady Kawalerii pod Mokrą 1 września 1939 r.*, [w:] *70 rocznica Bitwy pod Mokrą i wybuch II wojny światowej na Ziemi Kłobuckiej – materiały konferencyjne*.
- A. Jońca, Z. Jagiełło, A. Kostankiewicz, L. Kujawski, P.M. Rozdżestwieński, R. Rawicki, J.S. Tym, A. Wesołowski, J. Wróbel, *Mokra Działoszyn 1939*, Warszawa 2005.
- J. Magnuski, *Pociąg pancerny „Śmiały” w trzech wojnach*, Warszawa 1996.
- S. Piotrowski, *Bitwa pod Mokrą*, Częstochowa [1981].

JAN KARSKI /1914 – 2000/



Sto lat temu – w 1914 roku – urodził się Jan Karski, emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego. Z tej okazji Sejm RP ustanowił rok 2014 Rokiem Jana Karskiego. Jest to odpowiedni moment na przybliżenie jego niezwykle interesujących losów wojennych.

Jan Karski, a właściwie Jan Romuald Koziński, urodził się 24 kwietnia 1914 roku w Łodzi, tam też w 1931 roku ukończył Gimnazjum Miejskie im. Józefa Piłsudskiego. Wychowywał się w rodzinie katolickiej, w czasach gimnazjalnych należał do ZHP. Już w tym czasie zaczął wykazywać duże zainteresowanie dyplomacją, jego wzorem był Talleyrand. Nie dziwi więc wybór kierunku studiów, które ukończył w 1935 roku na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie z tytułem magistra nauk dyplomatycznych.

W czasie studiów należał do Legionu Młodych – Akademickiego Związku Pracy dla Państwa, którego był prezesem, oprócz

tego był także członkiem Towarzystwa Szkoły Ludowej. Po studiach odbył kurs w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, który to ukończył z pierwszą lokatą i stopniem podchorążego rezerwy. W dalszej kolejności przebywał na zagranicznej praktyce, najpierw w Genewie, później w Londynie, od stycznia 1939 roku pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, początkowo jako referendarz, później jako sekretarz w Wydziale Polityki Emigracyjnej, a tuż przed wojną został sekretarzem Wydziału Personalnego.

W nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 roku otrzymał tajny rozkaz mobilizacyjny, miał cztery godziny na opuszczenie stolicy i udanie się do swojej jednostki w Oświęcimiu. Karski tak opisywał sytuację panującą w pociągu, którym jechał: „Wepchnąłem się niemal siłą. Wagony były zatłoczone, a wszystkie miejsca siedzące pozajmowane. Panował ścisk w przejściach, ludzie tłoczyli się nawet w ubikacjach. Wszyscy wydawali się pełni zapału, podniecenia, prawie rozradowani. Oficerowie rezerwy byli schludni i pewni swego, z kolei wśród cywilów panowały nastroje nieco mniej entuzjastyczne, zupełnie jak gdyby wielu z nich nie odpowiadało takie wyrwanie z codziennych obowiązków i zajęć, choćby nawet – jak się wydawało – chwilowe. Lokomotywa ruszyła z sapaniem, pociąg jął sunąć powoli przy akompaniamencie typowych w takich chwilach okrzyków: «Jedziemy, jedziemy!», które w końcu przeszły w donośny hałas radosnego, czystego, niepojętego podniecenia, kiedy opuszczaliśmy stację i podążyliśmy naprzód»¹.

Wybuch wojny całkowicie zaskoczył oświęcimskich żołnierzy i zmienił ich entuzjastyczne nastawienie: „1 września, około piątej rano (...) samoloty Luftwaffe nieopstrzeżenie przeleciały krótką trasę do Oświęcimia i krążąc nad naszym obozem, obrzuciły całą okolicę ognistym gradem bomb

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z książki J. Karskiego pt. *Tajne państwo*.

zapalających. Równocześnie setki potężnych i nowoczesnych niemieckich czołgów przekroczyły granicę i podjęły intensywny ostrzał płonących ruin. Liczba ofiar śmiertelnych, rozmiary zniszczeń i chaosu na skutek tego połączonego ataku w trakcie trzech krótkich godzin były ogromne. Gdy oprzytomnieliśmy na tyle, żeby rozeznac się w sytuacji, stało się jasne, iż nie możemy stawić poważnego oporu. Mimo wszystko kilka baterii jakimś cudem zdołało bronić się wystarczająco długo, aby oddać parę strzałów w kierunku czołgów. Do południa dwie nasze baterie artyleryjskie zostały rozbite”.

18 września Karski dowiedział się, że Rosjanie przekroczyli granicę polską, a chwilę później był już ich jeńcem. Polaków przetrzymywano na dworcu w Tarnopolu. „Rankiem – pisał – rozbudził nas na dobre odgłos wjeżdżającego długiego składu z wagonami towarowymi. Rosyjskie stráže zaczęły zapędzać naszych żołnierzy do tego pociągu. Bez kontroli dokumentów, bez prób organizowania czy uporządkowania wszystkiego lub choćby ustalania tożsamości jeńców. Odliczano tych, którzy wchodzili do wagonu, a gdy naliczono sześćdziesięciu, wagon uznawano za wypełniony”.

Wagonów było sześćdziesiąt, piątego dnia jazdy pociąg zatrzymał się i jeńcy zostali przeprowadzeni do obozu Kozielszczyzna. Karski przebywał w nim 6 tygodni, udało mu się trafić na listę osób objętych wymianą pomiędzy Niemcami i ZSRR. Do wymiany doszło w Przemyślu, następnie więźniowie zostali przewiezieni do otoczonego drutem kolczastym obozu w Radomiu. Tak opisano to miejsce w *Tajnym państwie*: „Warunki bytowe były okropne. Żywiono nas wydawaną dwa razy dziennie wodnistą lurą, która była tak ohydna w smaku, że wielu, a ja w ich liczbie, nie mogło się zmusić do jej przełknięcia. Poza tym dostawaliśmy dzienną rację około dwudziestu gramów czerstwego chleba. Mieszkaliśmy w jakiejś budzie tak zdewastowanej, że ledwie przypominała niegdyśjsze koszary.

Tam spaliśmy na gołej podłodze wyścielanej cienką warstwą słomy (...). Nie dostaliśmy koców, płaszczy ani w ogóle niczego, co chroniłoby przed przenikliwą listopadową wilgocią. Opieki medycznej nie było”.

Karski nazywany był przez współtowarzyszy niedoli Profesorem. Udało mu się zbiec z pociągu wiozącego więźniów na roboty, dotarł do Kielc i stamtąd do Warszawy. Tam też spotkał swojego dawnego kolegę o nazwisku Gintowt-Dziewałtowski, który wciągnął go do podziemnej organizacji o nazwie Służba Zwycięstwu Polski. Karski zmienił wtedy dane personalne, stał się Witoldem Kucharskim. W czasie okupacji korzystał z wielu pseudonimów, m. in.: „Witold” czy „Franek”, znano go także jako Kanickiego, Piaseckiego, Znamierskiego oraz Kruszewskiego. Sam o przyłączeniu się do podziemia pisał tak: „Choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, znalazłem się w składzie polskiej organizacji podziemnej. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, romantycznego. Nie musiałem się na nic decydować ani wykazywać się odwagą lub zawadiactwem. Doszło do tego w efekcie zwyczajnych odwiedzin u dobrego znajomego, do którego zaprowadziły mnie głównie rozpacz, smutek i poczucie całkowitego zagubienia”.

Został zaprzysiężony przez Mariana Borzęckiego. Na pierwszą akcję pojechał jako Andrzej Vogst do Poznania w celu nawiązania kontaktu z tamtejszym działaczem podziemia (jego córka udawała narzeczoną Karskiego). Kolejne, dużo poważniejsze i bardziej niebezpieczne zadanie wyznaczyło mu Stronnictwo Narodowe. Miał udać się do Lwowa, aby doprowadzić do zawarcia sojuszu pomiędzy partiami politycznymi oraz zacieśnienia współpracy pomiędzy organizacją warszawską i lwowską, a następnie przedostać się do Francji i złożyć raport władzom polskim w Paryżu i Angers z sytuacji panującej w kraju. Spotkał się tam z gen. Sikorskim, gen. Sosnkowskim oraz prof. Kotem. W drodze powrotnej zabrał z Budapesztu

plecak wyładowany piętnastoma kilogramami banknotów przeznaczonych dla władz w kraju.

W swoją kolejną misję udał się również do Francji, w Krakowie otrzymał rolkę mikrofilmu, którą miał przekazać władzom we Francji. Tym razem jednak sytuacja się skomplikowała, wraz z przewodnikiem dotarli tylko do wsi Demjata na Słowacji i tam zostali aresztowani przez słowackich żandarmów. W ostatniej chwili udało mu się wrzucić kieszę do wiadra z wodą, niestety Gestapo zdołało wywołać część zdjęć. Był przetrzymywany w Preszowie, przetrwał trzy przesłuchania, które tak opisywał: „Rzucili się na mnie i postawili pod ścianą. Grad ciosów zadawanych pięściami spadł mi na twarz i całe ciało. Kiedy ugiwały się pod mną nogi, podtrzymywali mnie pod pachami”. I dalej: „Smagnął mnie pejcem po policzku. Gestapowcy rzucili się na mnie i zaczęli okładać pięściami. Świat odpłynął w nicość, gdy spadał na mnie ich wściekłe razy”. Na tym przesłuchaniu wybito mu cztery zęby.

Karski obawiał się kolejnych tortur i postanowił odebrać sobie życie. Pisał: „Wiedziałem, że dotarłem do kresu, że już nigdy nie odzyskam wolności, nie przetrwam kolejnego bicia i że jedynym sposobem, aby uchronić się przed hańbą zdradzenia przyjaciół w stanie półprzytomności, jest użycie żyłki i skończenie ze sobą. Wcześniej często zastanawiałem się, co czują ludzie ginący za jakąś ideę. I miałem pewność, że są owładnięci wielkimi, podniosłymi myślami o sprawie, za którą przyszło im oddać życie. Szczerze dziwiło mnie to, że chyba jednak tak nie jest. Sam odczuwałem tylko wszechogarniającą nienawiść i odrazę silniejsze nawet od fizycznego bólu”. Półprzytomnego „Witolda” odnalazł strażnik, słowaccy lekarze uratowali mu życie. Następnie przewieziono go do szpitala w Nowym Sączu. Tamtejszy personel związany był z podziemiem. Poprzez siostrę zakonną udało mu się nawiązać kontakt z organizacją. Bojąc się dalszych przesłuchań,

poprosił o truciznę (przysłano mu kapsułkę z cyjankiem). Przekupiono pilnującego go gestapowca i tym sposobem udało mu się uciec ze szpitala. Przez trzy dni przebywał w stodole na wsi, później przewieziono go w beczce do majątku Kąty. Tam ze względu na zły stan zdrowia rozpoczął pracę w wydziale propagandy, był odpowiedzialny za przygotowywanie broszur, ulotek i artykułów prasowych. Wziął także udział w akcji likwidacyjnej miejscowego folksdojczy. Gdy zrobiło się tam niebezpiecznie, wyjechał do Krakowa. Tam prowadził nasłuch radiowy, a po przeniesieniu do Warszawy rozpoczął trwającą trzy lata pracę w Politycznym Wydziale Łącznikowym, po czym powrócił do wypełniania zadań kuriera.

Wyznaczono mu niezwykle ważną misję przedostania się do Anglii i podzielenia się z przedstawicielami rządu polskiego oraz państw sprzymierzonych informacjami na temat tego, co w danym czasie działo się w Polsce. Miał także przekazać informacje powierzone mu przez przedstawicieli ludności żydowskiej. Aby zorientować się w ich sytuacji, dwukrotnie odwiedził getto warszawskie, chciał bowiem zapamiętać jak najwięcej szczegółów, którymi mógłby się podzielić z chcącymi go wysłuchać politykami. Oprócz tego udał się także, w przebraniu ukraińskiego strażnika, do obozu w Izbicy Lubelskiej (w swej książce mylnie opisuje go jako obóz w Bełżcu). Tak przedstawiał panującą w nim atmosferę: „Obóz znajdował się na rozległej równinie, zajmując ponad dwa kilometry kwadratowe. Ze wszystkich stron otaczało go potężne ogrodzenie z drutu kolczastego, wysokie na dwa metry i w dobrym stanie. Za tym ogrodzeniem co kilkanaście metrów stał wartownik z gotowym do strzału karabinem z bagnetem. Wokoło krążyli strażnicy, nieustannie patrolując teren. Sam obóz składał się z niewielu małych szop czy też baraków. Całą przestrzeń wypełniała szczelnie gęsta, ruchoma, pulsująca, hałaśliwa ludzka masa. Wygłodzeni, cuchnący, gestykujący, do-

prowadzeni do oblędu ludzie byli tam w ciągłym, zdradzającym podniecenie ruchu”.

Do Anglii przewoził również klisze zawierające najważniejsze dokumenty, które umieszczono w ręczce brzytwy. Tam też spotkał się z najwybitniejszymi politykami. Otrzymał, na znak sympatii, srebrną papierośnicę od gen. Sikorskiego, został także (już drugi raz) odznaczony Srebrnym Orderem Wojennym *Virtuti Militari*. Następnie udał

się do USA, gdzie swój raport przekazał m. in. prezydentowi Rooseveltowi. W 1944 roku spisał swoje *Tajne państwo*, po wojnie udał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie przez wiele lat był profesorem Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie. Otrzymał m. in. Order Orła Białego, tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata oraz honorowe obywatelstwo Państwa Izrael. Zmarł 13 lipca 2000 roku w Waszyngtonie.

Magdalena Syguda

Maciej Kuczyński

MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Usłyszałem huk. Nie zdziwiło mnie to specjalnie, to już nie pierwszy tego dnia. Widok biegających matek ciągnących za sobą nerwowo płaczące dzieci zdążył się już na dobre zakorzenić w krajobrazie Miasta. W tle ponuro osypywały się tynki z ledwo stojących budynków. Przez środek ulicy dumnie maszerowali hitlerowcy. Dzisiaj ich widok wywoływał we mnie szczególny popłoch. Ich wyraz twarzy mówił tylko tyle, żeby zejść im czym prędzej z drogi, bo można naprawdę źle skończyć. Nie mieli przecież powodów do radości. Dziś bowiem wypadła 1 sierpnia. Ten 1 sierpnia, kiedy w Mieście zawrzało. Setki warszawiaków rzuciło się do broni, aby pokrzyżować plany okupantom. Zdenerwowany, po kilku godzinach namysłu, postanowiłem dołączyć do naszych. Około jedenastej wyszedłem na ulicę i pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, to jednocześnie dostojnie i desperacko dryfujący po niebie amerykański samolot Liberator. Nie różniłby się niczym od innych podobnych mu Liberatorów, gdyby nie fakt, że nie kręciły mu się śmigła.

Wokół kilkudziesięciu ludzi, dziwnie niepasujących do otoczenia. W mojej kieszeni nagle pojawił się telefon, jak w powieści science-fiction. Na ekranie widniała data

– 24 października 2012 roku. Towarzysze gdzieś się rozeszli, każdy poszedł w inną stronę. Obejrzałem się za siebie – maksymalna odległość, na jaką zbliżyli się do mnie Niemcy, wynosiła na oko osiem metrów, gdyż mniej więcej tyle dzieliło mnie od ekranu w sali kinowej. „To mi się tylko wydawało” – pomyślałem. Tylko pośrednio. Mimo XXI wieku w zasięgu wzroku powiew tamtych czasów nadal czuć na skórze. Witamy w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Pod otwarte 31 lipca 2004 roku (w przeddzień 60. rocznicy wybuchu powstania) Muzeum, znajdujące się w odrestaurowanym i nowoczesnym budynku dawnej Elektrowni Tramwajów Miejskich, podjechałem w ten chłodny, jesienny dzień zmęczony i lekko zdenerwowany. Przyznam wprost – nie jestem miłośnikiem tematyki wojennej. Wizyta w tym miejscu stanowiła dla mnie wówczas jedynie element wycieczki szkolnej, w jakiej miałem przyjemność uczestniczyć. Przed wejściem rozdano nam bilety i zachęcono do kupna karnetu na film *Miasto ruin* (płatny osobno) w sklepie z pamiątkami obok.

Zwiedzanie rozpocząłem około godziny dziesiątej. Pierwsze wrażenie jak najbardziej

pozytywne: praktycznie wszystko odpowiednio zaaranżowane i zaadaptowane. Widać tu postęp techniki i przejawy nowoczesności – to przecież stosunkowo młode muzeum. Pierwszą ciekawostką, na jaką dane mi było się natknąć, były wirtualne telefony z nagranymi głosami osób opowiadających własne historie: o życiu w wojennej Warszawie, uczuciach, strachu, walce i oddaniu Ojczyźnie. Aparaty były wiernymi replikami modeli produkowanych w latach 40. XX wieku. Otoczenie przypominało budkę telefoniczną, co znacznie dodawało klimatu. Tuż obok znajdowała się drukarnia. Zatrudniony drukarz obsługiwał imitację maszyny drukarskiej, stale powielając numer pewnej gazety warszawskiej. Z pierwszej strony mogłem się dowiedzieć o wybuchu powstania i usłyszeć zachętę, żeby iść do broni, bo Stolica mnie potrzebuje.

Przedostałem się do sali głównej – tej z majestatycznym Liberatorem. Niestety, w dniu mojej wizyty był on zamknięty dla zwiedzających. Mimo tego, nawet z zewnątrz, zapierał dech w piersiach. Rozbrzmiewające dokoła odgłosy i warkot silników dawały poczucie niesamowitego realizmu. Czterosilnikowy, kilkudziesięciometrowy potwór sprawiał wrażenie strażnika Muzeum, pilnującego nastroju i podniosłości tego miejsca...

Piętro wyżej, z dala od gwaru i tłumu skupionego pod samolotem, odnalazłem prawdziwy arsenał. W kilkunastu gablotach znajdowały się autentyczne modele broni – począwszy od nożyków, na wyrzutni rakiet kończąc. Spędziłem dobre kilkanaście minut przyglądając się samemu tylko panzerfaustowi. Olbrzymia „rura”, mówiąc najprościej, z jeszcze większym odrzutem – do dziś nie mogę uwierzyć, jak taka maszyna nie urywała ramion podczas oddawania strzału.

Dostrzegłem małe, ceglane przejście w ścianie. Prześlizgnąłem się przez nie i nagle przeniosłem się do kanału. Gdyby nie warunki sanitarne – oczywiście brak ścieków i szczurów – mógłbym się poczuć jak w rze-

czywistym kanale wojennej Warszawy. One stanowiły podstawowy sposób przemieszczania się po mieście ze względu na ogólne bezpieczeństwo – dość łatwo było się ukryć i przeczekać ewentualny przemarsz wroga. Labirynt wydawał się nie mieć końca. Atmosferę dopełniała względna ciemność.

Dość hucznie zapowiadany przed wejściem eksponatem miał być autentyczny, w pełni sprawny karabin szturmowy, z którego można było oddać prawdziwy strzał. Rzeczywistość okazała się niestety nieco rozczarowująca – fakt, odnalazłem takową atrakcję w Muzeum, aczkolwiek wspomniana broń nie była w ogóle zdalna do użytku. Może zostałem wprowadzony w błąd, może nie zrozumiałem, w każdym razie nie rzutowało to w żaden sposób na moje samopoczucie. Taka ciekawostka.

Wycieczkę zakończyłem wspomnianym wcześniej seansem. Do małej sali kinowej wpuszczano kilkudziesięcioosobowymi grupkami. Film nosił tytuł *Miasto ruin*. Trwająca zaledwie ok. siedem minut animacja została w pełni wygenerowana komputerowo i okraszona stosownym komentarzem. Akcja sprowadza się do przelotu nad zrujnowaną Warszawą. Na dole widać gruzowiska, zawałone mosty, pojedyncze pożary. Grafika imponująca, stolica natomiast została odtworzona z niebywałą dokładnością na podstawie zdjęć i map.

Wyszedłem z Muzeum. Po ulicy toczyły się znane mi już czołgi. Gdzieś przebiegły wystraszone dzieci. Jakiś grajek pod murem prosi o *piątaczka*. Kolejne eksplozje prześzywają niebo. Za mną słychać krzyki protestujących tramwajarzy. Znałem te widoki. To muzeum ma w sobie coś wyjątkowego. Jak żadne inne potrafi oddać atmosferę swojej tematyki. Te uczucia pozostają na długo – przez resztę dnia patrzyłem na Warszawę przez pryzmat doświadczeń. Moich – z Muzeum, i tych, co tutaj polegli...

Maciej Kuczyński

Autonota

Mam 16 lat i uczęszczam do III klasy Społecznego Gimnazjum nr 2 im. Z. Herberta w Częstochowie. Działalnością pisarską zajmuję się od kilku lat. Zaczynałem w szkole podstawowej od konkursów na arenie miejskiej i regionalnej. Najbardziej przełomowym oraz pamiętnym dla mnie wydarzeniem było zakwalifikowanie mnie do grona czterech laureatów organizowanego w latach 2009-2011 ogólnopolskiego programu dla uzdolnionych dzieci i młodzieży o nazwie *Kreatywność Artystyczna Dziecka*. Przez dwa lata, podróżując po Europie oraz Polsce, poznałem wiele znaczących osobistości z dziedziny sztuki, muzyki i literatury, m. in. panie Joannę Kruczkowską, Wigę Bednarkową czy Adę Ginał. W maju 2012 roku awansowałem do trzeciego, ogólnopolskiego etapu konkursu

Ojczyzna polszczyzna pod patronatem prof. Jana Miodka. Miałem również przyjemność osobiście uczestniczyć w wykładzie mistrza. Lata 2013-2014 upłynęły mi pod znakiem prac konkursowych o tematyce technicznej i przyrodniczej. Doprowadziły mnie one do kolejnych nagród oraz wyróżnień, np. odznaki *Łowców Talentów* czy zaproszenia na udział w pikniku naukowym Explory, podczas którego – 30 stycznia 2015 r. – zaprezentuję mój autorski wynalazek. Moje teksty konkursowe oraz poetyckie publikowane były głównie w szkolnych czasopismach, te z kolei wielokrotnie zdobywały nagrody na regionalnych szczeblach. Oprócz tego interesuję się informatyką (głównie językami programowania) oraz lotnictwem cywilnym, z którym zamierzam związać moją przyszłość i rozwinąć karierę pilota liniowego.



Łucja Cymkiewicz

„BEKSIŃSCY. PORTRET PODWÓJNY”

[SPOTKANIE AUTORSKIE W MIEJSKIEJ GALERII SZTUKI W CZĘSTOCHOWIE]

Częstochowa zakończyła maj bardzo aktywnie. Ostatniego dnia miesiąca w III Alei NMP odbywały się Targi Moto, z którymi wiązało się wiele imprez towarzyszących. Dla tych, którzy woleli bardziej kameralną atmosferę, też się coś (i to nie byle co!) znalazło.

Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie we współpracy z Biblioteką Miejską zorganizowała spotkanie autorskie na temat powieści, która w naszym mieście okazała się bestsellerem. Chodzi oczywiście o książkę *Beksińscy. Portret podwójny* Magdaleny Grzebałkowskiej.

Spotkanie rozpoczęło się parę minut po godzinie 16:00, głównie ze względu na zaskakująco dużą frekwencję. Sto dwadzieścia przewidzianych dla uczestników miejsc okazało się nie być wystarczającą ilością. Organizatorzy szybko dostawili dodatkowe krzesła, jednak i to nie pomogło. Sala była przepelniona.

Głównym punktem spotkania była rozmowa z Magdaleną Grzebałkowską oraz osobami, które współpracowały ze Zdzisławem Beksińskim. Jedną z nich był Piotr Dmochowski, właściciel kolekcji dzieł Zdzisława Beksińskiego stanowiących wystawę stałą MGS w Częstochowie. Drugą, dyrektor Miejskiej Galerii Sztuki, pan Czesław Tarczyński, który był dobrym znajomym malarza. Tuż przed rozmową poprowadzoną przez Tomasza Florczyka zgromadzeni obejrzelі materiał filmowy zawierający szkice Zdzisława Beksińskiego oraz fragmenty wywiadów z nim.

Spotkanie przebiegło w swobodnej, przyjacielskiej atmosferze. Słuchacze mieli okazję dowiedzieć się więcej nie tylko o procesie tworzenia powieści i o źródłach, z których

korzystała autorka, ale także o samej rodzinie Beksińskich, którą wspominali Piotr Dmochowski i Marek Kułakowski.

Na koniec to publiczność otrzymała głos. Chętni mogli podzielić się swoimi refleksjami odnośnie książki i zadać pytania z nią związane. Pesząca moc mikrofonu spowodowała jednak, że znalazło się niewielu odważnych.

Po oficjalnej części programu przysłała pora na zbieranie podpisów od autorki. Kolejka była niezwykle długa. Przy podpisywaniu książek autorka z każdą osobą zamieniała parę słów, co stanowiło bardzo miłe zwieńczenie autorskiego popołudnia.

Beksińscy. Portret podwójny to próba poznania rodziny wielkiego malarza w możliwie jak najlepszy sposób na podstawie dokumentacji, która pozostała po jej członkach. Autorka w głównej mierze skupiła się na postaciach ojca i syna. Zofia Beksińska okazała się zbyt tajemnicza, materiał nie był wystarczający, aby stworzyć z niego „portret potrójny” (choć w pierwotnej wersji właśnie taki miał być tytuł książki).

Łucja Cymkiewicz



foto: Łucja Cymkiewicz

Barbara Strzelbicka

TU SIĘ DZIAŁO, CZYLI LITERACKIE WAKACJE

Pani Kasia

Po dwutygodniowym poście, spowodowanym przebywaniem na wakacyjnej pustyni kulturalnej, pobiegłam na spotkanie z Katarzyną Grocholą (28 lipca 2014r, w ramach akcji *Aleje, tu się dzieje!*). Jej książki czytam z przyjemnością i bez intelektualnego wysiłku, często w sklepie, należącym do znanej sieci, w którym dawniej była wygodna kanapa dla czytelników, potem ją ukryto w kącie i zamieniono na coś bardzo niewygodnego do siedzenia, by w końcu pozbyć się tego nader pożytecznego mebla – ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu. Tak więc książki Katarzyny Grocholi znam, choć ich nie posiadam, za to uwielbiam jeden film, zrealizowany na podstawie jej książki – chodzi oczywiście o *Nigdy w życiu!* – ze względu na błyskotliwe dialogi i znakomite kreacje aktorskie, w tym zwłaszcza Danuty Stenki. *Ja wam pokażę!* z Grażyną Wolszczak nie umywa się do tego filmu. Pretekstem do spotkania była wydana w maju kolejna książka Katarzyny Grocholi – *Zagubione niebo*, o której to książce na spotkaniu było niewiele, ale za to można ją było nabyć po promocyjnej cenie – podobnie jak inne książki pisarki. Czytelnicy jednak do podpisu przynieśli własne egzemplarze, jakby na dowód, że mają, znają, czytają.

Katarzyna Grochola przybyła punktualnie i była śliczna, przypominała motyla – lekka, zwiewna, barwna i skrzydlata. Sala odwachu była wypełniona po brzegi, często-chowscy czytelnicy dopisali pomimo upału, co zaskoczyło pisarkę, która swój podziw wyraziła nader dowcipnie i w swoim stylu: *ja bym nie przyszła w taki upał!* – powiedziała, nie wiadomo, na ile szczerze. Gospodynią spotkania była Beata Cichoń, ale pani Kasia nie trzymała się ściśle przewidzianego scenariusza i raczej nikt się po niej tego nie spo-

dziewał. Zagadnięta o kojarzenie jej pisarstwa z tzw. *literaturą kobiecą* zgrabnie odparła, iż jest to po prostu *literatura* – a epitet *kobieca* zawdzięcza temu, że kobiety czytają więcej od mężczyzn (to prawda, potwierdzona statystyką). Czerpanie z własnych doświadczeń, nierzadko trudnych, pisarka nazwała rubasznie *przerabianiem g... na nawóz*, zaś nieco zachrypnięty głos usprawiedliwiła *nie przepiciem, lecz darciem ryja przy ognisku*. Tę rubasznosc okraśliła sporą porcją wdzięku, wobec czego nie raziła. Nie mamy wątpliwości, że Katarzyna Grochola wyposaża swoje bohaterki we własne cechy, co nie oznacza, rzecz jasna, że należy ją utożsamiać z bohaterkami jej książek. Wiemy to zarówno z kursu teorii literatury, obowiązującego w szkole podstawowej, widoczne to było także na spotkaniu. Pisarka jest osobowością znacznie bogatszą od swoich bohaterek, można powiedzieć, że one wszystkie składają się na nią jedną. Ponieważ przyznała się, że idealnego mężczyznę, jakim jest Adam z *Nigdy w życiu!*, sama wymyśliła, to można uznać, iż także postaci męskie są składowymi osobowości pisarki. Katarzyna Grochola jest po prostu człowiekiem o bogatej i złożonej osobowości, podczas gdy bohaterowie jej książek nie są aż tak skomplikowani. Potwierdzeniem tego spostrzeżenia jest argument, dostarczony przez samą Pisarkę, która powiedziała, że używa dwóch komputerów: jeden służy do pisania rzeczy smutnych, drugi – do wesołych. Przyznała też, że praca pisarza jest pracą ciężką, wymagającą systematyczności, że nie lubi internetu i tzw. kolorowej prasy (*Nie interesuje mnie prasa, która zagląda komuś do majtek!*), że wychowała się na literaturze, bo wyrosła w domu, w którym nie było telewizora, że ciężko jest żyć z pisaniami i że miała się w życiu różnych zajęć, o czym czytelnicy

doskonale wiedzieli. Rozmowa gości z Pisarką jakoś się nie kleiła – pewnie przez ten upał, a może z naszej częstochowskiej nieśmiałości wobec Gwiazdy – całkiem bezpodstawnie, bo Katarzyna Grochola była otwarta i bezpośrednia. Może także dlatego, że Pisarka była i jest obecna w mediach, opowiada o swoich problemach, jej książki nie wymagają dodatkowych komentarzy ani wyjaśnień, a o to, o co niektórzy z nas chcieliby ją zapytać, pytać nie wypada – zwłaszcza na publicznym forum. Tylko jeden pan ubolewał nad brakiem życia literackiego w Częstochowie, które, jego zdaniem, kończy się na Poświatowskiej – ale to już zadanie dla tych, którzy zajmują się promocją kultury.



Katarzyna Grochola (foto: B. Strzelbicka)

Kryminalnie

Kryminały zaczęłam czytać dawno temu, jeszcze w szkole podstawowej, kiedy czytałam wszystko, co mi w ręce wpadło. Matczyna cenzura kryminałów nie dotyczyła, *Damę kameliową* musiałam trzymać pod materacem łóżka i czytać przy latarce. Literatura kryminalna nie budziła zastrzeżeń, mogłam więc czytać do woli o morderstwach, embargo dotyczyło jedynie edukacji seksualnej. Pasją do kryminałów zaraził mnie kolega, który miał znacznie starszego brata i to z jego biblioteczki pochodziły książki. Nie wiedziałam wówczas, iż jest to światowa klasyka, nazwy własne czytałam fonetycznie i tak też je w rozmowach z kolegami wymawiałam – dopiero po latach nauczyłam się je czytać. Potem, kiedy już studiowałam polonistykę, bez kompleksów czytałam kryminały Georga Simenona, Agathy Christie oraz Joe Alexa, wiedząc, że to klasyka, ale niebawem zainteresowanie dla tego rodzaju literatury opuściło mnie bez wyraźnej przyczyny.

Mariusza Czubaję znałam dotąd jedynie jako dziennikarza *Polityki*, nie wiedziałam też, że jest profesorem w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej, bo to, że jest antropologiem kultury, utkwilo mi w pamięci. Na spotkanie (4 sierpnia 2014) przyszło znacznie mniej czytelników, niż na spotkanie z Katarzyną Grocholą, co także zauważył i skomentował gość. Jedno się potwierdziło – kobiety przybyły liczniej, a więc czytają więcej (...i co z tego? – chciałoby się zapytać). Spotkanie prowadził Tomasz Jamroziński, najwyraźniej uważny czytelnik książek Czubaję, świetnie do spotkania przygotowany i pozbawiony nawet cienia tremy. Pretekstem była książka *Martwe popołudnie*, a rozmowa dotyczyła przede wszystkim warsztatu pisarskiego i literackich inspiracji. Dowiedzieliśmy się oto, że Mariusz Czubaj niejako terminował u Marka Krajewskiego, autora kryminałów *retro*, pisząc książki wspólnie z nim, co dla mnie było bardzo ciekawą informacją. Jak

można we dwóch kryminał napisać? Otóż panowie tworzyli go kolejno – na zasadzie *podaj dalej*, przysyłając sobie kolejne partie tekstu. Myślę, że była to dla nich świetna zabawa, wymagająca intelektualnego wysiłku i obfitująca w niespodziewane zwroty akcji. Z drugiej strony zaś trzeba mieć wiele odwagi, żeby zgodzić się na wywracanie biegu zdarzeń, można też zamotać sytuację i patrzeć, jak też ten drugi z tego wybrnie... Szalenie ciekawa sytuacja! Jeśli chodzi zaś o inspirację, to dla Mariusza Czubaja jest nią współczesna kultura – jak na antropologa kultury przystało, bo powieść musi być zakotwiczona w rzeczywistości. Poza tym autor pochwalił seriale kryminalne, czemu przyklasnęła część publiczności oraz kryminały skandynawskie, którym polskie według niego nie ustępują. Dostało się za to politykom: czy jest granica kompromitacji, po przekroczeniu której już się do polityki nie wraca?, na czym polega zawód *asystent posta?* – to dwa retoryczne pytania, które znakomicie ilustrują stosunek pisarza do polityki i do ludzi ją uprawiających.

Zaraz po spotkaniu pobiegłam do biblioteki – wszystkie książki Mariusza Czubaja były wypożyczone, zadowoliliam się więc trzema kryminałami Krajewskiego. I dobrze! Przeczytałam je jednym tchem, a kiedy znów udałam się do wypożyczalni, okazało się, że jedna pozycja Czubaja wróciła: *Zanim znowu zabiję*. Czytając ją, miałam wrażenie, że mam do czynienia z książkę sporządzoną według przepisu: weź trzy szklanki mąki, jedną cukru, cztery żółtka... itd. Zauważyłam wiele niedostatków języka: manieryczne porównania, błędy językowe, kolokwializmy w narracji, typu *sytuacja była nieciekawa*, co pojawiło się przynajmniej dwukrotnie. Poza tym kwiatki typu: *młoda dziewczyna w gumiakach na nogach* (s. 126), *poczułem wzbierającą falę wspomnień* (s. 127), *zmiętej pustej paczki papierosów* (s. 134). Na s. 183 znalazłam też błąd ortograficzny: wyraz *zhajcował* pisze się przez z, na s. 126 także: *rozejrzałem się wkoło*, tu

napisane rozłącznie *w koło*, ale to już sprawa nieuważnej korekty.

Moda na kryminały dotarła więc do Częstochowy, o czym świadczył także cykl spotkań *Częstochowa – do kryminału!*, zorganizowany przez Instytut Filologii Polskiej AJD. Spotkanie z Mariuszem Czubajem wspominam jako bardzo interesujące i myślę, że pisanie kryminałów traktuje on jako hobby, nie zaś jako zawód, wykonywany ze śmiertelną powagą. Korzyść odniosłam jeszcze jedną – znów czytam kryminały, co jest przydatne zwłaszcza w podróży pociągiem.

Byłam jeszcze na spotkaniu z Robertem M. Wegnerem, które także było bardzo interesujące, bo młody człowiek mówił ciekawie i ładnie, ale do literatury fantastycznej dotąd się nie przekonałam. Uświadomiłam sobie, że już jako dziecko nie lubiłam bajek, woląc od nich opowieści realistyczne. Żałuję, że nie mogłam być na spotkaniu z Wojciechem Tochmanem, który na szczęście zobowiązał się wrócić jeszcze do Częstochowy – tak mu się u nas spodobało.

Wakacyjne spotkania literackie oceniam jako nad wyraz dobry pomysł, bo dzięki nim wakacje nie były kulturalnym sezonem ogórkowym. Zaraz, zaraz... Może teraz używa się jakiegoś innego warzywa zamiast pospolitego, zwyczajnego ogórka? Skoro zamiast połówek jabłka mówimy o połówkach pomarańczy, to może i ogórek jest *passé*?

Barbara Strzelbicka

Agnieszka Jarzębowska

POETY BOGDANA ZDANOWICZA POŻEGNANIE Z KRAKOWEM

Co tym razem pognało mnie do „Cudownych Lat”? Otóż pognała mnie chęć udziału w spotkaniu z Bogdanem Zdanowiczem... A skąd się wzięła? Wzięła się z ciekawości (nie tylko babskiej)... Od pewnego czasu przyglądałam się dialogom internetowym Jacka Sojana i Bogdana Zdanowicza. Czasem zwykłe bla... bla..., czasem uszczypliwe, ironiczno-kaśliwe komentarze do wierszy, do sytuacji życiowych, czasem poważna merytoryczna dysputa o literaturze, czasem dowcipne dedykacje Zdanowicza dla Sojana...

Nie przyznałam się, że będę. Musiałam nieco zmienić wcześniejsze plany weekendowe, odłożyć na później, co się da odłożyć na później, wypatrzyć miejsce, gdzie się zatrzymam, wreszcie dotrzeć na czas, nie spóźnić się.

Oczywiście, się nie rozczarowałam. Spotkanie wybuchło jablecznie, rozwijało się spontanicznie. Poeta na wstępie zaznaczył, że jest to jego pożegnalne spotkanie, ponieważ musi opuścić Kraków, wyjechać w rodzinne strony. Motywy decyzji, jak to w życiu...

Był czas na czytanie wierszy, ale oprócz standardowego przedstawienia sylwetki twórcy przez Jacka Sojana i odczytania kilku tekstów, była niespodzianka. Z inicjatywy Bogdana Zdanowicza w czytanie (nietypowo) zostali zaangażowani uczestnicy spotkania. Autor rozdał przygotowane wcześniej elegancie plakaty z wydrukowanymi trzywersowymi tekstami – krzyżykami... Nie był to, jak chciał Jacek Sojan, poemat, jedynie według samego Zdanowicza, notatki z ostatniego czasu. Słuchający zamienili się w czytających... W dowolnej kolejności, czasem kilkakrotnie, zostały przeczytane te trzywersowe utwory i każdy „recytator” miał swój wkład w nawiązanie nici porozumienia, zrozumienia, na chwilę zadumy, refleksji... Prysnęła bariera wieku,

doświadczenia..., zwyczajowy podział – ON i my – zmienił się, powstało poczucie więzi, zostało tylko MY...

Później był turniej jednego wiersza, zgłosiły się trzy osoby. Jurorem był bohater główny spotkania: zaczął od powiedzenia, co w przedstawionych tekstach najlepsze. Wszyscy otrzymali w upominku najnowszy tomik Bogdana Zdanowicza „Przebieranka” a zwycięzca – Krzysztof Łojek – dodatkowo, jak każe zwyczaj „Cudownych Lat”, butelkę czerwonego, wytrawnego wina.

Jeszcze później rozmowy w mniejszym gronie. Przy jednym ze stolików poeci: Mariusz S. Kusion, Krzysztof Łojek, Agnieszka Żuchowska-Arendt z rodziną, przy drugim Bogdan Zdanowicz, Jacek Sojan (poeta i filozof), energetyczna Anna Kasieczka, Arek Łuszczyk (warszawianin – znakomity fotografik – autor wielu relacji ze spotkań literackich), Ania Raschle (Polka ze Szwajcarii), wreszcie Bożena Karpińska (utalentowana malarka i portrecistka) i tajemnicza Pi El (Elżbieta – miłośniczka poezji, i sztuki w ogóle oraz stała uczestniczka spotkań w „Cudownych Latach”) Ela i Bożena określone zostały przez Jacka Sojana jako muzy krakowskich poetów, nieco wcześniej odłączyła się Monia Dębowska (poetka, ekolog). Rozmawiano, rozmawiano, rozmawiano... Każdy wyniósł z rozmowy coś dla siebie.

Jako pointę warto przytoczyć odpowiedź Bogdana Zdanowicza na pytanie zadane przez młodziutką dziewczynę jeszcze w trakcie spotkania.

- Skąd bierze się potrzeba pisania?
- Z choroby. Pisanie jest chorobą – odrzekł Bogdan Zdanowicz.
- I lekiem... – dorzucił ktoś.

SPOTKANIE Z PIOTREM KASJASEM

31 lipca 2014 r. w „Boniecki Cafe” odbyło się niezwykle spotkanie Piotra Kasjasa z udziałem zaproszonych gości, a byli nimi Krzysztof Maria Szarszewski, Katarzyna Żakowska, Agnieszka Batelli, Maciej Strumiłło. Spotkanie prowadził Dariusz Staniszewski. Sala była pełna po brzegi a nawet bardziej, cokolwiek by to nie znaczyło. Na ten wieczór „Club Boniecki Cafe” przeistoczył się w galerię obrazów za sprawą Katarzyny Żakowskiej z Torunia.

Wśród publiczności znaleźli się: Jolanta Maria Miklaszewska, prezydent Pabianic Zbigniew Dychto, znakomity poeta Jan Stanisław Kiczor, pojawili się przedstawiciele łódzkiego Stolica Poetyckiego z Małgorzatą Skwarek-Gałęską, Małgorzatą Zawiszą, Magdaleną Cybulską, był Kacper Plusa..., zresztą uczestników spotkania można by wymieniać – reprezentowali nie tylko społeczność Pabianic, ale i Łodzi, Sieradza.

Miejsce wydarzenia – Pabianice – zostało wybrane nieprzypadkowo – to miasto bliskie sercu Piotra Kasjasa – Prezesa GŁOSU POLSKIEJ KULTURY w Wielkiej Brytanii – poety i propagatora literatury polskiej. Patronatem objął je Prezydent Miasta Pabianic i czasopismo literackie „Na Stronie” a główną organizatorką spotkania była Renata Uznańska-Bartoszek.

Atmosfera była isticie rodzinna, oprócz czytania wierszy, każdy pochwalił się tym, co ma najlepszego, co mu się udało, z czego jest dumny, z czego czerpie inspirację. Oprócz opowieści poety i obieżyświata Krzysztofa Szarszewskiego o przygodach, w tym mrozących krew w żyłach – bliskich spotkań z rekinami, o jego zainteresowaniach astronomią i wulkanami, można było posłuchać historii pięknej szabli, ba – nawet jej dotknąć, poznać tajemnicę rodzinnego mezalianu pradziadka poety, zapoznać się z fragmentami najnowszego tomiku i audiobooka Szarszewskiego z recytacjami Mistrza Mowy Polskiej 2012 aktora – Dariusza Bereskiego.

Zaśpiewała Agnieszka Batelli, przeczytała swoje wiersze i opowiedziała o niekonwencjonalnych metodach terapii depresji, warsztatach literackich prowadzonych przez dr Hannę

Prosnak, były wstawki gitarowe w wykonaniu Bartosza Zdziebłowskiego i Tomasza Trojnar.

Piotr Kasjas z kolei opowiedział o początkach działalności Organizacji Polonijnej na Rzecz Rozwoju i Promocji Kultury Polskiej GŁOS POLSKIEJ KULTURY w Birmingham, o jej sukcesach i kłopotach, na jakie natrafia. Twórca przeczytał kilka wierszy ze swojego najnowszego tomiku, wydanego dwujęzycznie przez wydawnictwo Ibis, pochwalił się swoim czwartym angielskim tomikiem pt. „Collected Poems” („Wiersze Zebrane”) wydanym przez Instytut Kultury Polskiej, co jest znaczącym wyróżnieniem, ponieważ instytut w taki właśnie sposób promuje polską poezję na świecie.

Nie zabrakło podniosłych momentów. A mianowicie Krzysztofowi Maria Szarszewskiemu została wręczona Nagroda Specjalna Organizacji Polonijnej na Rzecz Rozwoju i Promocji Kultury Polskiej – GŁOS POLSKIEJ KULTURY wraz z pamiątkową statuetką Złotego Ikara – i podziękowaniem za „krzewienie mowy ojczystej piórem i czynem – Podaruj Książkę Polskiej Szkole na Litwie”. Inicjator i czynny wykonawca przybliżył zebrany przebieg akcji i zapowiedział kolejne jej etapy (dotychczas zebrano i przekazano młodzieży na Litwie sześć i pół tony książek, głównie klasyki polskiej literatury – kolejne dwie tony wyjeżdżają 17 września).

Pismo gratulacyjne Prezydenta Miasta Pabianic otrzymał główny bohater spotkania Piotr Kasjas. To niezwykle miłe, że poezja i działalność na rzecz rozwoju i popularyzacji kultury a także twórczość poetycka znalazła uznanie u władz miasta rodzinnego poety.

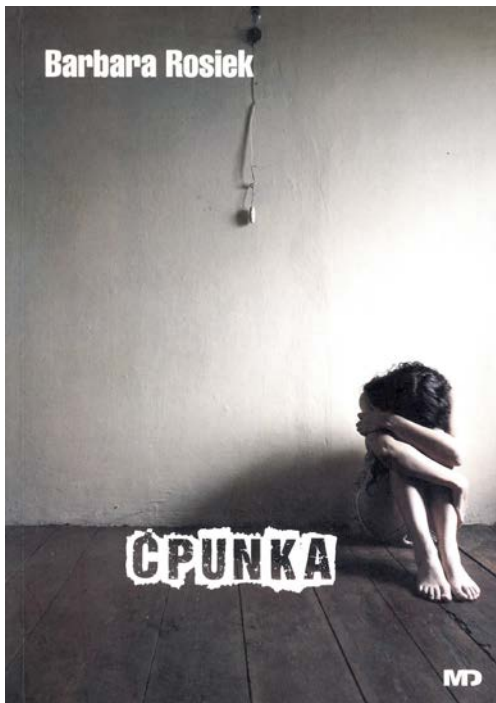
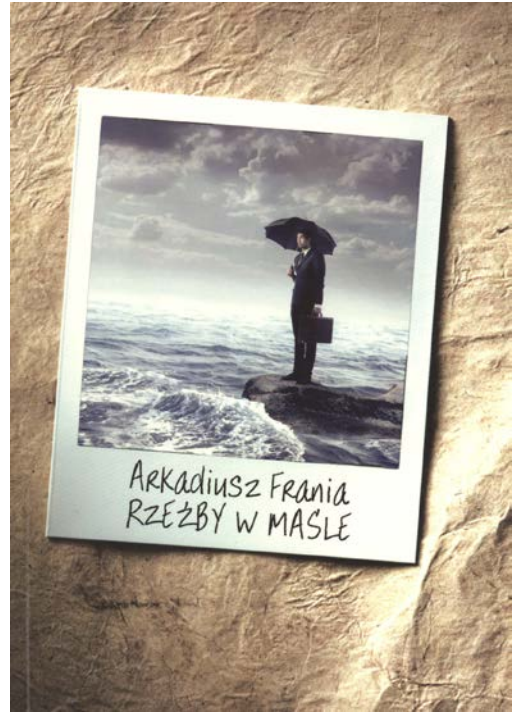
Wszyscy artyści, którzy wystąpili 31 lipca w „Club Boniecki Cafe”, udowodnili, że nie tylko potrafią tworzyć, ale przejawiają także wiele innych cennych inicjatyw w zakresie propagowania polskiej kultury w Europie, realizując swoje pomysły i wciągając do ich realizacji wiele osób, nie zapominając o najmłodszym pokoleniu Polaków na obczyźnie.

Agnieszka Jarzębowska

NOTY O KSIĄŻKACH

Arkadiusz Frania, *Rzeźby w maśle. Prozy z pamięci*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2014, ss. 152.

[Z postowia dr hab. Elżbiety Hurnik]: Tom [...] już na początku lektury prowokuje czytelnika do postawienia pytania: z jakim gatunkiem literackim mamy tu do czynienia? Poszczególne teksty – zbiór zawiera ich trzydzieści cztery – są niewielki rozmiarami. [...] Teksty zawarte w zbiorze można traktować jako rodzaj formy narracyjnej odpowiadającej epizodyczności przedstawianych wydarzeń, a także łączącej cechy wspomnienia, wypowiedzi autobiograficznej, jak na to wskazuje wyrażenie „z pamięci”. [...] Czytelnik podążający wiernie [...] za refleksją pisarza „rzeźbiącego w maśle”, obcujący ze światem jego myśli, odczuć, doświadczeń, obsesji, poznający narzędzia warsztatu literackiego, ma szansę docenić siłę tej pasji, jaką jest tworzenie.



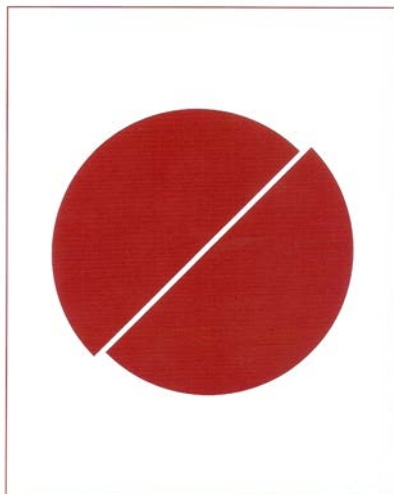
Barbara Rosiek, *Ćpunka*, wydanie I, wyd. Mawit Druk, Warszawa 2013, ss. 112.

[Z noty wydawniczej]: Najnowsza powieść Barbary Rosiek o dziewczynce, nastolatce, kobiecie? Kim jest Anka? Jest jedną z nas, Was, koleżanką Twojej córki. W jednej chwili staje się Ćpunką. Czy ktoś jej pomoże? Czy ktoś ją dostrzeże? Czy jest dla niej nadzieja? Bolesna, prawdziwa i poruszająca powieść o życiu współczesnej młodzieży. „Pamiętnik narkomanki” osadzony w nowej rzeczywistości – dopalaczy, pigułek gwałtu, HIV i HCV.

Janusz Orlikowski, *Gwałt na prawdzie. Eseje i szkice*, wydanie I, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2014, ss. 240.

[Ze wstępu prof. Ignacego S. Fiuta]: Właściwie w prawie każdym eseju autor odwołuje się do opowieści z Biblii, by w kontekście ich metaforycznego przesłania o prawdach życia osłabić skłonność człowieka do kierowania się suchymi zasadami własnej racjonalności i ulegania bezrefleksyjnym impulsom emocjonalnym związanym z postrzeganiem oraz przeżywaniem wartości. [...] W życiu religijnym, wbrew Lwowi Szestowowi – twierdzi Janusz Orlikowski – nie należy kierować się samą wiarą religijną, ale i pokorą oraz rozumem, by doświadczyć pełnej radości z doświadczenia swojej obecności w świecie.

JANUSZ ORLIKOWSKI
GWAŁT NA PRAWDZIE
ESEJE I SZKICE



Janusz Mielczarek, *Do widzenia panie Fellini. Zmyślenia wieczorne*, wyd. NEW Fine Grain, Częstochowa 2014, ss. 184.

Dziesięć opowiadań Mistrza małej prozy wydane w czwartym już zbiorze i opatrzone niezwykle ciekawymi fotografiami jego autorstwa. Twórczość Janusza Mielczarka właściwie wyznacza pewną cezurę literackości tekstów, których istotą jest magia świata przedstawionego, oryginalność kreacji postaci i zdarzeń. Pewną próbkę warsztatu prezentuje w cyklu miniatur zamieszczonych w tomie pod tytułem „Prozy małe i jeszcze mniejsze”, gdzie słowa przeobrażają się niemal w zaklęcia, a sam narrator jawi się jako mag oplatający nas smużką nierzeczywistości. Jak sam stwierdził we wstępie – *Dla takich przeżyć warto było zatapiać się w „piszącej samotności”, wierząc, że zapisywanie kartek zielonym atramentem ma sens[...]. [opr.red.]*



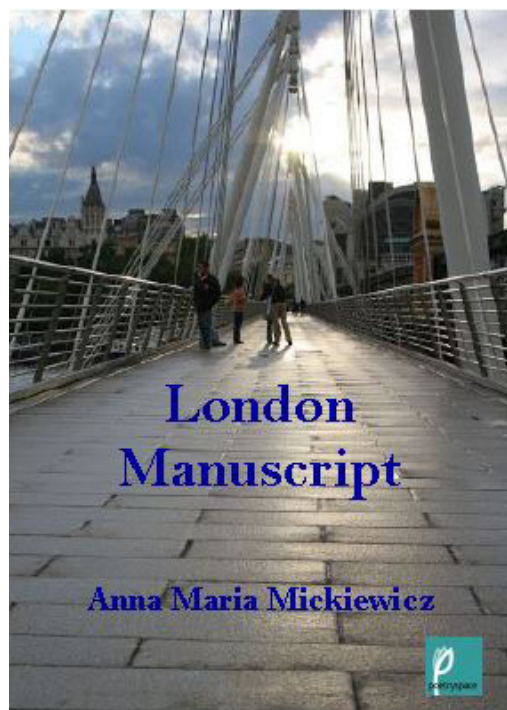
Rafał Socha: *Jak zostałem bażantem*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2013, ss. 308.

[Z noty od autora]: „Bażantami” nazywano absolwentów wyższych uczelni, odbywających obowiązkowe przeszkolenie wojskowe. [...] Powieść „Jak zostałem bażantem” jest więc swego rodzaju pamiętnikiem pewnego pokolenia. Książka składa się z dwóch części – bo standardowe szkolenie było dwuetapowe. W części pierwszej autor, z pasją dokumentalisty, dokonuje istnej „inventaryzacji” szeregu zabiegów mających na celu oglupienie młodych ludzi, zunifikowanie i uczynienie z nich karnych żołnierzy. Druga część, rozgrywająca się w jednostce liniowej, przynosi wartką akcję i dramatyczny finał. Bohater powieści staje się biernym uczestnikiem krwawej operacji zbrojnej, którą pododdział alarmowy przeprowadza poza kosztami. Książka obfituje w humor sytuacyjny, nasycona jest dużą dawką absurdu i groteski.

Krytycznie o prozie, pod red. Agnieszki Złotej i Jarosława Cieślaka, Wydawnictwo HARIT-Krzysztof Bednarek, Częstochowa 2014, ss. 55.

[Z przedmowy dr hab. Artura Żywiółka]: Szereg krytycznych impulsów widocznych w tekstach Autorów zbioru *Krytycznie o prozie* wpisuje się w szeroką ramę pojęć naznaczonych doświadczeniem kryzysu, rozpadu wartości, niejednoznaczności świata, człowieka. Być może mamy tu do czynienia z głosem pokolenia, które w uprawianiu literatury i krytyki literackiej poszukuje wartości epistemologicznych i aksjologicznych, w językowych artikulacjach własnych doświadczeń tropiąc ślady prawdy-bycia („domostwa bycia”), by posłużyć się Heideggerowską frazą.



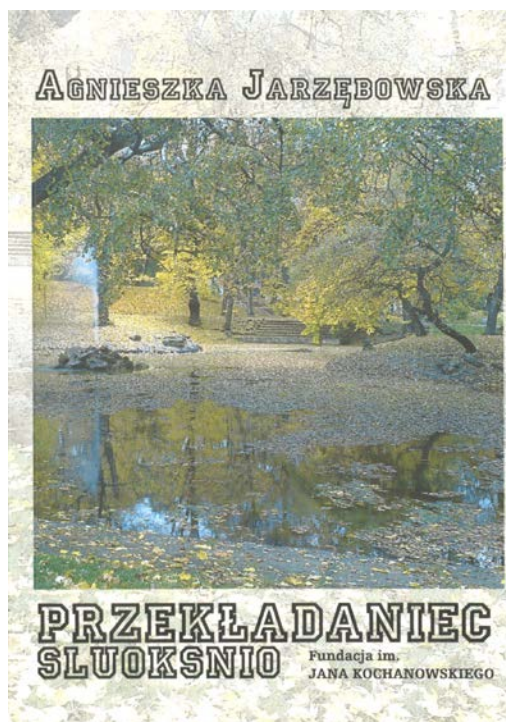


Agnieszka Jarzębowska, *Przekładaniec* [Sluoksnio], tłum. Birutė Januškaitė, wyb. Maria Duszka, wyd. Fundacja im. Jana Kochanowskiego, Sosnowiec 2014, ss. 32.

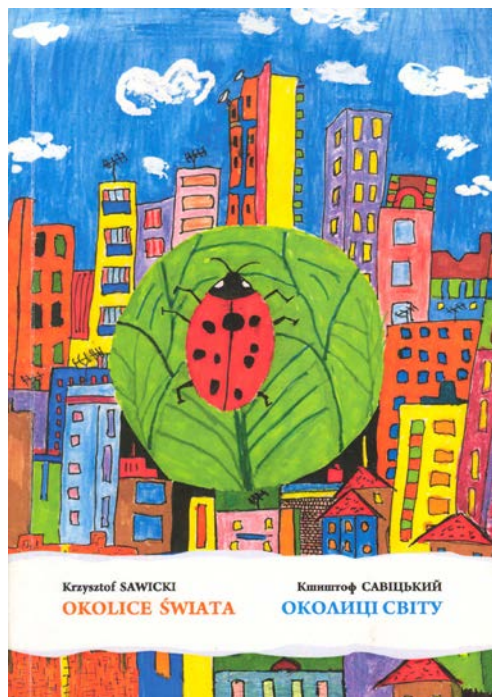
[Z postłowia Sławomira Matusza]: Birutė Januškaitė (1959) to osoba wyjątkowa, poetka, prozaik, eseistka i co najważniejsze dla nas – tłumaczka literatury polskiej. [...] Tym razem litewska poetka zajęła się twórczością mniej znanej poetki z Sieradza, Agnieszki Jarzębowskiej. Wspólnie z Marią Duszką wybrały kilkanaście utworów Agnieszki Jarzębowskiej, które złożyły się na bardzo ciekawy zbiorek polsko-litewski. [...] Nie mnie oceniać jakość litewskiego przekładu, ale znanej tłumaczce trzeba ufać – z pewnością są to przekłady bardzo dobre albo znakomite. [...] to ważne, że poeci i pisarze z Litwy i Polski chcą się ze sobą spotykać, czytać wzajemnie swoje wiersze. [...] Niech się wzajemnie przekładają poeci polscy, litewscy, rosyjscy, łotewscy, estońscy. Niech ten przekładaniec zdrowo rośnie i rozwija się.

Anna Maria Mickiewicz, *London Manuscript*, wydanie I, wyd. Poetry Space Ltd., Bristol 2014, ss. 28.

[Z recenzji dra Tomasza Niedokosa]: *London Manuscript* to nowy zbiór poetycki Anny Marii Mickiewicz, autorki piszącej i publikującej w języku polskim i angielskim, od lat mieszkającej w Londynie, z wnikliwością obserwującej londyńskie parki i ogrody oraz kulturalne życie tej światowej metropolii. Poetka jest świadoma znaczenia minionych dziejów, a także otaczającego ją kulturalnego krajobrazu. Wiersze, które zostały opublikowane przez brytyjskie wydawnictwo Poetry Space w 2014 roku, stanowią poetyckie objawienia, w których uchwycone są natychmiastowe, chwilowe obserwacje, zawsze zakorzenione w konkretnej, lokalnej rzeczywistości. Wiodą jednak czytelnika do innych światów: mitycznej Grecji, średniowiecza, czy też Polski z okresu młodości poetki. W cichych londyńskich ogrodach można dostrzec Sokratesa. A cóż możemy powiedzieć, gdy odkryjemy na końcu wiersza pytanie: *jeżeli kobieta na plaży była kuzynką Wیرginii Woolf* [What if the woman on the beach was a cousin of Virginia Woolf's]?



Krzysztof Sawicki, *Okolice świata* [ОКОЛИЦІ СВІТУ], tłum. Wasyl Słapczuk, Wydawnictwo „Teren”, Łuck 2014, ss. 120. [Ze wstępu Wasyla Słapczuka]: Nigdy nie słyszałem, żeby Krzysztof Sawicki nazywał siebie poetą. Jednak dla poety jest ważne nie to, żeby tak się nazywać, a nim być. [...] Poezja Krzysztofa Sawickiego jest zbudowana na skojarzeniach, paradoksalna, czasami chimeryczna, bogata w aluzje do motywów biblijnych, postaci literackich, rzeczywistych wydarzeń i ludzi. [...] Lektura jego wierszy przekonuje, że poeta jest zawsze trochę filozofem, jednak żeby zrozumieć sens własnego istnienia i istnienia świata, w odróżnieniu do filozofa, nie szuka odpowiedzi, a pytań.

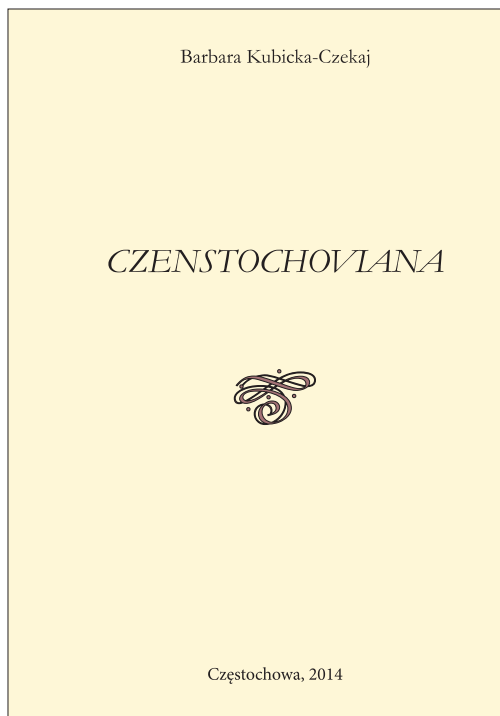


Wiesława Owczarek, *Rozmowa z nieznajomym*, Częstochowskie Wydawnictwo Archidiecezjalne REGINA POLONIAE, Częstochowa 2014, ss. 72.

Czwarty w dorobku tom wierszy poetki związanej z klubami literackimi „Fraszka” przy UTW i „Metafora” przy Zarządzie Oddziału ZNP w Częstochowie. W *Rozmowie z nieznajomym* autorka kreśli obraz człowieka skonfrontowanego z własnym odbiciem na tle otaczającego go świata. Samo pojęcie świata zostaje rozszerzone na przestrzeń sztuki, technologii i mediów. W tych obszarach dokonuje się swoista metamorfoza samej istoty człowieczeństwa, ale także obserwujemy, jak język poezji reaguje na zmiany w obrębie słów opisujących daną przestrzeń. Całości dopełniają sugestywne reprodukcje malarstwa Romana Pluty, znanego w Częstochowie twórcy obrazów i tekstów literackich. [opr.red.]

Barbara Kubicka-Czekaj, *Czenstochoviana*, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2014, ss. 133+3.

Publikacja wydana z okazji jubileuszu 65 lat pracy zawodowej dr Barbary Kubickiej-Czekaj, współtwórczyni i wieloletniej prezes częstochowskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. W dziewięciu rozdziałach uwaga zostaje poświęcona przede wszystkim Częstochowie i jej związkom z ważnymi wydarzeniami historycznymi, jakie miały tutaj miejsce. Dzieje miasta zostają opisane z perspektywy biografii postaci, jakie w naszym mieście przebywały, żyły, współtworzyły jego kulturalny koloryt. Szczególne miejsce poświęca autorka tym osobom, które nikną w ludzkiej niepamięci. Dokonuje swoistej rehabilitacji ludzi, których losy wiązały się z Częstochową, m.in. Józefa Grajnera, Michała Bałuckiego, prof. Jana Słodrowskiego, prof. Józefa Mikołajtisa. Dla badaczy dziejów Częstochowy – lektura obowiązkowa. [opr. red.]



Joanna Szubstarska, *Milczenie ptaków*, wyd. BEST PRINT Wydawnictwo Drukarnia, Lublin 2014, ss. 56.

[Ze wstępu Waldemara Michalskiego]: Wybór około czterdziestu krótkich form poetyckich [...] jest wystarczającą okazją do zapoznania się z poetycką wizją świata Joanny Szubstarskiej. Warto zauważyć, że bardzo wymownym obrazem z tych wierszy jest „człowiek w klatce”. Szarość, cisza, „świat zastygły w bólu” dominują w poetyckiej kreacji. Skąd ta depresyjno-nostalgiczna nastrojowość w wierszach młodej autorki, uprawiającej na co dzień profesję dziennikarską? Być może obcowanie w małym świecie wielkich spraw sprowadza ideały młodości do bolesnych wymiarów.

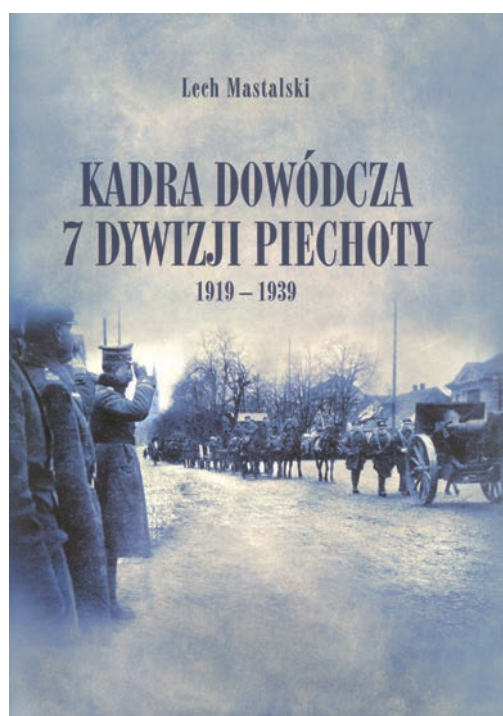


Adam Kurus, *Czołgi na przedmieściach. 7 Dywizja Piechoty w obronie Częstochowy 1-3 września 1939 roku*, wyd. b.m.w., Częstochowa 2014, ss. 292.

[Fragment tekstu]: O świcie mój oddział zajął pozycje przy drodze do Kiedrzyńna. Okopani czekamy na atak. Koło południa ruszyła do ataku niemiecka zmotoryzowana piechota. Nagle zauważyłem uciekających 12 polskich żołnierzy przed niemieckim czołgiem. Nie strzelał, lecz pędził ich zapewne aż do wyczerpania z sił. W pewnym momencie rzucili się do rowu. Wtedy to najechał na nich i zaczął gnieść gąsienicami. Z wściekłością odpaliłem z granatnika. Czołg stanął w ogniu...

Lech Mastalski, *Kadra dowódcza 7 Dywizji Piechoty 1919 – 1939. Słownik biograficzny*, Wydawnictwo Instytutu Tarnogórskiego i Muzeum Instytutu, Częstochowa 2014, ss. 264.

Obszerny i wyjątkowy pod względem zawartości słownik biograficzny poparty rzetelną bibliografią, zaopatrzony w obszerny indeks osobowy oraz nazw geograficznych – publikacja dopracowana w najdrobniejszych szczegółach tak perfekcyjnie, że nieomal doskonała, także jako miarodajne źródło wiedzy dla badaczy wojennych losów 7 Dywizji Piechoty. Autor – znany częstochowski historyk, związany z Ośrodkiem Dokumentacji Dziejów Częstochowy – zadbał o wnikliwość prezentowanych biogramów dowództwa wojskowego z okresu międzywojnia. Warto dodać, że wydanie całego nakładu [300 egzemplarzy] sfinansował z własnych środków.



Bogdan Knop

O NAUCE Z UMIAREM

Powszechnie sądzi się, że nauka dotyczy tego, co rozumne, fizyczne, obiektywne i sprawdzalne. Reszta zaś, czyli to, co pozarozumowe, metafizyczne, jest przedmiotem wiary, zabobonu lub ignorancji. W ostateczności może to być przedmiotem badań filozofii, która współcześnie traktowana jest jako krzyżówka niegroźnego mędrkowania z kulturową celebrą.

Nie brak oczywiście, w naszych postmodernistycznych czasach, zapędów, by naukę zapędzić w kozi róg i – tak ją sobie ustawivszy – naigrywać się z jej przywar. Z przewrotnym zapalem robił to Paul Feyerabend, austriacki myśliciel uprawiający „filozoficzny dadaizm”. Twierdził on, że metoda naukowa jest równie dobra jak każda inna (a właściwie równie zła); dezawuował osiągnięcia nauki – czymże jest lot statku Apollo na Księżyc w porównaniu z wyprawami mistyków w najodleglejsze regiony uniwersum – pytał przewrotnie. Dzieło Feyerabenda *Przeciw metodzie* pełne jest tego rodzaju paradoksalnych porównań. Sam zresztą tytuł, nawiązujący szyderczo do dzieła Kartezjusza, wiele mówi o nastawieniu autora.

Chciałbym tu, tylko pośrednio nawiązując do Feyerabenda, zastanowić się nad uwikłaniem nauki w paradoksy. I to takie, które z samej istoty nauki wynikają, a w oglądzie filozoficznym przynoszą zaskakujące wnioski.

Nie będę, w przeciwieństwie do Feyerabenda, kwestionował metody naukowej. Przeciwnie – w całości ją zaakceptuję.

Tekst niniejszy ma charakter niezobowiązującej refleksji i nie pretenduje do uczynności, choć w obronie zawartych tu tez autor gotów jest toczyć polemiczne boje na dowolnym forum.

Zacznijmy zatem od początku – na początku świat powstał (w tradycji religijnej – został stworzony). Co nam nauka mówi o powstaniu świata? Dziwne rzeczy, z naukowego punktu widzenia zupełnie niedorzeczne. Świat powstał, powiadają fizycy, z osobliwości o nieskończonej gęstości i nieskończenie małych rozmiarach. Osobliwość ta wybuchła z nieznanых powodów i po miliardoleciach wyewoluowała do stanu dzisiejszego. Dowodem na to jest tzw. promieniowanie reliktowe tła, odkryte w połowie ubiegłego stulecia i dowodzące, że wszechświat był kiedyś gorący. Pamiętajmy jednak, że promieniowanie to odnosi się do okresu, gdy Wszechświat miał już kilkaset tysięcy lat! Okres wcześniejszy nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Zatem nie dowiemy się nigdy w sposób pewny, co stało się przed erą obrazowaną przez promieniowanie reliktowe tła.

Czyż nie jest zatem interesujące, że rozważania o nieskończonej mocy boskiej są uważane za teologiczne brednie, nie mające nic wspólnego z nauką, a nieskończona gęstość materii w pierwotnej osobliwości przyjmowana jest za naukowo pewną, w świetle tego, że nieskończona gęstość z punktu widzenia fizyki jest czystym absurdem?! Byłoby zatem wszystko jedno, czy to Big Bang powołał nas do istnienia, czy boskie – *niech stanie się światłość*? Z punktu widzenia wiedzy jest to z pewnością wszystko jedno, bo dowieść tego, jak było, nie da się ani dziś, ani w przyszłości.

Gdyby było tylko tak, że niedostatki naszej wiedzy wynikają z naszej ułomności i z czasem, wraz z postępem świata zostaną one wypełnione, nie byłoby uprawnione czepianie się nauki w jej uproszczeniach. Jest jednak inaczej. Coraz to spotykamy bariery w poznaniu, których nie da się pokonać ani dziś, ani w przyszłości. Jeżeli mamy zasadę nieoznaczoności Heisenberga, to jest to rzecz pewna – na poziomie kwantowym nigdy nie zmierzmy dokładnie jednocze-

śnie położenia i pędu np. elektronu. Jeżeli żaden obiekt materialny nie może poruszać się szybciej niż światło, to znaczy, że nigdy nie będzie mógł, wbrew nadziejom miłośników S-F.

Ale gdyby ograniczenia nauki wynikały tylko z jej praw, to jeszcze by nie wystarczyło, by cokolwiek nauce zarzucić, można by tylko pochylić głowę nad jej ułomnym losem. Ale jest jeszcze gorzej. Bo nauka stoi wobec pytań, których na gruncie nauki zadawać nie wolno, ale zadać je trzeba. Takim pytaniem jest pytanie o *antropic factor* – zasadę antropiczną, która mówi: świat jest tak zbudowany, że sprzyja życiu, zamiast być obojętnym. Różnica masy między protonem i neutronem w jądrze atomu jest tak dobrana, że minimalne jej zaburzenie powoduje, że świata, jaki znamy, nie ma! Ale i to, że masa elektronu jest niewiarygodnie mała w porównaniu z masą protonu ma równie dalekosiężne konsekwencje. A anomalia związana z wodą – gęstość wody jest największa w temperaturze 4°C, dlatego łódź pływa po powierzchni wody, a nie spada w jej głąb i życie może trwać w wodzie nawet, gdy na zewnątrz panują tęgie mrozy. Żadna inna ciecz w przyrodzie nie ma takiej własności! Tak zatem badając świat, stwierdzamy, że jego atrybuty są dobrane z niewiarygodną precyzją, co kłóci się z podstawowym twierdzeniem teorii poznania, że świat nie został stworzony, lecz powstał przypadkiem w wielkim wybuchu miliardy lat temu. W istocie przypadkowe powstanie świata, o tak szczególnych własnościach, zakrawa na nieprawdopodobieństwo (czy, mówiąc językiem nauki, prawdopodobieństwo tego jest bliskie zeru).

Współczesna „teoria wszystkiego” – mechanika kwantowa – zmaga się z problemami, które wydawały się być dawno przezwyciężone. Czy świat istnieje obiektywnie, czy tylko w obserwacji, a właściwie – w świadomości obserwatora? Pytania klasycznej filozofii: Kant, Berkeley, Schopenhauer, naraz

wróciły z całą mocą. Diabeł idealizmu wygnany po XIX w. z rozważań naukowych, wrócił we współczesnej fizyce i straszy teoretyków.

Słynne dzieło W.I. Lenina – *Materiaлизм a empiriokrytyцизм* – nawoływało, w imię „światopoglądu naukowego” do rozprawienia się z różnej maści machistami, berkeley’owcami i innymi empiriokrytykami (łącznie z rozprawieniem się fizycznym), i oto po stu z górą latach wyszło na empiriokrytyków.

Na koniec pozwalam sobie zacytować mego ulubionego filozofa Artura Schopenhauera, bo i po jego stronie jest tryumf w rozumieniu świata:

„Skoro już doszliśmy do tego miejsca za pomocą przedstawień naocznych tropem materializmu, to dochodząc wraz z nim do szczytu, ogarnęłaby nas niepohamowana żądza olimpijskiego śmiechu, uświadomilibyśmy sobie bowiem, jakby obudzeni ze snu, że ostateczny rezultat materializmu, poznanie, był założony jako nieuchronny warunek już w punkcie wyjścia, w samej materii, a choć wyobrażaliśmy sobie, że mamy tu na myśli materię, faktycznie jednak nie myśleliśmy sobie nic innego niż podmiot, który przedstawia sobie materię, oko, które ją widzi, rękę, która ją czuje, intelekt, który ją poznaje. W ten sposób nieoczekiwanie ujawnia się niesamowita *petitio principii* (przyjęcie za przesłankę zdania bezpodstawnie uznanego za prawdziwe)”.

Dziwnie aktualnie te słowa brzmią w kontekście przytoczonych wyżej problemów teorii kwantowej.

Bogdan Knop – latem 2014 r.

Copyright © **LITERACKIE TOWARZYSTWO WZAJEMNEJ ADORACJI**
„Li-TWA” w Częstochowie

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Agnieszka Złota (zastępca redaktora naczelnego), Olga Wiewióra (redaktor naczelną), Rafał Socha (e-redaktor), Maciej Skalik (oprawa fotograficzna).

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Olga M. Bąkowska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Ida Jadwiga Łubińska, Wojciech Grabałowski, Bogdan Knop, Kazimierz Kowalczyk, Wojciech Kajtoch, Władysław E. Piekarski, Jan Łączewski, Michał Wilk, Marian Panek, Andrzej Kalinin.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

Jarosław Leszczuk (redaktor techniczny)

Druk:

Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czest.pl



Printed in Poland.

Wydawca:

Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li - TWA” w Częstochowie
ul. Wilsona 8
42-200 Częstochowa

Adres dla korespondencji:

ul. Rakowska 10 m. 15
42-200 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

alekeller@interia.pl
galeria.litwa@gmail.com

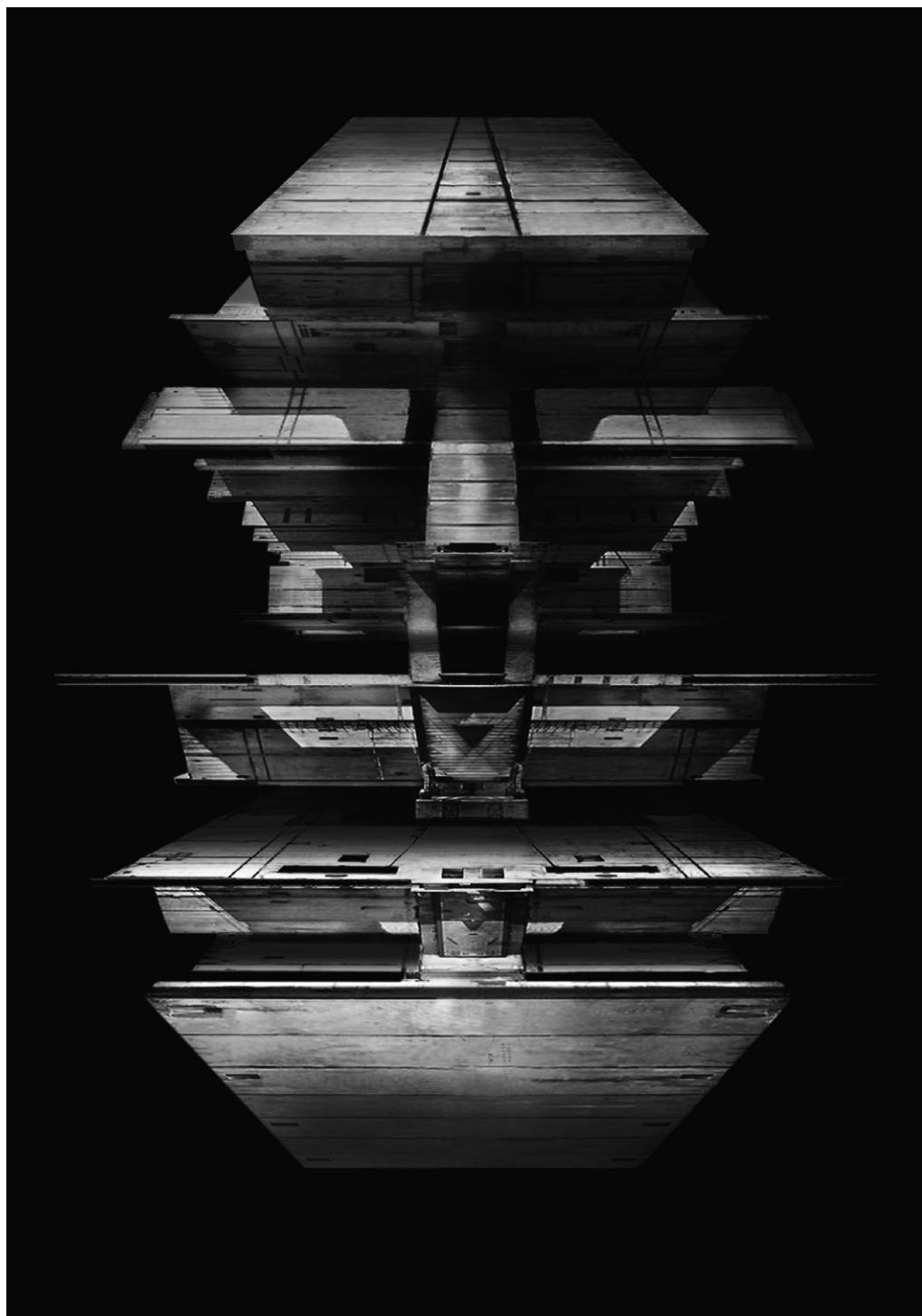
www.litwa.czest.pl

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000308140 Regon: 240938341 NIP: 9492090225
Konto: BANK MILLENNIUM 19 1160 2202 0000 0001 1690 1952

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISBN 978-83-63052-73-7



Żaneta Wojtala - Dehumanizacja XX, Dehumanization XX, 100x70cm

FOTOgaleria



„Sukces(ja)” [Maputo - Mozambik] (foto: Jacek Konieczny)

ISBN 978-83-63052-73-7